

tytuł: "Dama kier"
autor: Maria Ewa Letki

Tom

Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1990

Tłoczono w nakładzie 20 egz.
pismem punktowym dla niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9
Pap. kart. 140 g kl. III_Ba1
Całość nakładu 100 egz.

Przedruk z wydawnictwa
"Nasza Księgarnia",
Warszawa 1988

Pisał J. Podstawka
Korekty dokonali
St. Makowski
K. Kopińska

Maria Ewa Letki jest autorką wielu powieści i opowiadań dla dzieci (m.in. "Jutro znów pójdę w świat", "Wakacje z Cynamonem", "Łódź Wikingów"), a także słuchowisk i adaptacji radiowych.

"Dama Kier", współczesna powieść obyczajowa, adresowana do czytelników trzynasto-, czternastoletnich, ciepło i z humorem opowiada o wielopokoleniowej i wielodzietnej szczęśliwej rodzinie z niewielkiego miasteczka. Króluje w niej kobieta, a głową domu jest babcia, osoba władczą i stanowczą, która niezachwianie wierzy w to, co mówią karty i sny.

Wszystkie te sprawy Autorka traktuje z dystansem, trochę kpiąco, trochę ironicznie.

Pod koniec stycznia, jak w prawie każdy ostatni piątek miesiąca, rodzina Pieczarkowsko_Sowińska zasnęła. O godzinie dziewiątej rano do wielkiej kuchni wpadła pani Alina Sowińska, a za nią jej mąż, Jan Sowiński. Oboje byli rozczochrani, zdenerwowani i mimo późnej godziny zaspani. W kuchni zastali stół nakryty na siedem osób i siedzącą w wyplatany fotelu babcię Pieczarkowską, matkę pani Aliny.

- Chyba nie warto już się dziś wybierać do pracy! - powiedziała ostrożnie babcia Pieczarkowska. - Brr, ale zimno! - zatrzęsła się tak przekonywająco, że córka i zięć poczuli na plecach lodowaty dreszcz.

Starsza pani obserwowała, jak biegają po kuchni, próbują coś w biegu zjeść, potracają się, mówią "przepraszam" i biegają dalej. Wszystkie te ruchy uważała za bezsensowne. Jej zdaniem powinni usiąść przy stole jak ludzie, zjeść

śniadanie i dopiero potem zastanowić się "iść do pracy czy nie". Babcia Pieczarkowska uważała, że jeżeli raz w miesiącu nie pójdą do pracy, to nic się nie stanie, nikt na tym nie ucierpi.

- Co też mama - obruszyła się pani Alina. - Musielibyśmy potem odpracowywać i nie rozumiem, dlaczego raz na jakiś czas próbuje nas mama przekonać, żeby zostać w domu.

- To jest dość dziwne, Alinko - zastanowił się pan Sowiński usiłując wystudzić herbatę. - W zeszłym miesiącu też zaspaliśmy w piątek. W ostatni piątek miesiąca. Zawsze nam się to przytrafia w piątek. I zawsze wtedy zastajemy tak pięknie nakryty stół.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - pani Alina zbierała do torebki drobiazgi. - Pod koniec tygodnia człowiek jest najbardziej zmęczony i dlatego może nie usłyszeć budzika. Pospiesz się.

- Budzik nie dzwonił - oznajmił pan Sowiński. - Nie dzwonił, bo ktoś go w nocy wyłączył. Kiedy kładłem się spać, był nakręcony.

Spojrzał na babcię Pieczarkowską usiłując coś wyczytać z jej twarzy, ale jedyne, czego się dowiedział, to:

- Pewnie sam go w nocy wyłączyłeś. Twoja świadomość mówi ci o codziennym obowiązku chodzenia do pracy, a podświadomość podpowiada coś zupełnie innego. Ten ambiwalentny stosunek człowieka do pracy...

- Na pewno nie wyłączyłem budzika - zdecydowanie przerwał pan Sowiński.

- ...jest stary jak świat - dokończyła nie zbita z tropu pani Pieczarkowska.

Zięć zastanowił się, skąd ta

kobieta, ubrana w aksamitny
szlafrok, w którym wygląda

dostojnie jak kardynał, wie, że
on tak bardzo nie lubi swojej
pracy. Skąd wie, jeżeli on
nigdy nie narzeka na pracę,
wprost przeciwnie, chwali
wszystko, ile może, i bez
przerwy powtarza "Nie ma to jak
przemysł mleczarski. Weźmy na
przykład szklanę zwykłego
mleka..."

Nie zdążył rozpracować tematu,
bo z przedpokoju żona zawołała:

- Pospiesz się!

Oboje wybiegli na mróz, a
babcia Pieczarkowska siedziała
za stołem i nasłuchiwała. Na
górze panowała ciepła cisza
domowego poranka. Oznaczało to,
że wszystkie wnuczeta jeszcze
śpią, a o odpowiedniej porze
zjawią się w kuchni, żeby
zjeść ze swoją babcią śniadanie.

- Budzić ich nie będę, bo nim
człowiek obudzi czworo dzieci,
nim je namówi, żeby wstały, nim
te dzieci zjedzą śniadanie, nim
pozbierają książki, będzie
południe - mruzczała do siebie. -
Niech raz w miesiącu posiedzą z
babcią. - Z szuflady stołu
wyjęła karty i rozłożyła je na
obrusie. Długo się w nie
wpatrywała, oglądała od strony
lewej do prawej, od prawej do
lewej, liczyła, porównywała i w
końcu dowiedziała się, że
właśnie od asa kier,
oznaczającego dom, odwracają się
dama pik i król pik. Oboje
kierują się w stronę domu
urzędowego i już wkrótce tam
dotrą. Obok króla pik czerniło
się trochę poodwracanych do góry
nogami trefli. Oznaczało to, że
król pik będzie miał jakieś
drobne kłopoty urzędowe.
Tłumaczac na zwykły język,
babcia Pieczarkowska wiedziała
już, że jej ciemnowłosy zięć -

Król Pik - będzie musiał
usprawiedliwić się ze
spóźnienia, wiedziała, że nie
lubi swojej pracy i dziś znów
myśli o niej z niechęcią.
Schowała karty i wyciągnęła

koszyk z robótką. Robiła na
drutach sweter dla najstarszej
wnuczki. Spoglądała z dumą na
odświętnie nakryty stół, bo w
ostatni piątek miesiąca już od
rana tak nakrywała, jakby mieli
przyjść goście.

Około godziny jedenastej
zaczęły się schodzić wnuki.
Wszystkie zaspane, poziewające i
rozczochrane. Babcia
Pieczarkowska odłożyła robótkę i
przyglądała się im z uśmiechem
szczęścia.

Najpierw wbiegła sześćioletnia
Kasia. Nocną koszulkę miała
trochę przekręconą i pozawijaną,
ale kiedy tylko zobaczyła babcię
i śniadanie, poprawiła koszulkę i
uśmiechnęła się całkiem
rozbudzona.

- Dzień dobry, babciu! -
zawołała. - Czy jest coś dla
mnie do zrobienia?

- Możesz ułożyć łyżeczki do
jajek - powiedziała starsza pani
uśmiechając się z rozczeniem.
"Moja nieodrodna wnuczka.
Podobna do mnie. Będzie z niej
dobra gospodyni. Ledwie się,
biedactwo, obudziło, a już pyta,
czy jest coś do zrobienia".

Za Kasią wsunęła się
jedenastoletnia Małgosia. Chuda
buzia pod sterczącymi włosami
wyglądała ponuro. Oczy patrzyły
chmurnie. Małgosia jednakowo
witała każdy dzień - z
niezadowoleniem i niechęcią.
Rozczmuchiwała się dopiero po
kilku godzinach. Cała osoba
Małgosi spowita była w delikatne
koronki przyozdobione gęsto
szydełkowymi kwiatkami. Na widok
babci zmieniała trochę wyraz

twarzy, przyklepała włosy,
wygładziła zmięte koronki i
powiedziała:

- Temu z naprzeciwka
należałoby pysk obić.

I na nią babcia spoglądała ze
wzruszeniem. "Moja nieodrodna
wnuczka. Pamiętliwa i
sprawiedliwa jak ja. Nie
zapomina doznanych krzywd, ale

też nie zaczyna pierwsza". Pani
Pieczarkowska pamiętała, że
poprzedniego dnia ten z
naprzeciwka napluł Małgosi na
buty. Dziewczynka nie
zareagowała, ale kiedy wróciła
do domu, jej chuda buzia była
jeszcze chudsza ze złości.

- Babciu - szepnęła teraz
podchodząc do fotela. - Śniło mi
się, że się na nim zemściłam.
Opowiem ci po śniadaniu. I
zemszczę się jeszcze dziś.

- Dziś tego nie zrobisz, bo
dziś jest ostatni piątek
miesiąca - rzekła babcia
stanowczo.

Małgosia przygryzła dolną
wargę. Wolałaby dziś, ponieważ
uważała, że zemsty nie należy
odkładać. Odłożona zemsta
wietrzeje, ale skoro jest
ostatni piątek miesiąca, to
rzeczywiście nie można. Małgosia
nie zastanawiała się nigdy,
dlaczego w jej domu piątek jest
uważany za jakiś nadzwyczajny
dzień. Po prostu przyjmowała to
jako fakt. Stała więc z boku i
zaczęła szcztokować włosy, żeby
wreszcie nabrały miękkości.
Pięćdziesiąt pociągnąć do tyłu,
pięćdziesiąt do przodu.

Po Małgosi wczłapała Marysia,
najstarsze dziecko pani Aliny i
pana Jana Sowińskiego,
dziewczynka czternastoletnia, z
dużym, jak na jej wiek, biustem
i długą, jak na człowieka, szyją.
Dzięki za długiej szyi, bardzo
jasnym włosom, zbyt jasnym

brwiom, dziewczynka otrzymała przydomek Biała Gęś. Wszystko w niej było jasne, jednokolorowe. Kiedy mówiła, przechylała głowę na bok i spoglądała na rozmówcę jednym albo drugim okiem.

Na widok Marysi babcia Pieczarkowska aż sapnęła, bo zachwyty ścisnął ją za gardło. "Tak wygląda budząca się wiosna. Łagodna i tkliwa jak ja. I posturę ma moja". Babcia Pieczarkowska wyprostowała się w wyplatany fotelu. "Moja

nieodrodna wnuczka. Wszystkie moje nieodrodne wnuczki".

Poranny przegląd wnuków nie zakończył się na Marysi. Na samym końcu zjawił się w kuchni Tomek, drobny, dziesięcioletni chłopiec. Nie lubił tych porannych ceremonii, nie lubił piątków, sobót, niedziel.

Nie lubił tych wszystkich dni, które spędzał pod okiem krytycznie do niego nastawionej babci.

- Tomasz! - usłyszał. - Obódź się wreszcie!

- Obudziłem się - odrzekł Tomek szeroko otwierając oczy.

- Masz taką wygniecioną piżamę - parsknęła babcia.

- Babciu, przecież on spał - Kasia stanęła w obronie brata. - Przecież jak się śpi, to ubranie się gniece.

Tomek popatrzył na swoją piżamę. Nie była bardziej wygnieciona niż nocne koszule jego sióstr.

- Ja mu ją wyprasuję po śniadanku! - zawołała Kasia. - Wezmę żelazko i raz_dwa wyprasuję mu piżamkę!

- A on ją znów wygniecie - wtrąciła ponuro Małgosia. - Bo nasz Tomek jest gnieciuch.

Babcia zbyła milczeniem uwagę Małgosi. Przyglądała się Tomkowi myśląc: "Nieodrodny syn swego

taty".

- No, dzieci, do łazienki -
wydała polecenie. - Szybko, bo
śniadanie czeka.

- Babciu - zapytał Tomek. -
Dlaczego znów zaspaliśmy?

- Pewnie byliście bardzo
zmęczeni - odpowiedziała. - Poza
tym... poza tym... nie najlepiej
czuliście się w nocy. Ty, na
przykład, bardzo ciężko
oddychałeś i dobrze ci zrobi,
jeżeli posiedzisz trochę w domu.

Tomek chciał zapytać, skąd
babcia wie, że on ciężko
oddychał, skoro jej pokój
znajduje się w drugiej części
domu, ale babcia uprzedziła

pytanie.

- Babcia wszystko wie. No, a
teraz do łazienki. Twoje siostry
już wyszły.

Tomek długo siedział w
łazience. Hartował się polewając
to zimną, to gorącą wodą. Tarł
ciało ostrą szczotką. Chciał być
silny, szorstki i dynamiczny.

Wreszcie wyszedł z łazienki.
Czuł, że krew w nim szybciej
krąży, i miał wrażenie, jakby
wskutek zabiegów przybyło mu
trochę energii, ale nie
wiedział, co z nią zrobić. Tak
zresztą było codziennie.
Wyparowywała gdzieś w trakcie
śniadania.

Z kuchni dolatywały głosy
sióstr i łagodne pomruki babci.
Dziewczynki opowiadały swoje
sny, a ona je tłumaczyła.

- Śniło mi się, babuniu, że
stałam przed zwalonym domem -
szczebiotała Kasia. - Był
olbrzymi, wszystko miał
połamane, porośnięte
nieporządnym zielskiem...

- To znaczy, moje dziecko, że
pokonasz jakieś przeszkody -
odrzekła babcia. - Pokonasz coś,
czego dotąd pokonać nie mogłaś.

Tomek był pewien, że Kasia coś

pokona, bo w jego domu wiara w sny była tak silna, że mogła zwyciężyć wszystko.

- A mnie śniła się gąsienica - powiedziała Małgosia. - Wielka, włochata jak kołnierz z wiewiórki. Była ruda, złota, mieniła się i poruszała...

Małgosia potrafiła opowiadać tak plastycznie, że Tomek wbrew silnemu postanowieniu zlekceważenia wszystkich opowieści o snach, zasłuchał się.

- ...i ta gąsienica siedziała mi na dłoni. Dłoń miałam zwyczajną, ale gąsienica była wielgachna jak kołnierz z lisa...

- Za chwilę powiesz, że jak z lwa - przerwała Kasia.

- Jeżeli człowiekowi śni się

gąsienica, to znaczy, że zdemaskuje fałszywego przyjaciela - wytłumaczyła babcia.

"Ciekawe, kogo zdemaskuje - zastanowił się Tomek. - Będzie tak długo demaskowała, demaskowała, aż jej się to uda. Ten sen byłby dobry dla detektywa" - zaśmiał się w duchu.

Potem nastąpiła chwila przerwy. Przyczajony za drzwiami Tomek domyślił się, że Marysia stara się najpierw przypomnieć sobie sen.

- A mnie się śniła świeca - usłyszał.

Znów dłuższa przerwa.

- Czy aby nie migająca?

- Nie, babciu. Ona kopciła. - Marysia westchnęła. - Kopciła okropnie. Aż mnie oczy szczypały.

- Niedobry sen - babcia okazała zdenerwowanie. - Bo widzisz, dziecko, gdybyś śniła świecę palącą się jasno, oznaczałoby, że otrzymasz zaproszenie na biesiadę.

- Ale jej się śniła kopca -

Małgosia wyraźnie wyartykułowała słowo "kopcała". - Czy to może coś złego, babuniu?

- To znaczy... To znaczy, że Marysia będzie się musiała zniżyć do roli pochlebcy.

Zapadła cisza. Tomek przykrył dłonią usta, żeby zgromadzone w kuchni kobiety nie usłyszały chichotu.

- Babciu - głos najstarszej siostry drżał z niepokoju. - A co by oznaczała świeca migająca?

- To oznaczałoby pogrzeb - odrzekła babcia. - Ale ona nie migotała?

- Nie! Nie! - wykrzyknęła Marysia. - Oczywiście, że nie! Teraz już nie jestem nawet pewna, czy kopciła. Wydaje mi się, że chwilami jakby jasno świeciła.

- Chciałoby się, chciało - Tomek przez szparę w drzwiach zobaczył, że średnia siostra

zacierą ręce. - Nic z tego, Marysiu. Będziesz się zniżała.

Miał już wejść do kuchni, ale właśnie Kasia zapytała o sen babciu. Wszyscy dowiedzieli się, że babci śniła się wąska ścieżka, co znaczyło, że dozna zachepek.

- Ale jestem do tego przyzwyczajona - rzekła - i dam sobie radę. A gdzie to nasz Tomek?

Wszedł z niedbałym wyrazem twarzy. Usiadł na swoim miejscu, przysięgając, że nie da się wciągnąć w opowieści o śnie. Na szczęście go nie pamiętał. Miał tylko niejasne wrażenie, że sen był niepokojący.

- Nic mi się nie śniło - powiedział do przyglądających mu się z zaciekawieniem sióstr.

- Nieciekawym nic się nie śni - skomentowała Małgosia.

Skrzypnęły drzwi i do kuchni

wśliznęła się Mniamna. Jej imię brało się stąd, że suka oprócz zwykłych dźwięków, jakie wydają psy, potrafiła powiedzieć "mniam". Mniamna zajrzała do miski, a widząc, że jest pusta, wzięła ją w zęby i stanęła przy stole. Kiedy i to nie pomogło, wspięła się na tylne łapy, przednie oparła o brzeg stołu i cichutko zapiszczała. Chudy psi pysk celujący w puste dno miski wyglądał jak strzałka z napisem "tu wrzucać". Zaczęto więc wrzucać. Mniamna obeszła stół dookoła i wróciła do kąta z pełną michą.

Tomka intrygowała pewna sprawa.

- A gdzie dziadek? - zapytał.

- Jaki dziadek? - babcia uniosła wysoko brwi, ale zaraz je opuściła i żegnając się zawołała:

- Boże, wybac mi, że znów o nim zapomniałam!

Zerwała się od stołu i pobiegła do małego pokoiku, gdzie mieszkał mąż babci, dziadek wszystkich jej

nieodrodnym wnuczek oraz Tomka. Dziadek był już ubrany, uczesany i gotowy do wymarszu w stronę kuchni. Czekał jednak na zaproszenie.

- Kajtusi - szepnęła babcia.

- Wybac, że znów o tobie zapomniałam. To nie zła wola, ale od samego rana mam tyle obowiązków. Sam rozumiesz, jak to kobieta.

Nigdy nie byłem kobietą - dziadek bębnił palcami o blat nocnego stolika. - I dziękuję za to Bogu. Nie pierwszy i nie ostatni raz o mnie zapomniano, Felicjo. Taki już mój los - zwiesił mięsisty nos, a jego palce znieruchomiały. - Przypomina się o mnie wtedy, gdy jestem potrzebny do wypisania

recepty albo zwolnienia
lekarskiego. Wyciąga się mnie z
szafy, odkurza, a potem znów
zapomina.

- Czy można przynajmniej
wiedzieć, z jakiego powodu nasze
wnuki nie poszły dziś do szkoły?

- Wszystkiego się dowiesz przy
śniadaniu - babcia pogłaskała
rękaw dziadkowej marynarki - a
teraz już chodź, bo jedzenie
wystygnie.

- TAK, tak, chodźmy - dziadek
wstał. - Może zostały tam
jeszcze jakieś okruszki?

Przy śniadaniu wszyscy obecni
w kuchni usłyszeli, że budziki,
zatrzymując się w nocy,
wiedziały, co robiły. Otóż
Małgosia i Kasia miały stany
podgorączkowe, Tomek ciężko
oddychał, a Marysia rzucała się
niespokojnie "jak nie
przymierzając zajaczek w
sidłach".

- Pewnie bała się kopcającej
świecy - widać było, że do
wyobraźni Kasi trafiły opowieści
o snach. - Ja ją rozumiem. Gdyby
we śnie można było kogoś
zawołać, zaraz przybiegłabym i
zrobiłabym porządek z tą świecą.
Przycięłabym jej knot.

- Nie mogłabyś przybiec, bo

miałaś stan podgorączkowy i
leżałaś "jak nie przymierzając
kłoda" - mruknął Tomek. Nie
wierzył w stany podgorączkowe
sióstr, w zajaczkę w sidłach,
ani w swój ciężki oddech. Babcia
zatrzymała ich wszystkich w
domu, bo tak chciała. Tomek miał
nadzieję, że może dziadek coś
powie, na przykład: "Co ty
pleciesz, Felicjo" albo chociaż
coś mniej odważnego jak:
"Terefere", ale dziadek,
zadowolony z dobrego śniadania,
pocałował babcię w rękę i
powiedział:

- Jesteś nieoceniona, Felicjo.

Tomek wstał od stołu, podziękował grzecznie i podszedł do okna. Wszędzie było białe. Styczniowy śnieg skrzył się na parapecie, w ogródku, na dachu domu stojącego naprzeciwko, a w oknie tego domu stał kolega Tomka, nazywany przez Małgosię "tym z naprzeciwka". Za nim stała jego babcia, a obok siostra, Ania. "Szczęściarz - pomyślał Tomek. - Jedna siostra bliźniaczka, i to bardzo chłopakowata". W jego kuchni kręciły się trzy bardzo kobiece siostry. Między obydwojma domami miękko rozkładały się śnieżne zasy i zupełnie nagle Tomek przypomniał sobie sen. Śniło mu się, że brnie przez głęboki śnieg. Brnie, brnie i dobrnąć nie może. Miał wielką ochotę dowiedzieć się, co to oznacza, ale dał sobie słowo, że nigdy nie zapyta, co jaki sen znaczy. Dawanie sobie słowa było tylko formalnością, ponieważ Tomek po kryjomu zaglądał do sennika babci. Nikt w domu nie wiedział i nawet nie podejrzewał, że Tomek, jawny wróg tłumaczenia snów, w skrytości ducha głęboko w nie wierzy.

Jego siostry i babcia kręciły się w kuchni zmywając po śniadaniu, przygotowując warzywa do obiadu, a Tomek wymknął się, żeby pójść do pokoju babci i

zajrzeć pod hasło "śnieg". Dowiedział się, że brnąć przez zasy śnieżne znaczy mieć kłopoty. Zasunął szufladę komody i jak zawsze złożył sobie obietnicę, że już nigdy tu nie przyjdzie, żeby grzebać w senniku. Bardzo siebie nie lubił, bo wiedział, że przyjdzie, i to nie raz. Część tej antypatii spadała na babcię. Szczególnie wtedy, gdy sen zapowiadał coś niemiłego.

Zupełnie jakby babcia była winna temu, o czym Tomek śni.

Wrócił do kuchni. Trzy siostry i babcia nawet nie zauważyły jego nieobecności. Tomek podszedł do okna. Ani i Piotrusia już nie widział, ale i tak im pomachał. Mieli się spotkać dziś wieczorem, bo w każdy ostatni piątek miesiąca babcia z naprzeciwka przychodziła do jego babci na karciane wróżby.

* * *

Rodzina

Pieczarkowsko_Sowińska wierzyła w sny i wierzyła w kabałę. Nie mogło wydarzyć się nic, co nie zostałoby wcześniej wyśnione lub wywróżone, a jeszcze lepiej i wywróżone, i wyśnione. W sprawach wiary we wróżby część Pieczarkowską reprezentowała babcia, a Sowińską trzy wnuczki. Dziadek miał do tego stosunek chwiejny, Tomek wrogi, a ojciec obojętny. Pani Alina ożywiała się jedynie wtedy, gdy sny lub karty zapowiadały coś szczególnie pomyślnego.

Ostatnie piątki miesiąca wyglądały dokładnie tak samo, jakby co miesiąc powtarzał się jeden i ten sam piątek. Dziadek Pieczarkowski przez cały dzień drzemał albo bobrował w kuchennych szafkach narzekając, że gdzie się człowiek nie ruszy, znajduje tylko okruchy.

- To jedz porządniej, kochanie - poradziła mu babcia. - Nie będzie okruchów.

- Ja je zaraz posprzątam,

dziadziusiu - Kasia zakrzatnęła się z szufelką. - Ja je zaraz posprzątam i dam wróblom, bo szkoda, żeby marnowało się tyle okruszków. Z całej rodziny Kasia najbardziej dbała o bezdomne koty, psy, głodne ptaki. Po każdym posiłku zbierała na talerz wszystkie resztki i

segregowała je. "To dla piesków, to dla kotków, a to dla ptaszków".

- Gdyby nie ty, dziadziusiu, wszystkie wróble umarłyby z głodu - powiedziała zgarniając nowe okruchy sypiące się z fałd dziadkowych spodni.

Była pełna dobrych chęci, ale dziadek źle je odczytał.

- Wszyscy mi wypominają mój dobry apetyt - nadał się. - Idę spać. Nie będę kruszył, nie będę śmiecił. Widzę, że jestem niepotrzebny.

- Nie przejmujcie się - rzekła babcia do wnuków. - Widocznie od czasu do czasu dziadzius ma ochotę czuć się niepotrzebny i gnębiony. Dzięki temu później poczuje się bardziej potrzebny. Niektórzy ludzie lubią się w życiu huśtać i nie należy im przeszkadzać.

- Ja bardzo lubię - Kasia uśmiechnęła się z rozmarzeniem. - Ale teraz naszą huśtawkę w ogrodzie przysypał śnieg.

Babcia uszczypnęła wnuczkę w policzek.

- Ale wiosna sprzątnie śnieg. Sama cię rozhuśtam aż do nieba, a potem wskoczysz babuni prosto w objęcia.

- Czy aby babcia wytrzyma ten skok? - zaniepokoiła się Małgosia. - Kaśka nie jest znów taka lekka, a wiosną będzie jeszcze cięższa, bo starsza, a babcia jeszcze słabsza, bo też starsza.

- Babcie wytrzymują wszystko - oznajmiła babcia Pieczarkowska. - A teraz chodźmy sprzątać.

Poprowadziła wnuki do dużego pokoju, który w każdy ostatni

piątek miesiąca sprzątny był wyjątkowo starannie. Marysi wręczyła miotełkę na długim kiju i poleciła odkurzyć obrazy. Kasia miała wyczyścić łyżeczki,

Tomek odkurzyć dywan, a Małgosia czuwać nad całością. To ostatnie zadanie babcia zawsze powierzała Małgosi, uważając, że pozostałe wnuki są na to zbyt prostoduszne. Tomek nie rozumiał, na czym polega szczególny charakter zadania. Małgosia bowiem nie robiła nic. Płatała się i udzielała rad. Uważał, że on też mógłby czuwać nad całością i radzić, jak odkurzać, jak czyścić i jak ustawiać.

Po skończonym sprzątaniu dzieci stawały przed obrazem wiszącym nad kredensem i przyglądały mu się długo. Obraz był wielki, w ciemnych ramach. Przedstawiał kobietę dorodną jak Marysia, o włosach przypominających włosy Kasi, oczach dokładnie takich jak oczy Małgosi, a całość podobna była do babci Pieczarkowskiej. Obok wielkiej, jasnowłosej i stalowookiej kobiety tkwił drobny człeczyna. Kobieta obejmowała go od niechcienia, jak małego charcika, i widać było, że cała uwaga malarza skupiona była na niej samej.

- Oj, Boże - westchnęła Marysia. - Ileż ona ma władzy w oczach.

- A jaka jest wielka i wspaniała - pisnęła Kasia. - I jaką ma długą szyję. Jak łabędź.

- A jakie włosy - szepnęła Małgosia dotykając swoich szorstkich kosmyków.

- A jej mąż wygląda jak breloczek - ciągnęła Marysia obejmując jedną ręką cienką szyję brata.

- Jak mała mrówka, która wpełzła na spódnicę, a kobieta z dobroci serca nie strąca jej na podłogę - uzupełniła Małgosia.

Siostry najpierw podziwiały tę

według Tomka okropną panią o

szyi gęsi, oczach wydry, ustach
jak od wodopoju, tę wstrętną
kobietę o włosach wijących się
jak jaszczurki, tę babę o
posturze wiatraka, który stoi na
polu za miastem, a potem
rozczułały się nad miłym
człowiekiem o łagodnych oczach,
choć rzeczywiście drobnej
postaci, a jeszcze potem brały w
obroty brata. Nazywało się to
objawieniem uczuć siostrzanych.
Na zakończenie Kasia
przyczesała mu włosy,
obciągała ubranie i ewentualnie
przyszywała oberwane guziki.
Tomek czuł się jak breloczek
swoich sióstr. Tego, co z nim
czyniły, nie nazywał objawianiem
uczuć. To, że jest się niewiele
większym od najmłodszej siostry,
nie znaczy wcale, że człowiek ma
być przedmiotem natrętnych
czułości.

W zamyśleniu potracił
odkurzacz, odpięły się klamerki
przytrzymujące klapę i na dywan
posypały się śmiecie.

- Nie schował odkurzacza! -
zawołała Małgosia w ramach
czuwania nad całością.

Tomek zaczął zbierać śmiecie.
Kiedy już wszystko wessał,
odkurzył, spojrzał jeszcze raz
na portret przodkini, bo kobieta
z obrazu była prababką babci
Pieczarkowskiej, a drobny jej
mąż pradziadkiem, znanym ponoć
marynarzem, o którym dziadek
powiadał, że i owszem, żeglował
jako spławik, kiedy marynarze
łowili ryby, albo był korkiem od
termofora jakiegoś starego
zreumatyzowanego kapitana. Tomek
natomiast wierzył, że jego
praprapradziadek był kimś
nadzwyczajnym. Kimś niezwykłym,
szorstkim i dynamicznym, choć
rzeczywiście drobnej postaci.
"Przecież mężczyzna, żeby stać
się kimś, wcale nie musi być
wielkiego wzrostu - pomyślał. -
Taki na przykład Napoleon. Mały,
a jaki władczy". Tomek poczuł

się tak, jak czuć się lubił, i bał się, że nadejdzie któraś kobieta z rodziny i stłumi w nim wszystko, co najlepsze. W takich wypadkach chronił się zawsze na strychu. Teraz też tak zrobił. Przekradł się ostrożnie, owinał dziadkowym kożuchem i usiadł przy małym okienku. Widział zamrożony staw i rosnące dookoła wierzby płaczące. Oczywiście nie będzie wolno mu się poślizgać, bo babcia zaraz powie, że lód gotów się załamać, a przecież na dworze mróz aż trzeszczy. Babcia tylko o tym napomknie, a tata, przed chwilą zdecydowany puścić syna na ślizgawkę, popatrzy, popatrzy i powie: "Może innym razem".

- Nie dam ci się, babciu, nie dam - powtarzał. - Nie pozwalam mówić do siebie Walecik Kier. I dowiem się, dlaczego ostatni piątek miesiąca jest w naszej rodzinie takim wyjątkowym dniem.

* * *

O godzinie czwartej wrócili rodzice. Ojciec dowiedziawszy się od syna, że wszystkie dzieci nie były w szkole, zawrzał.

- Dlaczego pani to robi, pani Pieczarkowska? - wołał. - Dlaczego?

W chwilach zdenerwowania pan Sowiński zwracał się do swojej teściowej "pani Pieczarkowska".

- Jasiu - pani Pieczarkowska uważała, że więzy rodzinne nie zanikają przy byle jakiej sprzeczce i nigdy nie zwracała się do zięcia inaczej niż "Jasiu" - nie siedzę w budzikach, a poza tym dzieci źle się czuły.

- Co im dolegało?

Rzecz w tym, że dziewczynkom pomyliło się wszystko i Kasia przyznała się do zajaczka w sidłach, a Małgosia do stanu podgorączkowego.

- A tobie? - ojciec potrząsnął najstarszą córką, bo zwlekała z udzieleniem jasnej i rzeczowej

odpowiedzi.

- Też zajaczek w sidłach -
rzekła Marysia. - I nie szarp
mną, tatusiu, bo ducha ze mnie
wyrzęsiesz.

Do sprawy wmieszała się pani
Alina. Próbowala tak poprowadzić
rozmowę, żeby nie urazić ani
matki, ani męża i uraziła oboje.
Zostawiła więc całe towarzystwo
w kuchni i poszła się położyć.
Pani Alina źle się czuła od
jakiegoś czasu, wszystko ją
drażniło, denerwowało. Po drodze
spotkała ojca.

Dziadek Pieczarkowski wpadł do
kuchni "jak nie przymierzając
huragan".

- Nie pozwalam krzywdzić mojej
żony! - zawołał. - W końcu w tej
rodzinie ja jestem lekarzem i ja
najlepiej wiem, co któremu
dziecku dolegało. Jako lekarz
mam prawo decydować, które
dziecko zostawić w domu, a które
posłać do szkoły.

- I na wszelki wypadek
zostawił tata wszystkie -
powiedział pan Sowiński. - I tak
co miesiąc.

- To nie dziadek nas zostawił
- wtrącił Tomek. - To babcia. A
poza tym ja jestem zdrowy.

- Bardzo proszę, żeby to się
więcej nie powtórzyło -
powiedział pan Sowiński. -
Bardzo proszę. Nie chciałbym
mamy zaczepiać...

- Możesz to czynić bez
skrupułów - zezwoliła babcia. -
Śniło mi się, że doznam
zaczepki.

Wspólny obiad pogodził
zwaśnionych. Od stołu wstali
przepraszając się wzajemnie.
Babcia przyznała, że być może
przesadziła w trosce o wnuki,
ale "trzeba przecież zrozumieć
babcię". Pan Sowiński przyznał z
kolei, że być może i on
przesadził, ale "trzeba przecież

zrozumieć ojca". Wszystko zakończyło się dobrze, tylko babcia zerkała na Tomka z niechęcią.

Ledwie dziewczynki posprzątały

po obiedzie, gdy do drzwi zadzwoniły przyjaciółki Marysi. Przychodziły dowiedzieć się czegoś o swoim losie. Babcia przebrała się szybko w odświętną suknię, przywitała koleżanki wnuczki z szacunkiem i zaprosiła do dużego pokoju. Marysia, Małgosia i Kasia poszły za nimi, a reszta rodziny została w kuchni. Dziadek, który zaraz po obiedzie zdrzemnął się w fotelu, ocknął się nagle i wyraził wątpliwość, czy to przypadkiem nie grzech wróżyć dzieciom.

- Tu, widzisz, dziecinko, jakieś drobne kłopoty w domu - doleciało do uszu zgromadzonych w kuchni. - Posprzeczasz się pewnie z rodzicami.

- Pewnie nie kupią jej nowych butów - skomentował leniwie tata Sowiński popijając herbatę. Ochłonął już po sprzeczce i teraz rozmyślał nad dobrymi stronami sytuacji, w której babcia wychowuje dzieci. "Nie biegają z kluczem na szyi, jedzą pożywnie i na czas, uczą się życia w wielopokoleniowej, tradycyjnej rodzinie". Słowa te przelatowały przez jego głowę wolno, jak napisy na teledysku.

- Nie - sprostował Tomek. - Ta akurat będzie się awanturowała o walkmana. Agnieszka ma już wszystkie ciuchy i buty, jakie można kupić w naszym miasteczku. Zakład, że pójdzie o walkmana.

- A ty skąd wiesz? - natarł na wnuka dziadek Pieczarkowski. - Podśłuchujesz, jak rozmawiają czy co?

- Po każdym wróżebnym seansie idą do pokoju dziewczyn i drażnią się tak, że u mnie słycać -

wzruszył ramionami Tomek.

- To prawda - zgodził się dziadek. - Te młode damy mają wyjątkowo donośne głosy. U mnie też je czasami słyhać.

- Młode Damy Kier - rzuciła pani Alina i poprosiła męża, żeby jej zrobił jeszcze herbaty.
- Dlaczego ludzie tak chcą znać

swoją przyszłość. Czy nie lepiej wierzyć, że zawsze przyniesie coś dobrego?

- ...sprawa, na której ci zależy, będzie załatwiona po twojej myśli - kontynuowała miękko głosem babcia Pieczarkowska. - Patrz, tu stoja obok siebie aż trzy asy. To oznacza spełnienie życzeń.

- TRzy lub cztery asy, wnet się skończą ambarasy - zanucił dziadek Pieczarkowski. - Żebym tak miał pewność, że i mnie wyjdą obok siebie trzy asy, dałbym sobie powróżyć.

- I że wyjdzie miłość bez wzajemności do bruneta - Tomek posłyszał odgłosy świadczące o tym, że w dużym pokoju nastąpiło przegrupowanie. Teraz babcia będzie wróżyła Izie. - Jej zawsze wychodzi walet pikowy.

- Skąd wiesz? - pani Alina była rozbawiona. - Przecież o tym chyba nie wrzeszczy.

- Ona płacze - szepnął Tomek. - Płacze, a pozostałe ją pocieszają.

- Biedne dziecko - uzalił się pan Sowiński. - Jakże może mieć nadzieję, jeżeli babcia ją odbiera.

- A jakby się tak zawzięła na przekór wróżbom? - zawołał Tomek.

- Cicho - zaszeptał dziadek. - Teraz Felicja będzie wróżyła Marysi. Dowiemy się czegoś przy okazji.

W pokoju zaszurały krzesła i do uszu zgromadzonych w kuchni

doleciał ni to cichy płacz, ni ciężkie westchnienie.

- Nie trać nadziei, dziecinko
- pocieszyła nieszczęśliwą
babcia Pieczarkowska. - Póki
życia, póty nadziei.

- O Boże - westchnął tata. -
Nie jestem pewien, czy to nie
powinno być zabronione.

- Wielkie szczęście przy
tobie, wnuczko - głos babci
nabrał aksamitnej głębi. - Ale
nie potrafię powiedzieć, czy to

chodzi o wielkie uczucie, czy o
coś innego.

- O wielkie uczucie, o wielkie
uczucie z całą pewnością -
zaszeptał zjadliwie Tomek. - Im
wszystkim chodzi o wielkie
uczucia.

- Nie naigrawaj się z siostry
- napomniała go pani Alina. -
Przyjdzie czas, że i tobie
będzie chodziło o wielkie
uczucie.

Tomek tylko wzruszył
ramionami.

- ...Będziemy mieli gościa -
oznajmiła Marysi babcia. - Jakiś
gość ubogi zawita w twe progi.
Gdybym mogła rozłożyć karty
któremuś domowemu mężczyźnie,
dowiedzielibyśmy się, czy tym
gościem będzie kobieta czy
mężczyzna.

- Mężczyzna. Młody. Z całą
pewnością - wyrwało się Marysi.

Zarówno zgromadzeni w kuchni,
jak i w pokoju roześmieli się.

- Ten gość nie zjawi się
szybko - powiedziała babcia -
ale będzie miły twojemu sercu.

- O Boże - westchnął ojciec
opierając się ciężko o
zlewozmywak. - Kto to może być?
Miły sercu i ubogi. I ciekawe,
czy bardzo biedny.

- Tato - upomniał go Tomek. -
Miałeś w to nie wierzyć.

Potem babcia wróżyła Małgosi.
Karty przepowiedziały ubogiego

gościa i wielkie pieniądze.

- Nie wiem, jakiej będzie płci
- znów powiedziała babcia. -
Gdybym mogła powróżyc jakimś
domowemu mężczyźnie...

- Mówi o nas jak o kocurach -
rozzłościł się ojciec. - jak o
kocurach, które oswoiły się i
jedzą z ręki. A poza tym może
ktoś mi wytłumaczy, dlaczego,
żeby dowiedzieć się, jakiej
płci będzie gość, potrzebny jest
któryś z nas.

Pani Alina wytłumaczyła mężowi
w czym rzecz.

- Otóż widzisz, mój drogi,
kartą damy kier mama oznacza

młodą dziewczynę, dziecko.
Jeżeli wróżNy Marysi, to w
kartach dama kier oznacza
Marysię. Marysia, jako nasze
dziecko, stoi obok domu, czyli w
kartach dama kier stoi obok asa
kier. Widocznie karty tak się
ułożyły, że zapowiadają gościa,
ale nie można powiedzieć, jakiej
on jest płci, bo widocznie, żeby
wszystko dokładnie sprawdzić,
trzeba rozłożyć kasrty domo...
to znaczy jakimś
mężczyźnie, który mieszka w tym
domu. Ciebie na przykład w
kartach reprezentuje król pik,
jeżeli więc król pik będzie
stał...

- I tak nic nie rozumiem -
przerwał tata.

- Mamo, a skąd ty to wiesz? -
zdziwił się Tomek. - Przecież
nigdy nie rozkładasz kart.

- Bo ja kiedyś byłam Damą
Kier, która bez przerwy
zanudzała mamę: "powróż mi,
powróż mi".

- Czy karty zapowiedziały ci
kiedyś nieszczęśliwą miłość do
bruneta? - zapytał robawiony
tata.

- Przeciwnie - zaśmiała się
mama. - Karty zapowiedziały
miłość z wzajemnością i ślub.

Tata uśmiechnął się do mamy.

- A swoją drogą to ciekawe - zastanowił się dziadek - kto nas odwiedzi. To nie może być żaden żebrak, bo żebrak nie jest miły sercu. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej mnie to ciekawi.

Tomek wiedział, że na ten wieczór dziadek jest stracony. Sam się zgłosi na "domowego mężczyznę".

Wszystkie dziewczynki przeszły przez kuchnię i udały się do pokoju, w którym mieszkały trzy siostry. Na końcu szła smutna Iza. Tata Sowiński uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Nie nadawałbym się na wróżbitę - rzekł. - Mam za miękkie serce. A może by jej tak powiedzieć, że zakocha się w

niej blondyn?

Nikt nie zauważył, że w drzwiach kuchni stoi babcia Pieczarkowska.

- Karty mówią, co widzą - rzekła posyłając dziadkowi wymowne spojrzenie.

Dziadek pozbierał się i podreptał za babcią do dużego pokoju.

- Może i my pójdziemy posłuchać? - zaproponowała pani Alina.

W ten sposób cała rodzina dała się wciągnąć we wróżby. Tomek patrzył, jak babcia rozkłada karty, jak dziadek z przejęcia przełyka ślinę.

- Jakies urzędowe pieniądze - powiedziała babcia. - I rozmowa z brunetką.

- Czy zaproszę ją na kawę? - zapytał dziadek z nadzieją w głosie.

- Niestety, nie - odrzekła niemilośnie babcia Pieczarkowska. - Po prostu w poniedziałek pójdziesz do magla, a osoba, która tam pracuje, jest brunetką. To osoba

urzędowa. Wiesz, Kajtusi -
babcia postukała palcem w kartę.
- Obok asa kier stoi dama kier.
Tym gościem będzie młoda,
niezameżna kobieta.

- O Boże - westchnął ojciec. -
Czy bardzo uboga?

- Nie tyle biedna, co raczej
kosztowna... Tu oto stoja karty
oznaczające wydatki. Jeżeli i
ty, Jasiu, pozwolisz sobie
powróżyć, będziemy mieli
pewność. W końcu mieszkamy
razem, nasz dom to i twój dom...

Babcia tak przekonywająco
mówiła o obowiązkach względem
siebie i zaletach wszystkich
członków rodziny, że ojciec
zgodził się.

- Dobrze - machnął ręką
starając się nie patrzeć na
syna. - Niech mama wróży. Może
wyjdzie mi coś dobrego?

Babcia ochoczo rozłożyła
karty. Przy karcie oznaczającej

dom wielopokoleniowej rodziny
Pieczarkowsko_Sowińskiej stała
dama kier i wachała różę. Za nią
ciągnęły się czarne karty
przetykane czerwonymi karo.
Zestaw ten oznaczał wydatki.

- No i sami widzicie -
triumfowała babcia. - Tu nie ma
żadnego oszóstwa. Sami widzicie.
Wszystko dokładnie widać.

- No to i mnie proszę powróżyć
- pani Alina uśmiechnęła się
zagadkowo.

Jak poprzednio, tak i teraz,
przy karcie domu stała dama
kier bez grosza przy duszy.

- Ciekawe, ciekawe - pokręciła
głową pani Alina. - Czy mimo
tych wydatków będzie to
wydarzenie szczęśliwe, czy nie?

Babcia jeszcze raz przyjrzała
się kartom.

- Szczęśliwe. Wielka radość
dla domu.

- Nic już nie rozumem -
dziadek Pieczarkowski kręcił się

w fotelu. - Słyszał kto kiedy o rodzinie, która cieszyłaby się z wydatków?

- Może jakaś uboga krewna zjawi się w naszym domu, a potem okaże się, że jest bogata?... - ojciec tak bardzo dał się wciągnąć w sprawę damy kier, że zapalił papierosa w dużym pokoju, zapominając o zakazach babci Pieczarkowskiej. Babcia zaś była tak przejęta, że zapomniała o swoich własnych zakazach i osobiście podała zięciowi malutką popielniczkę z sercem kierowym na dnie.

- ...i być może ta nasza kuzynka, biedna, przygarnięta staruszka, rozchoruje się w naszym domu, będziemy pielęgnować ją troskliwie, ponosić wszystkie koszty, ale mimo naszych usilnych zabiegów babunia zemrze, potem okaże się, że była nieprawdopodobnie bogata i wszystko nam zapisała, a zjawiła się w naszym domu, żeby wypróbować spadkobierców...

- I nie żał by ci było,

tatusiu, biednej staruszki, która tyle by dla nas zrobiła? - zapytał Tomek.

- Oczywiście, że żał. Uważam, że nikt nie powinien umierać, ale, może ona będzie bardzo stara... bez chęci do życia.

- Ile według ciebie mogłaby mieć lat? - zapytał z błyskiem w okularach dziadek Pieczarkowski.

- No, gdzieś tak grubo powyżej siedemdziesiątki.

Zapadła cisza. Ojciec palił papierosa wpatrzony w kółka dymu. Pani Alina zaśmiała się cichutko, a dziadek rzekł głuchym głosem:

- To znaczy, że ja jestem stary. Według ciebie niewiele już mi zostało. Mogę umierać.

- Ależ... pan Sowiński

zorientował się, że popełnił nietakt. - Nie miałem na myśli taty, przecież tata wcale nie ma grubo ponad siedemdziesiąt. A poza tym... W co ja się do licha wdałem? Będzie gość, to się go nakarmi, przenocuje, przechowa kilka dni, a potem da dyskretnie do zrozumienia, że czas w drogę. Nie powodzi się nam aż tak źle, żeby nie móc godnie przyjąć gościa. Chodźmy stąd, synu - zwrócił się do Tomka. - Miałeś rację. Z kartami lepiej nie zaczynać.

Dziadek dalej siedział nieruchomo, przygarbił się tylko, jakby nie mógł uwierzyć, że ma już siedemdziesiąt kilka lat.

- Nie przejmuj się, Kajtusi - pocieszała go babcia. - Każdy ma tyle, na ile się czuje. Na ile lat się czujesz?

- Czy ja wiem? - Dziadzius zastanawiał się. - Przyznam się wam, że czasami c zuję się na jakieś... powiedzmy trzydzieści pięć, no, góra trzydzieści osiem.

Pani Alina roześmiała się głośno i powiedziała, że wszystkich ich strasznie kocha i nie lubi, kiedy się kłóca.

Babcia Pieczarkowska chciała skorzystać z ogólnie miłej atmosfery i namówić Tomka na kabałę.

- A może teraz nasz Walecik Kier rozłoży karty na trzy kupki? - zapytała przymilnie.

- Nie - odpowiedział Tomek i na wszelki wypadek wstał. - Nie rozłożę kart na trzy kupki ani na dwie, ani na jedną. Nawet ich nie dotknę. Nie chcę niczego wiedzieć.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko dalekie głosy pięciu Dam Kier. Wybijał się głos Marysi. Wrzeszczała coś na temat tajemniczego gościa bez grosza

przy duszy.

Tomek wyszedł z pokoju i pobiegł na pięterko. Zajrzał do pokoju sióstr i zawołał:

- Tym gościem będzie kobieta! Młoda i biedna!

Z satysfakcją patrzył, jak z ust Marysi schodzi wesoły uśmiech. Zamknął drzwi i jeszcze trochę pod nimi postął.

- A jednak to nie do mnie - chlipnęła żałośnie Marysia.

Tomek pobiegł do swojego pokoju. "Już myślałaś, że to jakiś biedny, poraniony młodzieniec do ciebie. Specjalnie do ciebie, marzycielko. Ty go znajdziesz na progu, wleciesz do domu, a rodzina będzie miała wydatki. Oczywiście od twoich czułych i delikatnych dotknięć zagoją się wszystkie nie gojące się rany i młodzieniec porośnie szorstkim włosiem". Był zadowolony, że dokuczył Marysi. Wczoraj w szkole przy wszystkich podniosła go do góry i ryknęła na całą szatnię: "mój najmilszy braciszek".

Rozłożył się wygodnie na tapczanie i postanowił tak dotrwać do wieczora, bo wieczorem miała się rozpocząć następna partia wtykania nosa w przyszłość. Przyjdzie babcia Witkowska z wnukami, Anią i

Piotrusiem. O babci Witkowskiej Małgosia mawiała, że nawet do pięt nie dorasta babci Pieczarkowskiej, co Piotruś kwitował spluwaniem na buty.

* * *

Śnieg sypał gęstymi, miękkimi płatkami. Ścisnął mocny mróz. Między domami rodziny Pieczarkowsko_Sowińskiej a Wysocko_Witkowskiej zupełnie zasypało ścieżkę. Babcia Witkowska stanęła bezradnie i popatrzyła na swoje buty.

- Nasypie mi się wierzchem -
mruknęła. - Ruszajcie pierwsi -
zwróciła się do wnuków. -
Wydepczcie mi ścieżkę.

- Jeżeli my będziemy
wydeptywali ścieżkę, to kto
babcię podtrzyma, jeżeli się
babcia pośliźnie? - zapytał
Piotruś.

- Będę się trzymała płotu -
odrzekła babcia Witkowska. -
Wydepczcie ścieżkę aż do samego
ganku Pieczarkowskiej i
sprawdźcie, czy na ganku nie ma
śniegu. Przez te wróżby człowiek
gotów sobie nogi połamać. Mocno
depczcie, a nie byle jak, swoim
zwyczajem.

Stała trzymając się płotu i
zrzędziła. Była bardzo
podenerwowana i pełna nadziei
jednocześnie. Mocno wierzyła we
wróżby i sny, ale ani córka, ani
zięć, ani wnuki nie wykazywali
zainteresowania tego rodzaju
sprawami.

- Szczęśliwa Pieczarkowska -
mamrotała spoglądając na dwie
drobne postacie udeptywane
śnieg. - Wszystkie jej wnuczki
są takie do niej podobne, a ja
mam tylko jedną wnuczkę i
zupełnie do mnie niepodobną. No
cóż - pocieszyła się
przytupując. - To nawet nie
przystoi wymagać od wnuków,
żeby były aż tak podobne do
babci. Przecież po drodze są
jeszcze rodzice. Rodzice zawsze
mają pierwszeństwo.

- Czy babci nie jest słabo? -

doleciało z ciemności.

- Nie, a dlaczego ma mi być
słabo? - zapytała babcia
Witkowska.

- Przecież rano babcia źle się
czuła! - zawołał cienki głosik.

- Rano było dawno! -
odkrzyknęła. - I nieładnie tak
komuś wypominać wiek.

Babcia Witkowska naraziła się

na tego rodzaju pytanie, gdyż rano zatrzymała w domu Anię i Piotrusia. Starła się to czynić w każdy ostatni piątek miesiąca, ponieważ we wszystkim naśladowała panią Pieczarkowską. Nie знаła przyczyn, dla których sąsiadka postępuje tak, a nie inaczej. Zachowywała się jak wierny poddany, który nie wnika w przyczyny postępowania swojego pana, z góry wszystko uznaje za nadzwyczajne. Zatrzymując wnuki w domu, używała różnych wybiegów, ale najczęściej jednego:

- Niech raz w miesiącu, w piątek, dzieci posiedzą z babcią. Już wkrótce mnie zabraknie i wtedy dopiero poznacie, co to troska kochającej osoby. Czy to stary człowiek wie, kiedy wybije jego godzina? - popiskiwała spoglądając łzawo na wnuki.

- Dlaczego mama tak patrzy, jakby widziała dzieci po raz ostatni w życiu? - zapytała pani Teresa, matka Ani i Piotrusia.

- Ot, różne czarne myśli chodzą człowiekowi po głowie - stęknęła słabo babcia. - Ot, różne i czarne.

Wnuki stały już w drzwiach. Kiedy spojrzały na drobną postać uczepioną framugi, ich własna zdrowa mama i wielki, silny tata wydali się ludźmi bez serca, odmawiającymi starowinie treści jej życia, towarzystwa ukochanych wnucząt.

- Ja zostaję - oznajmił Piotruś. - Bo gdy pomyślę sobie, że babcia może zasłabnąć...

- Tak, ja też, gdy pomyślę

sobie... - dodała Ania.

- Najwyżej będziemy mieli jeden dzień w miesiącu nie usprawiedliwiony - kontynuował Piotruś ściągając buty.

- Najwyżej będziemy mieli -

dodała Ania.

- Nie będziecie mieli -
zaszemrała babcia. -
Pieczarkowski usprawiedliwi.
Pieczarkowska mu każe.

- Źle mama robi! - zawołał
rozeźlony zięć. - Ale nie mam
siły wojować. Chodźmy, Teresa,
bo już późno.

Po wyjściu rodziców babcia
Witkowska jeszcze chwilę
słabowała, a potem nagle ożywiła
się, w godzinę potem wzięła się
za sprzątanie. Biegała po domu
jak wichur, bo w piątki wróżebne
nie mogła usiedzieć spokojnie w
jednym miejscu. Wieczorem,
starannie ubrana, wybrała się do
sąsiadki, niosąc w torbie kawał
ciasta własnego wypieku, a w
sercu wszystko to, co człowiek
niesie myśląc o przyszłości.

Babcia Witkowska czuła, że
zaczyna marznąć. Poprzez gęsty
śnieg nie widziała, co robią
wnuki. Bawią się czy udeptują?

- Dzieci! - zawołała. - Mnie
jest już zimno!

Ania i Piotruś zjawili się
natychmiast.

- Możemy iść - Piotruś wziął
babcię pod jedną rękę, a Ania
pod drugą.

Przez chwilę szli w
milczeniu. Bardzo zagadkowo
wyglądały trzy postacie idące
blisko siebie, prosto w stronę
jasno oświetlonego domu.

- Babciu - zapytała Ania. -
Czy babcia wierzy w to wszystko,
co mówi z kart pani
Pieczarkowska?

- Tak, dziecko - przytaknęła
gorliwie zapytana. - Ta kobieta
ma dar przepowiadania
przyszłości. Nim urodziliście
się, przepowiedziała, że urodzą
się bliźnięta. Zaraz, jak ona
wtedy powiedziała? - Babcia

Witkowska zatrzymała się. -
Aha, tak ładnie to zabrzmiało.

Walec i Dama Kier z podróży.
Matko Boska, wcale nie
wydeptaliście ścieżki! Nasypało
mi się do butów.

Wydeptaliśmy, ale babcia
poprowadziła nas inną drogą.

- To przez ten śnieg niczego
porządnie nie widać. Tak czy
siak, jesteśmy na miejscu. I
bardzo was proszę, zachowujcie
się, jakbyście byli dobrze
wychowani. Nie kładźcie mi się
na plecach, kiedy pani
Pieczarkowska wróży, nie
wrywajcie kart i nie pytajcie,
co która znaczy, nie rzucajcie
się na ciasteczka od Dzidka, bo
wasza babcia piecze lepsze.
Jednym słowem zachowujcie się
tak, żebym była z was dumna.
No, pukajmy. Ale kto to stoi
przy drzwiach taki mały i czarny?

- Przecież to nasz Kruczek,
babciu! Kruczek! - zawołała Ania.

Pies Ani i Piotrusia w każdy
ostatni piątek miesiąca
wyczuwał psim instynktem, że
gospodyni z wnukami pójdzie do
Pieczarkowskich, a tam
najmłodsza dziewczynka karmi psy
ciastkami. Wymykał się pod byle
pretekstem i już godzinkę
wcześniej siedział pod drzwiami
domu z drewnianym gankiem.
Podejrzewał, że gospodyni nie
zabrałaby go ze sobą.

- Żebym tak wcześniej
wiedziała, że przyleci, tobym
go w kuchni zamknęła -
powiedziała babcia Witkowska
otupując śnieg z butów.

* * *

Kasia pierwsza usłyszała
pukanie.

- Idzie pani Witkowska z Anią
i Piotrusiem! - zawołała.

- Trudno - szepnął dziadek. -
Jak tradycja, to tradycja.

- Tato - upomniała go pani
Alina.

- I Kruczek przyszedł! -
wołała Kasia otwierając drzwi
wejściowe.

Mniamnia zerwała się i pobiegnęła do kuchni wylizać miskę.

Cała rodzina z domu z drewnianym gankiem zebrała się w przedpokoju, żeby powitać gości.

- Tyle czasu pani nie widziałam - mówiła babcia Pieczarkowska.

- Ja też tyle samo czasu pani nie widziałam - odpowiadała babcia Witkowska. - Chyba, że z daleka, ale widzieć panią z daleka, to nie to samo.

Obie panie ucałowały się, a pani Witkowska wręczyła gospodyni ciasto. Z przyjemnością zanotowała, że oczy wszystkich wnucząt Pieczarkowskiej spoczęły na paczuszce z ciastem.

Babcia Witkowska słynęła ze wspaniałych, niepowtarzalnych wypieków i była z nich dumna. Jej zdaniem w tym jednym rzeczywiście przewyższała sąsiadkę. No i może jeszcze w cerowaniu, bo nikt w okolicy nie potrafił tego robić tak pięknie. Któż jednak w dzisiejszych czasach zwraca uwagę na cery, zwłaszcza jeżeli kolor nici jest tak dobrany, żeby nic nie było widać. Cera to coś skromnego, o czym się nie mówi. Pozostawały owe wspaniałe, niepowtarzalne" wypieki, pachnące i puszyste w sam raz i wilgotne w sam raz.

- To taki kawałeczek ciasta -, rzekła skromnie babcia Witkowska. - Nic nadzwyczajnego, ale może dzieciom będzie smakowało.

Piotruś i Ania wyłazili z ciepłych kurtek. Odmotywali z siebie długie szaliki. Małgosia była teraz w dobrym humorze, bo od rana minęło sporo godzin, miała czas dojść do siebie i zapomnieć o zemście, a poza tym cieszyła się na wróżby, przepadała za tajemniczymi wieczorami i cichym głosem babci mówiącym pewnie i przekonująco

o przyszłości.

- Cieszę się, że przyszliscie

- powiedziała przyjaźnie.

- Oni zaraz idą do mnie -
pospiesznie dodał Tomek, ale
Małgosia nie poczuła się
urazona, wspaniałomyślnie
skinęła głową.

Przyglądający się ciepłym
kurtkom i szalikom Tomek miał
wrażenie, że uroczyście witani
goście przybywają z daleka, z
jakiejs odległej miejscowości,
zakopanej po dachy w śniegu.
Zmrużył oczy i wydało mu się, że
w przedpokoju zapachniało
dawnymi latami, znanymi tylko z
książek, kiedy ludzie odwiedzali
się rzadko, ale wizyty trwały
długo, były wyczekiwane i pełne
odsłwiętej radości.

Pani Pieczarkowska obejrzała
bliźnięta i stwierdziła, że
urośli.

- I pani wnuczki urosły -
uśmiechnęła się pani Witkowska.
- Mój Boże, jakież one są do
pani podobne. - Żałosny skurcz
przebiegł po jej twarzy. - No,
ale chodźmy, chodźmy.

Zacierając ręce poszła przodem
do dużego pokoju. Za nią
dziadek, babcia, mama, tata i
wszystkie siostry Tomka.

Tomek zabrał Anię i Piotrusia
do swojego pokoju. Bardzo lubił
ich u siebie gościć. Mogli
siedzieć we trójkę na wąskim
tapczanie, gryźć pestki dyni i
nic nie mówić. Bliźnięta ubrane
w jednakowe spodnie ogrodniczki,
jednakowe czerwone golfy,
jednakowo ostrzyżone, wyglądały
po prostu jednakowo. Działo to
bardzo dobrze na Tomka, jakby
miał dwóch wypróbowanych
kolegów. Wszyscy troje chodzili
do tej samej klasy. Ania i
Piotruś siedzieli razem, a
Tomjek za nimi. Jeżeli na
którejś lekcji Piotrek i Tomek

chcieli pograć w okręty, Ania podnosiła rękę i pytała, czy może zamienić się miejscem z Tomkiem, bo po prostu ma dość

siedzenia z chłopcem.

Wspólne wieczory, kiedy babcia Pieczarkowska wróżyła babci Witkowskiej, wszyscy troje nazywali "wieczorami straconymi, ale nie dla nas".

Posiedzieli trochę w milczeniu, a potem zaczęli się bawić żołnierzami. Ani jak zwykle przypadło w udziale dowodzenie oddziałem, na czele którego stał oficer podobny trochę do kobiety.

- Gdybym naprawdę prowadziła oddział do ataku, to przywoływałabym żołnierzy właśnie w taki sposób - powiedziała Ania i wykonała prawą ręką gest dokładnie taki, w jakim zastygła ręka oficera podobnego do kobiety.

Posapując i postępując Ania ruszyła na czworakach prowadząc oddział metodą przestawiania do przodu poszczególnych żołnierzy.

- Bawisz się jak dziewczynka - zganił ją brat. - Nie wiesz, o co chodzi?

- Daj jej spokój - powiedział Tomek.

Ania powiodła więc swój oddział metodą dziewczynki wyprowadzającej lalki na spacer. Piotrek złościł się trochę, a Tomek go uciszał.

Bawili się długo, a tymczasem w dużym pokoju babcia Pieczarkowska ciągle wróżyła babci Witkowskiej, dziadek drzemał, przytulona do niego Kasia starała się utrzymać otwarte powieki, co udawało jej się raz na kilka minut. Marysia straciła już zainteresowanie dla kart. Oglądała jakiś żurnal, pani Alina zaglądała jej przez ramię, a pan Sowiński czytał,

starając się czynić to
dyskretnie, żeby przypadkiem nie
urazić gościa.

Gość był tak pochłonięty
kartami, że niczego nie
zauważał. Małgosia natomiast
przesiadała się z krzesła na
krzesło, jednym uchem łowiąc, co

mówi babcia, a drugim usiłowała
wyłapać jakieś dźwięki z piętra,
od strony pokoju Tomka. Przyszło
jej do głowy, że kto wie, może
zmawiają się na nią. Nie darmo
jej sen mówił, że zdemaskuje
fałszywego przyjaciela. "Ale kto
tam właściwie jest moim
przyjacielem? - zastanowiła się.
- Tomek? Przecież to brat. Ci z
naprzeciwka? Wola Tomka. Nie ma
więc się czego obawiać".
Spokojnie wsłuchiwała się w
ściszony głos babci.

- jakiś list z dalekiej drogi.
Pewnie od męża...

- A jego samego tam nie widać?
- dopytywała się pani Witkowska.

- Nie, on sam jest bardzo
daleko. Bardzo. - Babcia
Pieczarkowska wzięła do ręki
króla trefl. - Jego sprawy
układają się pomyślnie.

- Że też on musi mieć brata
akurat we Włoszech, i że też ten
brat, zamiast przyjechać, musiał
go zaprosić. - Była coraz
bardziej zdenerwowana, bo karty
już przedtem przepowiedziały jej
pewne przykrości urzędowe oraz
zmartwienia domowe.

- Brunetka nad ranem,
blondynka w środku dnia, ruda z
walizami wieczorową porą -
sennie zamruczał dziadek
Pieczarkowski i obudził się.

Wszyscy zaczęli się śmiać i w
tym samym momencie z kuchni
dobiegł odgłos tłuczonego szkła.
To Mniamna zaprosiła Kruczka na
stół, gdzie oba psy same
posegregowały jedzenie
przeznaczone dla głodnych

stworzeń. Nie było nawet co sprzątać, bo stłuczony talerz wylizały do czysta. Obydwa psy skarcono. Siedziały skruszone w przedpokoju i miały takie nieszczęśliwe pyszczki, że Kasia ulitowała się i nakarmiła je ciastkami od Dzidka.

Zamieszanie, które spowodowały psy, odciągnęło babcię Pieczarkowską od kart. Złożyła je i schowała do szuflady w

kredensie.

- No, to czas się już zbierać - westchnęła babcia Witkowska.

Wstała z krzesła, ale nie wyszła z za stołu mając nadzieję, że sąsiadka zaproponuje rozłożenie kart jeszcze raz. Z całego serca pragnęła je widzieć leżące na stole po raz szósty, tym razem bez kłopotów urzędowych i domowych. Chętnie wydusiłaby z tych kart jakąś lepszą prawdę o swojej przyszłości, ale wstydziła się poprosić, zwłaszcza że pani Pieczarkowska powiedziała, że karty są zmęczone.

- No, to ja już pójdę - zdecydowała myśląc z rozpaczą, że od następnego wróżebnego piątku dzieli ją cały miesiąc.

Małgosia przyprowadziła Anię i Piotrusia szepcząc im po drodze o kłopotach blisko domu i w ogóle o tym, że karty niedobrze się dziś ułożyły.

- To trzeba je było ułożyć inaczej - odpowiedziała Ania. - Wtedy byłoby dobrze.

- Jesteś niemądra - zganiła ją Małgosia. - Kart nie wolno przekładać w dowolny sposób. Mówią, co mają do powiedzenia, no i oczywiście, jeżeli ktoś nie chce, nie musi wierzyć. Ja wierzę, bo sprawdza się wszystko, co mówią.

- A ja nie wierzę - odparła Ania. - Bez względu na to, czy

się sprawdza, czy nie.

Powiedziała to w sposób tak lekceważący, że Małgosia zastanowiła się, kogo z naprzeciwka należałoby najpierw obić. Piotrka czy może Ankę.

Goście, żegnani z honorami, wyszli. Babcia z przerażeniem spostrzegła, że wydeptana ścieżkę zasypał śnieg.

- Wszystko mi już jedno - machnęła ręką.

Cała nadzieja, którą niosła idąc do sąsiadów, uleciała gdzieś, a jej miejsce zajęła ponura pewność, że kłopoty

czyhają ze wszystkich stron. List jej nie cieszył, bo wiadomości od męża przychodziły i tak regularnie.

- Już nigdy w życiu nie dam sobie wróżyć - złościła się. - Nigdy, przenigdy, za żadne skarby świata. Wszystko to bzdury, a głupi człowiek wierzy. Przez te wróżby gotowam sobie nogi połamać.

Wnuki znały tego rodzaju obietnice. Babcia składała je, gdy karty przepowiedziały coś nie po jej myśli.

- Już nigdy więcej tam nie pójdę! - zawołała wyzywająco. - Słyszycie? Już nigdy!

Dobrnęli do domu z białym gankiem. Babcia wdrapała się po trzech schodkach. Okna domu były ciemne, bo córka i zięć wyszli gdzieś, przekonani, że mama będzie się dobrze bawiła u sąsiadki.

- Tfu, z taką zabawą - splunęła babcia Witkowska i ogarnął ją tak straszny smutek, przygnębienie, że aż się skurczyła. Zupełnie, jakby za tymi ciemnymi oknami czaiły się wszystkie kłopoty, którym ona sama musi dać radę.

- Otupcie dobrze nogi - powiedziała do wnuków głosem

nabrzmiałym łzami.

- Po co w to wierzysz? - Ania i Piotruś objęli babcię.

Przełknęła łzy.

- Bo nie potrafię inaczej. Kochacie waszą babcię, prawda?

- Jeszcze jak - odrzekły żarliwie bliźniaki. - Ze wszystkich sił.

- I moje ciasta są lepsze niż ciasteczka od Dzidka, prawda? Tamte to od biedy można wieszać na choince, bo niemal w każdym zapieczony jest włos samego Dzidka. Poznać, że to jego, bo Dzidek jest jedynym ciemnowłosym cukiernikiem w naszym miasteczku. Kochacie mnie? - upewniła się jeszcze raz.

- Jeszcze jak - powtórzyły

bliźnięta.

- Moje aniołeczki - wzruszyła się znów usłyszawszy zapewnienie. - Ale co to siedzi pod drzwiami? Takie małe i czarne?

- To Kruczek. Nasz Kruczek!

- Dobra psina - pochwaliła psa, ten z wdzięczności załomotał ogonem o podłogę ganku. - Poczciwina.

Pomyślała, że z takim kochanymi wnukami i takim wiernym psem lżej zniesie kłopoty czające się ze wszystkich stron.

Tymczasem babcia Pieczarkowska nie musiała się podtrzymywać na duchu, nie musiała ganić niczego, co pochodziło z domu z białym gankiem. Nawet bardzo chwaliła ciasto pani Witkowskiej i pogodnie oświadczyła całej rodzinie, że ona takiego nigdy w życiu nie upiekła i pewnie nie upiecze, bo do tego trzeba mieć talent. Babcia Pieczarkowska poszła spać spokojnie, sprawdzwszy uprzednio, czy wszystkie nieodrodne wnuczki oraz Tomek są ciepło okryci.

Ułożyła się na wznak, okryła kołdrą, ręce wyciągnęła równiutko wzdłuż boków i zapadła w pokrzepiający sen, który miał ją doprowadzić do następnego dnia.

* * *

W ciągu pierwszych dwóch tygodni lutego spełniły się wszystkie karciane przepowiednie. Część rodziny miała również okazję przekonać się o prawdziwości swoich snów.

W pierwszy poniedziałek lutego do drzwi domu z drewnianym gankiem zastukał ośnieżony listonosz z emeryturą dla dziadka i pieniążkami dla Małgosi. Pieniądze przysłała druga babcia, mama taty. Był to spóźniony prezent urodzinowy.

- Hurra! - wrzasnęła Małgosia.
- Wiedziałam, wiedziałam, że tak się stanie. Przecież karty

przepowiedziały mi pieniądze.

Skakała po przedpokoju, rzucając się wszystkim na szyję i wykrzykując słowa podziękki pod adresem drugiej babci.

- Życzę wam wszystkim takich snów jak moje! - wołała. - Życzę wam dobrych, najlepszych snów.

- Przecież nie idziemy jeszcze spać - wzruszył ramionami Tomek. Był poirytowany, bardzo potrzebował pieniędzy.

Małgosia zatrzymała się w skoku.

- Zazdrościsz mi, co? Widać, że mi zazdrościsz.

- Też coś - obruszył się, ale niezbyt mocno, żeby nie zauważyła, jak bardzo w gruncie rzeczy zazdrości. W tym, co poczuł, odnalazł nie tylko to niedobre uczucie, ale również trochę smutku, jakby w najbliższym czasie w ogóle nic go nie czekało. Ani dobrego, ani złego.

- No i widzicie - uśmiechała

się łagodnie babcia. - I pomyśleć, że są tacy, którzy nie wierzą w karty.

Dziadek schował emeryturę do szuflady i poszedł do magla porozmawiać z brunetką. Na przekór wróżbom chciał ją jednak zaprosić na kawę, ale los mu nie sprzyjał. Przesiedział w maglu całe dwie godziny namawiając brunetkę ze wszystkich sił, ale kobieta wytłumaczyła się chorym wreczkiem żółciowym. Dziadzius mamrocząc, że jest potrzebny tylko do wypisywania recept, zapisał odpowiedni lek, wrócił do domu, położył na stole stos wymaglowanej bielizny i ogłosił:

- To były ostatnie wróżby, na jakie dałem się namówić! Przez te głupoty człowiek traci pewność siebie i wiadomo, że nic mu się nie powiedzie. Ludzie wierzący w karty są ludźmi ograniczonymi. Cóż to są w końcu karty? Jakies tam obrazki i nic więcej. Równie dobrze mógłbym sobie wróżyć z etykietek na

pudełkach od zapalek. Wszystko to jest umowne, ale ja ani myślę więcej się z tym czymś umawiać. Idę do siebie.

- Nie przejmujcie się - rzekła babcia do wnuków. - Dziadek bywa gwałtowny, zwłaszcza wtedy, gdy los nie chce mu się podporządkować. Z jednej strony jest człowiekiem łagodnym, a z drugiej sprzeciwia się losowi bardzo ostro. Taki stosunek dziadziusia do losu nie jest nowy... jest stary jak sam dziadzius.

- Babciu - Małgosia rozłożyła na stole pieniądze i przyglądała im się wszystkim razem i każdemu banknotowi oddzielnie. Czy wiesz, że ja w tej chwili mam dziwny stosunek do tych pieniędzy? Tak bym je wydała na coś ładnego i tak mi żal.

- Więc jeszcze je trochę
potrzymaj - doradził ojciec,
który też przyglądał się każdemu
banknotowi oddzielnie i
wszystkim pieniądzom razem i
myślał, że jest to suma, za
którą można kupić porządne
zimowe buty. Kusiło go namówić
Małgosię, żeby sprawiła sobie
coś praktycznego do ubrania, co
później przeszłoby na Kasię, ale
wstyd zawiązał mu język na
supeł. - Pieniądze lepiej zawsze
troszkę potrzymać - szepnął
nieśmiało. - Wtedy człowiek i
nacieszy się nimi, i ma czas na
zastanowienie się, na co wydać.
- Odchrząknął i wstał od stołu,
żeby dzieci nie widziały wyrazu
jego twarzy.

Pan Sowiński bowiem, ilekroć
była mowa o pieniądzach, czuł
się tak niepewnie, jakby
rozmawiano przy nim w języku
hindi. Miał sobie za złe, że
mało zarabia, a w miasteczku nie
mógł znaleźć żadnej pracy
dodatkowej i było mu naprawdę
przykro, kiedy patrzył, jak jego
żona usiłuje związać koniec z
końcem.

- Gdyby te pieniążki były moje

- rzekła Kasia dotykając
banknotów - przeznaczyłabym je
na prezenty dla moich sióstr i
brata. Sobie też coś kupiłabym,
ale i o nich pamiętałabym.

- To się jeszcze zobaczy -
Małgosia zgarnęła pieniądze,
schowała do czerwonej
portmonetki i zanosła do
szuflady w pokoju, kótry
dzielili z siostrami. Zatrzymała
się przed lustrem i popatrzyła
na swoje odbicie. Zobaczyła
szczupłą twarz o stalowych
oczach, otoczoną sterczącymi
włosami. Dotknęła policzków.
Były blade, jakby nie miały w
sobie kropli krwi. "Kupię sobie
róż - postanowiła. - I apaszkę

pod kolor. I cienie do powiek.
Kupię Kasi dwie laleczki w
jednej wanience. Maryśce spinki
do włosów, a Tomkowi
czterokolorowy długopis. I może
tym z naprzeciwka też coś kupię,
bo będzie im przykro. I Mniamni
nową obrozę. Tak, Mniamni trzeba
kupić nową obrozę, bo to, że
jest psem z rodziny
wielodzietnej, nie znaczy wcale,
że ma chodzić jak psia
żebraczka. Ale lalki i spinki?
Długopis? - Podeszła do półki z
zabawkami Kasi. Siedziało na
niej kilka lalek w dobrym
jeszcze stanie. - Właściwie to
Kaśce przydadzą się nowe jak psu
piąta noga. Idzie wiosna,
dziecko będzie się bawiło w
piachu, w ogrodzie, a nie
lalkami. Nim przyjdzie następna
zima, może Kaśka w ogóle nie
będzie się nimi bawiła. Maryśce
nowe spinki są potrzebne jak
dziura w moście - medytowała
oglądając pudełeczko z
drobiazgami najstarszej siostry.
Tomkowi długopisu też nie kupię,
bo przecież zgubił w szkole dwa
w ciągu jednego miesiąca. Sobie
też nic nie kupię i w ten sposób
zaoszczędzę. Nie darmo przecież
mój sen z niedzieli na
poniedziałek mówił, że dojdę do
dobrobytu własną pracą, a

oszczędzanie to bardzo ciężka
praca. Schowam więc wszystkie
pieniądze albo jeszcze pomyślę.
Może trochę schowam, a trochę
wydam".

Co do Marysi, to ostatnia
przepowiednia podziałała na nią
najpierw uskrzydlająco. Kiedy
jednak do pokoju zajrzał Tomek i
wrzasnął: "Tym gościem będzie
kobieta", serce Marysi, przed
chwila jeszcze pulsujące
radośnie i równo, skurczyło się
z żalu.

Marysia posmutniała, umilkła i

zaczęła pisać wiersze, a jeden był smutniejszy od drugiego. Najbardziej melancholijny i nawet dla niej samej niezupełnie zrozumiały był wiersz "Czarne łapki".

"Wszędzie biało, tyle śniegu nawiało i radość potrójna otacza jak trzeba, wtem drzwi ktoś otworzył i w mym sercu ślady czarnych łapek..."

- Biedna Biała Gęś, biedna! - zawołała Małgosia po przeczytaniu wiersza. - Będzie musiała otworzyć swoje serce przed Kaśką, a Kaśka będzie trzymała miotełkę, szufelkę i wyczyści serce Marysi. I zapastuje. Ale froterować będę ja, bo bardzo to lubię. "Serce wyfroterowane, na jarmarku sprzedane!" - zaśpiewała. - Nie chwiej tak swoją łabędzią szyją, siostró, jakbyś szukała na wodzie kawałka bółki. Twój wiersz jest bardzo ładny i ja go rozumiem. On mówi o tym, że nasz brat jest brutalem.

Marysia schowała wiersz i sama wyfroterowała swoje serce. Wyrzuciła z niego wszystkie myśli o nieszczęśliwych ubogich młodzieńcach, którym można nieść pomoc. Postanowiła zostać nauczycielką, poważną starą panną, bez uroku osobistego, bez życia osobistego, oddaną dzieciom bez granic. Gładko

przyczesała włosy i wieczorową porą zjawiała się w kuchni z zeszytem i ołówkiem.

- Nowe wcielenie starej Maryśki - burknął Tomek, ale Małgosia kopnęła go w nogę i syknęła:

- Przez ciebie, ty potworze, nasza siostra jest smutna.

- Nasza siostra jest głupia, a nie smutna - odrzekł Tomek. -

Zresztą wszystkie moje siostry
są głupie, z wyjątkiem
najmłodszej.

- Nasz brat też jest głupi -
odpowiedziała Małgosia. - On
jest głupi bez wyjątku.

Marysia przełknęła uwagę
Tomka. Oddane dzieciom
nauczycielki muszą być
przygotowane na znoszenie
różnych niewybrednych uwag i
muszą je kłaść na karb
niedojrzałości dziecięcej.
Usiadła w kącie kuchni za małym
stolikiem i czując się jak
prawdziwa pokorna dusza, niosąca
oświatę w jakimś zapadłym kącie
kraju, zaczęła uczyć Kaśkę
pisanie i czytania. Kasia dukąła
składając litery, jakby je
nawlekała na mocny sznurek.
Jednocześnie podkarmiła
Mniamię herbatnikami. Każde
ciastko suka kwitowała wdzięcznym
"mniem".

- Nie karm psa ciasteczkami,
kochanie - przemówiła łagodnie
pani nauczycielka. - Psu szkodzi
to i na żołądek i na ząbki.

Kasia cofnęła rękę z
herbatnikiem, a wtedy rozległ
się pomruk niezadowolenia.

- Ona jest na panią zła -
szepnęła uczennica. - Ona chyba
mówi, że jej żołądek i jej zęby
są jej sprawą.

- Pies nie może mówić. Pies
warczy, pies piszczy...

- Mówi "mniem" - przerwała
Kasia.

- Pies szczeka - uzupełniła
Marysia.

Pies rozszczekał się tak
zajadle, że odpoczywający w

drugim kącie kuchni dziadek
wrzasnął:

- Dajcie temu cholernemu psu
wszystkie ciastka, jakie są w
domu, tylko niech przestanie
szczekać! Mniamię, cicho!
Kasia, daj jej, co trzymasz w

łapie.

Rozległo się krótkie i rzeczowe "mniam", a potem słychać je było w różnych odstępach czasu przez cały burzliwy wieczór.

Zgromadzona przy stole rodzina obradowała na temat wiosennych zakupów. Zastanawiano się właśnie, czy kurtka Małgosi będzie jeszcze na nią dobra, czy trzeba jej kupić nową.

- Kupcie mi nową, kupcie - radziła z przekonaniem Małgosia.
- Nie to, żebym była aż tak wymagająca, ale bladym osobom źle jest w niebieskim. Wyglądam w niej jak żebraczka. Kto słyszał, żeby osoba blada nosiła przez trzy lata z rzędu błękitną kurtkę? Wyglądam w niej jak blada żebraczka.

- Bez przesady - sprostowała mama. - Wyglądasz w niej jak dziecko z rodziny wielodzietnej. To chyba zrozumiałe.

- Oczywiście, że zrozumiałe - przytaknęła Małgosia. - Ale bardzo przykre. Kaśka nie chodzi jeszcze do szkoły, może więc nosić błękitną kurteczkę. Z daleka nie widać, czy jej w tym kolorze do twarzy, czy nie. Każdy, kto będzie przechodził ulicą, pomyśli: "Jaka ładna dziewczynka w błękitnej kurteczce. Jak miło wygląda. Jak z bajki. W ogrodzie rosną kwiatki, w oknach domu powiewają muślinowe firanki, a w ogródku od frontu bawi się śliczna dziewczynka w błękitnej kurteczce".

- Ale my nie mamy muślinowych firanek - powiedział Tomek. Zapatrzony w obraz, który przed jego oczami namalowała Małgosia, zapomniał, że rozmowa zaczyna

schodzić na niebezpieczny dla niego temat.

Pan Sowiński spoglądał na

pieniądze z tak wielkim smutkiem, że aż mu zlodowaciał czubek nosa. To, co przed nim leżało, było jego pensja, jaka otrzymywał za miesiąc pracy w przemyśle mleczarskim. Im bardziej przyglądał się swojej pensji, tym mniejszą czuł ochotę, żeby powiedzieć: "Nie ma to jak przemysł mleczarski. Weźmy na przykład szklanekę zwykłego mleka..."

Ubrana w brązowy szlafrok babcia Pieczarkowska siedziała za stołem jak wielka aksamitna góra. Wszystkich oświetlało łagodne domowe światło wiklinowej lampy, ale najbardziej oświetlało babcię.

Na białych kapturkach, przykrywających słoiki z przyprawami, płynęły granatowe żaglowce, które kiedyś wyszywała babcia Pieczarkowska rozprawiając o pradziadku żeglarzu. Na półkach stały moździerze, jeszcze z czasuów, kiedy babcia była bardzo młoda. Spoglądając na moździerze wspominała niekiedy swój rodzinny dom, zwłaszcza czas przedświąteczny. W tych właśnie moździerzach jej mama tłukła orzechy i migdały.

- Kurtkę po Małgosi może nosić Tomek - zdecydowała babcia Pieczarkowska.

- Słucham? - ocknął się Tomek ciągle jeszcze oczarowany wizją ogrodu, w którym bawi się dziewczynka w niebieskiej kurteczce, a zza płotu przygląda jej się chłopiec w marynarskim ubranku. Chciałby się z nią pobawić, ale nie ma odwagi.

- Babcia powiedziała, że nie trzeba wydawać pieniędzy na kurtkę dla ciebie - rzekła Małgosia. - Będiesz nosił niebieską.

- Nie będę nosił tej kurtki - oznajmił Tomek. - Jest

błękitna. Chłopcy w moim wieku nie noszą błękitnych kurtek.

Patrzył w stół, bo bał się, że babcia oczami przekaże mu rozkaz i on ten rozkaz wykona.

- Tato - jęknął w bok - nie każ mi nosić błękitnej kurtki. Chłopcy...

- Noszą, noszą - babcia nie mogąc uchwycić spojrzenia wnuka, tak lekceważąco machnęła ręką, że poruszył się wiklinowy abażur nad stołem. Jasne światelka przeleciały po twarzach siedzących, ale najjaśniej po twarzy babci.

- Noszą, noszą i nie wydziwiają - powtórzyła babcia.

- Małgosi kupi się nową. Kasi też, a ty będziesz nosił niebieską. Dorobi się nowe zapięcie i granatowa kurteczka będzie jak nowa.

- Czy to znaczy, że są dwie? - ożywił się ojciec. - Granatowa byłaby dobra. Prawda, synu?

- Jest jedna, błękitna, ale babcia specjalnie mówi o niej granatowa, żeby, żeby...

Zabrakło mu słów. Czuł tylko ogarniającą go straszliwą wściekłość. Zesztywniały mu szczęki i nie mógł wydusić słowa.

- Nieważne, jaka jest, i tak zaraz będzie brudna - powiedziała babcia. - Chłopcom nie opłaca się kupować nowych rzeczy, bo i tak szybko zniszczą.

- A nasz Tomek jest niszcuch i flejtuch - uzupełniła Małgosia.

- Tato - jęknął Tomek. - Ona mnie dręczy.

- Małgosiu, zostaw go w spokoju, bo cię przepytam z geografii. I z innych przedmiotów też cię przepytam. Wszystkich was przepytam...

- I Tomka też - odpowiedziała Małgosia.

- Wszystkich was przepytam ze wszystkiego! - zawołał ojciec wiedząc, że wszelkie rozmowy o zakupach są w stanie doprowadzić go do ciężkiego ataku. -

Pilnujcie się! - uniósł w górę wskazujący palec, a potem opuścił i wycelował w sam środek kupki pieniędzy. - Jeżeli chłopak mówi, że nie będzie nosił tego, czego nie noszą jego koledzy, nie należy go zmuszać. I tak donasza wszystko po siostrach. On nosi nawet majtki w kwiatki. Nosi bluzki zapinane na damską stronę, nosi damskie piżamy! - Głos ojca unosił się coraz wyżej i wyżej.

Tomek rozplakał się. Bardzo cierpiał nad swoją dziedziczną po siostrach garderobą, ale znosił cierpienia w milczeniu. Teraz jednak, kiedy ojciec takim gromkim głosem wyliczył wszystkie jego krzywdy, Tomek nie wytrzymał.

- Kupcie mu co trzeba z mojej emerytury - wmieszał się dziadek. - Tylko niech ten dzieciak przestanie płakać. Z jednej strony szczekanie żarłocznego psa, z drugiej łkanie dziecka, z trzeciej podniesiony głos zięcia. Wytrzymać nie można w tej kuchni.

- Nie na darmo śniło mi się, że doznam zacepek - rzekła głucho babcia Pieczarkowska. - Ot i sprawdził się mój sen.

- Jeżeli ktoś zaczepia moją żonę, to ja wychodzę - dziadek pozbierał się z fotela. - Niech triumfuje młodość i jakaś tam kurteczka, o której tak rozprawiacie, zamiast posłuchać Felicji. Ona wszystko wie najlepiej.

- Tato - westchnęła pani Alina. - Nie ma człowieka, który wiedziałby wszystko najlepiej.

- Mówisz o swojej matce, Alinko. - Dziadek obciągnął sweter, odszukał okulary, ujął babcię pod rękę i oboje skierowali się w stronę drzwi.

W ten sposób tradycji stało się zadość, ponieważ w rodzinie Pieczarkowsko_Sowińskiej

wszelkie rozmowy na tematy finansowe kończyły się kłótnią.

Marysia była tak zadumana, że nie zorientowała się nawet, że rodzinny zgiełek umilkł. Nie mogła niczego słyszeć ani widzieć, bo przed jej oczami ciągnęła się właśnie ubożuchna droga, a drogą tą nadchodził utrudzony młodzieniec. Wędrował po świecie poszukując skromnej nauczycielki. Chciał się w niej zakochać bez pamięci i swoim wielkim uczuciem wynieść niebogę ponad wszystkie inne młode osoby. Właśnie ją dostrzegł, jak stała przy drodze, a wiatr poruszał jej suknią donaszana po bogatych krewnych. Mimo biednego przyodziewku była piękna, a oczy kryły głębię uczuć. Młodzieniec nadludzkim wysiłkiem wykonał kilka kroków, a każdy z nich był niemal śmiertelny, i chwycił ukochaną w utrudzone ramiona.

Nauczycielka uniosła ręce i wyjęła spinki z włosów, a wtedy usłyszała szept:

- Już napisałam. Może pani sprawdzić... Hej! - Kasia zamachała zeszytem przed nosem siostry. - Napisałam. Czy już się nie bawimy?

Marysia przeniosła spojrzenie z twarzy młodzieńca na zeszyt Kasi. Przez chwilę studiowała okrągłe, porządne pismo.

- Ludzie - szepnęła - ona wreszcie napisała ten wyraz. Ona sama napisała "owca".

Cichy głos Marysi poruszył zebranych przy stole. Rodzina zostawiła zapiski, rozważania, co komu najpierw kupić i za co, i rzuciła się w stronę Marysi. Wrywano sobie zeszyt, a zarumieniona Kasia powtarzała:

- No i udało mi się. Pokonałam

trudności, bo tak mówił mój sen i wróżba.

Kasia potrafiła ładnie czytać i pisać, mimo iż nie chodziła jeszcze do szkoły. Tylko jednego wyrazu nie mogła napisać, jeżeli go nie odwzorowała. Pisała

"oweca", "owaca", "owycy" albo płakała, ale "owca" nie potrafiła napisać.

- A może uwierzyłaś w swój sen? - powiedział Tomek. - Myślałaś o swoim śnie, myślałaś, aż napisałaś. Po prostu uwierzyłaś, że potrafisz, a wiara wszystko może - przemówił poważnie.

- Dziecku się śniło, dziecku wywrócono i dziecko pokonało - odezwała się Małgosia. - A ty nie bądź taki mądry.

Tomek nie odezwał się. Wiedział, że jest za mało wygadany, że Małgosia zawsze będzie górą.

Rodzice i rodzeństwo ściskali Kasię, gratulowali jej. Ten harmider nie pozostał bez odpowiedzi. Przyszła babcia niby to po coś, za nią przyszedł dziadek, też niby po coś, ale zostali w kuchni, żeby wziąć udział w ogólnej wesołości.

- Już się na ciebie nie gniewam - pani Pieczarkowska poklepała serdecznie zięcia po plecach. - W gruncie rzeczy wcale nie doznałam żadnych zachepek.

- Bardzo mamę przepraszam - pan Sowiński pocałował starszą panią w rękę. - Nie chciałem mamy urazić. Zresztą, przecież u nas w domu zawsze robi się gorąco, kiedy zaczynamy rozmawiać o zakupach i o pieniądzach.

Zwycięstwo małej Kasi zapowiedziane przez sen i karty pogodziło rodzinę. Spełnienie tyłu snów i wróżb utwierdziło

dziewczynki w przekonaniu, że człowiek jednak może zajrzeć w przyszłość.

Przybiegli Ania i Piotruś z wiadomością od swojej babci, że kłopoty domowe to awaria pralki i całe mieszkanie zalane, a kłopoty urzędowe to ponury człowiek z pretensjami, że rodzina Witkowsko_Wysocka nie sprząta śniegu przed furtką tak

często, jak często powinna to czynić.

- No i proszę - puszyła się babcia Pieczarkowska. - Sprawdziło się czy nie? Zobaczycie, któregoś dnia zawita do nas Dama Kier.

Dzieci zastanawiały się, kim będzie ta tajemnicza osoba. Czasami wydawało im się, że już słychać kroki na ganku. Siostry mełły ozorami na temat Damy Kier. Tomek nie wierzył, że się zjawi w jego domu. Niepokoiło go coś zupełnie innego. Nie miał okazji sprawdzić, co znaczy sen o moście kolejowym. Starał się go nie zapomnieć, odtwarzał szczególnie po szczególnie, żeby w odpowiednim momencie zrobić skok na piętro.

* * *

Najulubieńszym sposobem spędzania czasu w rodzinie Pieczarkowsko_Sowińskiej było wspólne przesiadywanie w kuchni, leniwe pogwarki. Ojciec przepytował dzieci z lekcji, ale czasami myliło mu się i pytał Małgosię z geografii, a Tomka z historii, chociaż powinien zrobić odwrotnie. Mama cerowała, babcia Pieczarkowska wyszywała opowiadając o pradziadku żeglarzu, a dziadek Pieczarkowski wracał myślami do czasów, kiedy pracował jako lekarz epidemiolog i zupełnie nagle wzywany był to tu, to tam, wszędzie, gdzie wybuchła

epidemia.

- Musiałem mieć zawsze spakowaną walizeczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami - kiwał głową. - Bo w każdej chwili mogli mnie wezwać na spotkanie z epidemią.

Zawsze w takich momentach Kasia siadała dziadkowi na kolanach i pytała:

- Dziadku, a jak wygląda epidemia?

- Ma cztery nie bardzo czyste halki, dwie poplamione spódnice, rozwiane brudne włosy i sieje

bakterie - odpowiadała Małgosia. - Zaryzykowałabym stwierdzenie, że epidemia jest odwrotnością wiosny.

- Małgosiu, skąd ci przychodzą do głowy takie obrzydliwe bajdy?

- pytała mama. - Dziewczynka w twoim wieku powinna wymyślać pogodniejsze historyjki.

- Ja już mam taką ponurą duszę - odpowiadała Małgosia. - To pewnie dlatego, że urodziłam się w Święto Zmarłych.

Kasia doskonale orientowała się, co znaczy słowo "epidemia", ale pytała, bo bardzo lubiła okropne opowieści siostry.

- I brałem walizeczkę, w której było wszystko, co trzeba, i wyruszałem. Nie było mnie tydzień...

- Albo i dłużej - podpowiadała babcia.

Kasia wciskała się w dziadkowe kolana i jeszcze mocniej przytulała się do jego swetra.

Pewnego razu tak się przejęła opowieścią dziadka, że szepnęła:

- Tak bym chciała, dziadziu, żeby nie było cię tydzień albo i dłużej...

- No wiesz - obruszył się dziadek.

- Chciałam tylko powiedzieć, że chciałabym, żeby... - płątała się czując, że łyzy zbierają się

pod powiekami.

- Dziecko chciało powiedzieć, że marzy mu się niezwykła sytuacja - pospieszył z pomocą Tomek. - Niczego złego nie miała na myśli. Chciałaby, żeby dziadek jeszcze raz był taki ważny jak kiedyś.

- Właśnie - kiwnęła głową Kasia. - Tak chciałabym. I jeszcze chciałabym, żeby...

- Chciałaby, żeby coś się wreszcie wydarzyło - powiedziała Małgosia. - I wcale jej się nie dziwię, bo ja też chciałabym, chociaż oczywiście nie jestem już dzieckiem.

Rodzice uśmiechnęli się do siebie, babcia do dziadka, oboje

dziadkowie do rodziców i wieczór wspomnień ciągnął się dalej.

Tego wieczora, kiedy Małgosia nadała epidemii postać olbrzymiego i brudnego zająca, którego nikt nie lubił i który z zemsty rozsiewał bakterie, ktoś załomotał do drzwi.

- ...i zając o imieniu Dur i nazwisku Brzuszný szedł przez świat i okropnie stękał z rozpaczý - mówiła Małgosia, ale nie dokończyła, bo jej wierna słuchaczka zsunęła się z kolan dziadka i pobiegła otworzyć wołając: "Ja otworzę, ja, bo ja pierwsza chcę wiedzieć, kto do nas przyszedł".

- Ktokolwiek to jest, Małgosia nie dokończy swojej opowieści o zarazie - powiedział z ulgą tata. - Może wymyśli nam coś weselszego.

- Wszystko chcielibyście mieć polukrowane - westchnęła Małgosia. - A ja nie.

Ponieważ Kasi nie było dość długo, Tomek poszedł do przedpokoju. Ponieważ i on nie wracał, Marysia odłożyła książkę, w której kochankowie szli na szafot trzymając się za

ręce, i poczłapała do przedpokoju.

- Co oni tam tak długo robią?
- zainteresowała się babcia.

W przedpokoju panowała cisza. Ciągnęło jednak zimnem, co oznaczało, że drzwi wejściowe otwarte są na całą szerokość.

Wbiła igłę w robótkę i poszła za wnukami.

Dziadek nie wytrzymał długo bez babci. Owinał się swetrem i mamrocząc "kogo licha przyniosło w taki ziąb", poszurał kapciami w stronę przedpokoju.

Po kilkunastu minutach cała rodzina stała w otwartych drzwiach i wpatrywała się w stojącą w progu kobietę.

- Ten dom wyglądał jakoś tak gościnnie - szepnęła przybyła zdejmując czapkę z lisa. Na czarne karakułowe futro

rozsypały się rude włosy.

- Jezu - jęknął dziadek. - Ruda z walizami.

Ruda kobieta spoglądała niepewnie po twarzach. Nawet na Mniamnię zerknęła jakby przepraszająco, a kiedy dziadek powiedział "ruda z walizami", wyraz niepewności na twarzy gościa zmienił się w przestrasz.

Przytomnością umysłu popisała się Mniamnia. Obwąchała mniejszą z dwóch walizek i wydała dźwięk "mniam", a przy tym oblizała się wysuwając język tak bardzo, że aż przemyśla sobie nim oczy.

- Tam w środku musi być jedzenie - pisnęła Kasia. - I może ta pani chce je rozpakować i zjeść u nas, bo na dworze tak zimno.

- Och - stęknęła babcia - moja nieodrodna wnuczka - pochwaliła Kasię i ruszyła do kuchni roztrącając rodzinę tak lekko, jak lekko roztrąca się kłosy zboża.

- Z ust mi dziecko wyjęło, bo

przecież pomyślałam, żeby gościa nakarmić. Zapraszajcie do środka!

Gościa posadzono w wyplatany fotelu babci Pieczarkowskiej. Sama zaś babcia usiadła skromnie na stołeczku i obserwowała gościa myśląc: "Więc tak wygląda przepowiedziana przez karty Dama Kier. Jest ładna, miła i młoda. To musi być ona, nikt inny, zwłaszcza że i Kajtuś wypowiedział to pamiętne zdanie".

Pozostali członkowie rodziny też byli pewni, że przybyła jest kosztowną Damą Kier. Prawie czuli zapach róży, którą powinna trzymać w dłoni.

- Róża pewnie zmarzła na mrozie - szepnęła Kasia.

Ruda kobieta jadła wytwornie, odstawiając na bok ostatni paluszek, który sterczał jak ogonek kotka. Ubrana była task kosztownie, że pani Alina myślała tylko o swojej starej spódnicy i cerowanym na łokciach sweterku.

- Grunt to wartości duchowe, kochanie - szepnął pan Sowiński.

"Jeżeli ona jest matką chociaż dwojga dzieci i potrafi być tak zadbana jak jest, załamie się"

- pomyślała pani Alina, dyskretnie śliniąc palec i przejeżdżając nim po dawno nie regulowanych brwiach.

Gość jakby odczytał jej myśli, bo obrzucił szybkim spojrzeniem wszystkie pociechy Sowińskich i rzekł:

- Szczęśliwa pani, że ma tyle dzieci. Ja nie mam żadnego.

- Ależ pani jest jeszcze bardzo młoda! - wyrwała się babcia. - Przecież taka śliczna panna może wyjść za mąż. Nie ma się co martwić.

Wszyscy czekali, aż przybyła powie coś na temat swojego stanu cywilnego, ale ona powiedziała tylko:

- Tak, tak. Oczywiście.

Pokiwała głową jakoś tak zagadkowo i dodała, że ma na imię Krysia i prosi, żeby się do niej tak zwracać.

- Pani Krysio - zwrócił się dziadek. - Nasz pies liże pani walizkę.

Mniamnia leżała na mniejszej z dwóch walizek jak na dywaniku.

- Jak mogłam! - pani Krysia plasnęła się ręką w czoło. - Tyle pyszności, a ja zapomniałam.

- Gość w dom, Bóg w dom - rzekł dziadek.

Pani Krysia wyszukała w torebce kluczyk i zabrała się do otwierania walizki.

- Precz! - warknęła do Mniamni.

- Mniam - pisnęła suka, ale jakoś tak groźnie.

Zlazła jednak z walizki i odeszła do swojego kąta, między dwiema kuchennymi szafkami. Rodzina zrozumiała, że gość i pies nie polubili się.

- Czy pies musi być w kuchni, tam gdzie ludzie? - zapytała pani Krysia.

- Musi - odrzekła twardo Kasia. - Nasz pies musi, bo

widzi pani - rozpoczęła swój zwykły wykład - pies nie jest tym, czym był dawniej. Kiedyś pan był aż panem, a pies tylko psem, a teraz pan dalej jest panem, a pies aż psem. Poza tym ona czeka na resztecзки.

- Tu nie będzie żadnych reszteczek - pani Krysia wysłuchiwała przemówienia Kasi bez śladu wzruszenia czy zrozumienia. - Tu będą same pyszności...

Zaczęła wyciągać z walizki serniki, pierniki, makowce. Rozmawiała z ciastami jak z małymi dziećmi.

- Tu położymy moje słoneczko - szczebiotała do długiego makowca. - A ty, mój maleńki,

będziesz leżał tu - pouczyła
złoćisty piernik.

Mówiła to z takim
przekonaniem, że nikt nie miał
odwagi ukroić sobie ciasta.

- Jeszcze krzyknie - wyraził
obawę dziadek.

- Czy pani zawsze podróżuje z
takimi pysznościami? - zapytała
mama ostrożnie dźgając
widelczykiem kawałek sernika.

Gość zamarł i bez ostrzeżenia
czy wcześniejszego grymasu
wypuścił fontannę łez.

- Ależ ja nie chciałam sprawić
pani przykrości - jąkała
wystraszona pani Alina. - Ja
przecież zapytałam tylko...

Pani Krysia uspokajająco
zamachała rękami, co miało
oznaczać "nic nie szkodzi, to
nie pani wina". Płakać jednak
nie przestała. Czyniła wysiłki,
żeby stłumić szloch, ale skutek
był taki, że po każdym wysiłku
wybuchala jeszcze głośniejszym
płaczem. Domownicy wpatrywali
się w gościa o krągłymi oczami.
Mniamna zawyła współczująco.
Zawyła raz, drugi, a ponieważ
była psem o miękkim sercu,
rozwyła się tak głośno i
przeciągle, że odezwały się
okoliczne psy. Rodzina wyraźnie
słyszała dalekie poszczekiwanie,

na tle których niosło się
cienkie "hauuu, hauuu" Kruczka.

- Pani Krysiu - zabrał głos
ojciec. - Proszę przestać
płakać. Zaraz przygotujemy pani
pokój, odpocznie pani i jutro
spójrzy na wszystko innym
okiem.

- Ja mogę oddać mój pokój -
zgłosił się dziadek. - Ja zawsze
ustępuję kobiecie, zwłaszcza
nieszczęśliwej. Mężczyzna, który
nie ustąpi kobiecie, zwłaszcza
nieszczęśliwej, jest diabła wart.

Kandydatura dziadka nie
została wzięta pod uwagę. Nikt

nie chciał się zgodzić na to, żeby starszy pan tułał się po domu.

Dziadek natychmiast obraził się. Opuścił kuchnię ze słowami:

- Nie widzę tu dla siebie miejsca. Mniamnia, przestań zawodzić. Idziemy na spacer.

Skonsternowana rodzina tłumaczyła dziadka, a pani Krysia powtarzała płaczliwie:

- Nic nie szkodzi. Nic nie szkodzi. Tak mi przykro. Doprawdy, państwo tacy mili, a ja... a ja... czuję się jak przybłęda.

Uspokajano panią Krysię zapewniając, że najmilszą są goście niespodziewani, właśnie tacy jak ona, bo dzięki nim dzieje się coś innego, coś nowego i nieznanego.

- A może Tomek przeniesie się do tego małego pokoiku na końcu korytarza? - zapytała Małgosia. - Chyba że boi się myszy... - zawiesiła głos i wpatrywała się w brata.

W pokoiku na końcu korytarza rezydowały myszy, a Tomek panicznie ich się bał. Pokój nazwano "mysim pokoikiem" i od czasu do czasu ktoś mówił: "Trzeba zrobić porządek z myszami". Ponieważ mieszkanek "mysiego pokoiku" były taktowne i nie pokazywały się w innych częściach domu, kończyło się na gadaniu.

- Trzeba zrobić porządek z myszami - powiedziała babcia dźwigając się ze stołeczka. - I Tomek będzie miał śliczny pokój.

- Brrr - otrząsnęła się pani Krysia. - Boję się myszy i brzydę. Jak to kobieta.

- A ja tam się ich nie boję - wzruszył ramionami Tomek. - Chłopcy nie boją się myszy - powiedział i poczuł strach pomieszany z obrzydzeniem.

W Tomku samo słowo "mysz"
wywoływało dreszcz, a w gardle
pojawiała się miękka kulka
kojarząca mu się z myszą.

- Chłopcy nie boją się myszy
- powtórzył zduszonym głosem - i
nie trzeba robić z nimi
porządku. Niech sobie mieszkają,
gdzie chcą.

- Dziękuję - szepnęła Kasia.

W ten sposób sprawa została
przesądzona. Tomek sam przeniósł
swoje rzeczy do małego pokoju.
Pomagała mu najmłodsza siostra.

- One są naprawdę bardzo miłe
- szeptała. - Zobaczysz. Daj im
trochę okruchów. Ucieszą się.
Po kilku dniach będą ci jadły z
ręki. Pospiesz się z układaniem
pościeli, to coś zobaczysz.

Kasia pobiegła do kuchni, a
kiedy wróciła, miała
konspiracyjną minę. Tuż obok
małej, prawie niewidocznej
dziurki między podłogą a ścianą
wysypała okruszki.

- A teraz cicho - szepnęła
obejmując brata i kładąc mu
palec na ustach. - Cichutko.

Najpierw zobaczyli mały
pyszczek, a potem z norki
wylazła mysz dorodna jak łania.
Na końcu korytarza rozległy się
kroki, mysz schwyciła jedzenie i
zniknęła w norce.

- Więc ty je dokarmiasz? -
zapytał Tomek. - Zawsze
zastanawiałem się, czym one
żyją. Nie chodzą przecież do
kuchni.

- Nie bój się ich - wyszeptała
Kasia. - Coś malutkiego, co
mieszka pod podłogą, nie robi

ci krzywdy. Pomyśl, chodzisz,
stawiasz kroki, a to coś słyszy
głośny hałas nad głową. Nie bój
się, bo jeżeli będziesz się bał
i powiesz o tym, babcia
poustawia tu pułapki.

Tomka pocieszała i
podtrzymywała na duchu

najmłodsza siostra, ale wcale nie było to upokarzające. Szeptała mu dobre słowa, wspinała się na jego kolana, obejmowała go za szyję i prosiła, żeby nie bał się, bo inaczej koniec z myszami.

- Dobrze, nie będę się bał - obiecał. - Ani trochę.

Dzieci wróciły do kuchni, gdzie zapłakana pani Krysia kończyła pić herbatę. Do końca dnia nikt już nie rozmawiał na temat jej przyjazdu, wszyscy zachowywali się tak, jakby zapowiedziała swoje przybycie długim listem, telegramem i telefonem na dokładkę.

Dzieci przyglądały się pani Krysi w milczeniu. Małgosię zachwycił elegancki strój gościa. Błękitna bluzka z koronkami, złote kolczyki, złote pierścionki... Nade wszystko jednak uwagę Małgosi przykuwały włosy. Piękne, rude, mieniące się, wijące, spływające na plecy. Przez cały wieczór Małgosia dotykała swoich słabych włosów i było jej coraz smutniej. Jakby nagle odkryła, że jest zupełnie łysa. Kasia i Tomek zerkali na gościa z niechęcią. Tomek z powodu pokoju, z którego musiał się wyprowadzić. Przedtem nawet nie wiedział, że tak bardzo lubi swój mały, nieporządny pokój z drewnianymi półkami, które kiedyś zrobił tata. Kasia czuła, jak jej niechęć wzbiera z każdą chwilą. Gość bowiem przeniósł materacyk Mniamni z kuchni do przedpokoju i ułożył w takim miejscu, że psa wcale nie było widać. W dodatku Mniamnia, przez nikogo nie popędzana, sama

powlokła się na swoje nowe miejsce, ułożyła pokornie i smutnymi oczami śledziła domowników przechodzących przez

przedpokój.

Wieczorem, kiedy już pani Krysia rozlokowała się w swoim pokoju, dzieci zebrały się na chwilę w korytarzu. Lubiły tak postać i pogwarzyć przed snem, mimo że trzy siostry mieszkały przecież razem i mogły rozmawiać siedząc w łózkach.

Z dawnego pokoju Tomka dolatywały jakieś odgłosy, które Kasia nazywała "szklanymi".

- Pewnie rozstawia buteleczki z zagranicznymi perfumami, kremami, szamponami - zaszepiała Małgosia węższąc. - Bardzo ładna jest ta Dama Kier. Bardzo. Chciałabym być taka jak ona. Jak myślicie, dlaczego ona rozplakała się, kiedy mama zapytała ją o podróże z pysznościami? I jak myślicie, dlaczego przyszła akurat do nas?

- Bo nie miała się gdzie podziać - powiedział Tomek. - Dowiedziała się pewnie, że jesteśmy gościnni, i wkręciła się. Ciekaw jestem, czy jakaś inna rodzina odstąpiłaby pokój jedyne go syna.

- Na szczęście jedyne go - zaśmiała się Małgosia. - I nie zmieniaj tematu. Wreszcie coś się w tym domu dzieje.

Marysia, która dotąd nie odezwała się ani jednym słowem, postanowiła podzielić się swoimi spostrzeżeniami z resztą rodzeństwa.

- Ona jest osobą zawiedzioną w miłości - rzekła. - Jestem tego pewna. Zdanie o podróży z pysznościami musiało poruszyć coś ukrytego na dnie serca. Coś smutnego. Jestem pewna, że pani Krysia jest osobą zawiedzioną w miłości. Ona tak właśnie wygląda.

- Jak, jak? - Małgosia przysunęła się do siostry i objęła ją. - Powiedz, jak wygląda?

- Przecież widziałaś -
odrzekła spokojnie Marysia. -
Wszyscy widzieliśmy.

Rozzłościło to Małgosię.

- Biała Gęś - syknęła - nie
możesz mówić jaśniej? Ja nie
rozumiem, o czym pleciesz.

- Nic na to nie poradzę -
odpowiedziała Marysia. - I nie
obrażaj mnie. Teraz już nic nie
powiem. Idę do pokoju. Dobranoc.

Małgosia miotła się w
bezsilnej złości. Jakby chciała
otworzyć pudełeczko z tajemnicą,
a nie mogła znaleźć kluczyka.

- Ja ci też nigdy niczego nie
powiem! - zawołała. - Nigdy!

- Nie jestem ciekawa! -
odkrzyknęła Marysia.

Była już na schodach. Wspinała
się wolno, przystając co jakiś
czas i potrząsając głową.

- Duchowa arystokratka -
syczała Małgosia. - Tłusta,
duchowa arystokratka.

- Wszystko słyszałam i
zapamiętam ci to! - Marysia
poszła prosto do pokoju, wsunęła
się do łóżka i zaczęła czytać
książkę.

- Fałszywy przyjaciel -
mamrotała bezradnie Małgosia. -
Może to jej dotyczył mój sen?

Była tak straszliwie ciekawa,
co siostra miała na myśli, że
zupełnie zapomniała o młodszym
rodzeństwie przysłuchującym się
każdemu jej słowu.

- Bezczelna - zapłakała w
końcu - nie powiedziała mi i
teraz nic nie wiem. A wy czego tu
jeszcze szukacie? Jazda do
łóżek, bo jutro rano trzeba was
będzie lewarem podwazać.

Zostawiła Tomka i Kasię i
poszła na górę. Także wsunęła
się do łóżka i wpiła w
najstarszą siostrę swoje
niesamowite oczy.

- Możesz się nie wysilać -
powiedziała Marysia nie
podnosząc głowy znad książki. -
Na mnie twoje spojrzenia nie
działają. Możesz je wypróbować
na tym ogryzku z piątej "C".

- On nie jest żadnym ogryzkiem - odfuknęła Małgosia. - Chyba że przy tobie. Przy tobie wszyscy ludzie są ogryzkami, tłuściocho podła. Jednak mimo wszystko życzę ci dobrej nocy i bądź łaskawa zgasić zaraz światło, bo chcę spać.

Odwróciła się twarzą do ściany i zapatrzyła we wzorek na tapecie. Był to wzorek w delikatne różyczki. Przechylały główki na bok dokładnie tak, jak przechylała główkę róża, którą trzymała w dłoni karciana dama kier. Oczy Małgosi powolutku przymykały się, pod powiekami majaczył obraz chłopca z piątej "c". Widziała go teraz tak, jak zawsze widywała przed snem. Obciągał granatowy sweter i uśmiechał się szeroko, a jego usta układały się w kształt sympatycznej kieszonki. Małgosia bezwiednie uśmiechnęła się do chłopca i zaraz potem zasnęła.

Właśnie wtedy Marysia zdecydowała się porozmawiać z siostrą na temat zawiedzionej w miłości Damy Kier.

- Hej, ty - powiedziała. - Chodź tu do mojego łóżka. Pogadamy. Hej, Małgosia.

Ponieważ Małgosia nie odpowiadała, Marysia wylazła spod kołdry i podeszła do łóżka Siostry. Pochyliła się nad nią. Zobaczyła delikatnie uśmiechniętą twarz. Szorstkie włoski sterczały dokoła buzi, jak dobrze odrośnięte włosy chłopca. Z koronek, kwiatków i kokardek wyłaniała się chuda szyjka.

- Och Boże - zachwyciła się Marysia - gdybym ja była taka piękna jak ty. Taka chudziutka, taka delikatna... - westchnęła czując, że jest okropnie gruba, że ma za duży biust i za długą szyję. - Jutro ci wszystko powiem.

Tymczasem w korytarzu na dole mama zaganiała do łóżka Tomka i

Kasię.

- Zaraz pójdę, ale niech ona

mnie zamknie na łyżkę - stawił warunek Tomek. - Inaczej wcale nie pójdę spać.

Mały pokoik na końcu korytarza zamykany był od wewnątrz na haczyk, ale wystarczyło mocniej usiąść na łóżku, a haczyk wyskakiwał ze swojego miejsca i drzwi otwierały się same. Robił się wtedy w całym domu przeciąg i słychać było wycie wiatru, nawet gdy wszystkie okna były pozamykane. Dzieci mawiały, że przeciągi zerwały się z uwięzi. Babcia wpadła na pomysł, żeby pokoik zamykać od zewnątrz - przewlekając przez dwa metalowe uchwyty aluminiową łyżkę.

Tomek uważał, że zamykanie człowieka w pokoju jest bardzo upokarzające. Jediną osobą, której mógł na to pozwolić, była Kasia. Kasi nie wstydził się nigdy.

- Tylko jej pozwolę zamknąć się na łyżkę - upierał się.

- Dobrze, synku - zgodziła się mama. - Przecież to bez różnicy. Rano zachowujcie się cicho, bo może pani Kryśka będzie chciała dłużej pospać.

- Mamo - dzieci przysunęły się blisko mamy. - Czy ta pani zostanie u nas długo?

- Nie wiem, nie wiem - odpowiedziała mama. - Przecież dopiero dziś przyjechała. To miła pani i może zaprzyjaźnimy się z nią? No, a teraz idźcie spać.

Kasia i Tomek podreptali w kierunku mysiego pokoiku.

- Dobranoc - szepnęła Kasia. - Daj mi buzi.

Tomek dał jej buzi, a Kasia złożyła na jego policzku mokry jak meduza pocałunek.

- A czy nie mógłbyś mnie potem odprowadzić na górę? - szepnęła

spoglądając w stronę schodów. -
Trochę się boję. Wiesz, jestem
mała. Teraz to czuję.

- Ale jak cię odprowadzę,
jeżeli będę zamknięty w pokoju?

- To prawda - westchnęła

Kasia. - Ale nie bój się myszek.
Są miłe i to one boją się
ciebie, chociaż też nie powinny.
No to jak będzie, odprowadzisz
mnie?

- A kto mnie zamknie na łyżkę?

- powtórzył pytanie Tomek. - I
powiedz, czego się boisz?

- Nie lubię sama chodzić po
schodach, ale gdybym ci
dokładniej wytłumaczyła, czego
się boję, to chyba bałabym się
jeszcze bardziej. Mam pomysł.
Ja cię zamknę na łyżkę, a ty
postoisz przy drzwiach. Będę cię
widziała przez szybki. Wezmę
Mniamię na ręce i zaniosę ją
na górę. Co mi tam. Nie chcę,
żeby spała sama w przedpokoju.

- Dobra - zgodził się Tomek. -
Dobranoc.

Kasia zamknęła drzwi. Stał
przy nich i patrzył, jak siostra
biegnie korytarzem, usiłuje
podnieść psa, który jest za
ciężki i w dodatku nie wie, o co
chodzi. Wreszcie Kasi udaje się
podciągnąć Mniamię do góry.
Suka kładzie łapy na ramionach
dziewczynki, Kasia jedną ręką
obejmuje psa w pół, a drugą
podtrzymuje mu zadek. Mała
siostra zaczyna niezdarnie
wspinać się po schodach, a nad
jej ramieniem kołyszą się długie
psie uszy.

Tomek przywarł twarzą do
szybek. Spoglądał za Kasią do
ostatniej chwili i wcale nie
chciał się odwracać, patrzeć na
swoją nowy pokój. W końcu jednak
musiał to zrobić. Ze strachu aż
stęknął. W mysim pokoiku nie
było zasłonek, bo i po co myszom
zasłonki? Za kwadratowym oknem

stała ciemna noc, a na
parapecie, podobny do rękawa
olbrzyma, leżał śnieg. Tomek
widział duży, biały rękaw kogoś,
kto chce wyważyć okienko.
Rzucił się na łóżko z taką siłą,
że zadzwonił haczyk w drzwiach.
Otulił się kołdrą, schował pod
nią razem z głową i zacisnął
powieki. Mimo iż ze wszystkich

sił usiłował przekonać samego
siebie, że nie ma się czego bać,
bał się coraz bardziej.

"Kasiu - jęknął w duchu -
Kasiu kochana. Przyjdź tu do
mnie". - Myśl o siostrze
przypomniała mu myszy. - "W
gruncie rzeczy nie mam nic
przeciw wam. Przecież i wy nie
chciałybyście, żeby okienko
nagle się otworzyło, pchnięte
przez kogoś niezwykle silnego".

W pokoiku panowała cisza.
Uznał więc, że jego mieszkanki
też trzęsą się ze strachu i
pewnie boją się właśnie jego,
Tomka. - "Wszystko będzie dobrze
- pocieszał myszy. - Nie bójcie
się. Jestem tu, bo muszę, bo w
naszym domu zjawił się gość,
któremu musiałem odstąpić własny
pokójh".

Tłumaczył myszom wszystko
dokładnie. Wyjaśnił im nawet
to, dlaczego ich się brzydzi.
"To z powodu waszej szybkości i
tego łysego ogonka, a gdyby
babcia nie wyróżyła tej rudej
baby, nie myślałbym nawet o was
i wy nie musiałybyście się mnie
bać".

W miarę jak tłumaczył myszom,
sam przestawał się bać.

Śnieg na parapecie za oknem
był zwykłym śniegiem, który
niedługo zacznie topnieć, za
oknem nie czaił się żaden
olbrzym. W małym pokoiku był
tylko on i jego nocne
towarzyszki, które właśnie
wylazły z nory, żeby pozbierać

okruchy.

* * *

Obudziło go stukanie w szybki. Był jasny, słoneczny ranek. Za drzwiami stała Kasia.

- Nie mogłam spać - szepnęła, kiedy Tomek podszedł do drzwi. - Otworzyć cię?

Wyciągnęła aluminiową łyżkę i wśliznęła się do pokoiku.

- Ta Dama Kier jest okropna - powtarzała. - Okropna. Czy wiesz, że wczoraj wieczorem przyszła do naszego pokoju, żeby

sprawdzić, czy wszystko w porządku, i wygoniła Mniamię? Ona nie jest od tego, żeby sprawdzać, czy w naszym pokoju jest wszystko w porządku. Od tego są babcia, mama, tata, dziadek - Kasia tupała, zaciskała pięści. - Ona traktuje Mniamię jak psa! - wykrzyknęła.

Mniamię usłyszawszy swoje imię przywlokła się i stanęła obok dziewczynki. Spuściła głowę tak, że niemal podpierała się nosem jak piąta noga.

- Jestem taka zła, taka zła, że chyba dlatego miałam taki niegrzeczny sen - powiedziała Kasia. - Śniło mi się, że okropnie klęłam. Tak przeklinałam, aż się zawstydziałam. - Dziewczynka miała zgnębioną buzię. Jej złość uleciała, a pojawiła się bezradność.

- Nie przejmuj się tak - pocieszał Tomek. - W końcu nic się nie stało. Mniamię pomieszka trochę w przedpokoju, a kiedy ona wyjedzie, znów przeniesiemy psi materac do kuchni.

- Jest mi smutno - wyznała Kasia. - Wiem, że Mniamię nic się nie stanie, ale wolałabym, żeby tej pani u nas nie było. Czy taka wywróżona pani jest naprawdę?

- Jest - uśmiechnął się Tomek.
- I wcale nie wywróżona. Po prostu przez przypadek zapukała do nas i kropka. Chcesz, ja ci też opowiem, co mi się śniło, a ty możesz cichutko pobiec do pokoju babci i sprawdzić. Śniło mi się, że słucham pięknej muzyki - skłamała. - Była cudowna, delikatna.

- Pójdę sprawdzić - Kasia wybiegła na palcach.

Nie było jej dość długo. Tomek wiedział, że siostra musi mieć czas na bezszelestne dotarcie do komody w pokoju babci i na pogmeranie w senniku. W dodatku Kasia musiała mieć czas na

przesylabizowanie znaczeń snów.

Wróciła bardzo przejęta.

- Mój sen znaczy, że dopuszczę się czynu niegodnego - powiedziała. - A twój, że znajdziesz pokrewną duszę. Wytłumacz mi to.

- To znaczy, że zrobisz coś złego - odpowiedział Tomek.

- Czy bardzo złego? - zapytała. - Nie chciałabym być aż tak zła.

- Pilnuj się mnie. Jeżeli zobaczę, że masz zamiar zrobić coś naprawdę złego, powstrzymam cię.

- A twój sen?

- Znaczy, że ty jesteś moja pokrewną duszą, kimś, kto mnie rozumie i do kogo mam zaufanie - mówił Tomek zastanawiając się, jak to jest możliwe, że Kasia odnalazła w senniku wytłumaczenie snu, który wcale mu się nie śnił. Nic mu się nie śniło. - To bardzo dobry sen - rzekł do siostry - i on znaczy, że jesteśmy zaprzyjaźnieni. A teraz chodźmy do kuchni. Zjemy śniadanie, nmim wszyscy wstaną.

Poszli cichutko wabiąc Mniamnię. Suka nie chciała iść, była markotna, a uszy całkiem

opadły jej na oczy. Kasia i Tomek postanowili wynieść jej do przedpokoju pyszne śniadanie, wzmocnione wędliną, której zazwyczaj nie daje się psom. Otworzyli drzwi i stanęli jak wryci. Stół był już nakryty, a w wyplatany fotelu babci Pieczarkowskiej siedziała pani Krysia i robiła na drutach sweter.

* * *

Przez pierwsze trzy dni gość głównie popłakiwał, a jeżeli nie płakał, to wzdychał. Kiedy przestawał płakać i wzdychać, zamyślał się spoglądając w okno.

Kapało z dachów, śnieg znikał odsłaniając brudną trawę, a zadumana pani Krysia siedziała z oczami utkwionymi w jeden punkt. Rodzina chodziła na palcach

bojąc się głośniejszemu odezwać, stuknąć czymś albo rozeźmiać się.

- Co jej jest? - zastanawiano się. - Dlaczego nic nie mówi? Chyba nie wypada pytać. Poczekamy, aż sama coś powie.

Pani Krysia nic nie powiedziała na temat celu swojej wizyty w mieście. Po trzech dniach przestała płakać i szepnęła: "A, co mi tam".

- Wyraźnie słyszałam, jak powiedziała "A, co mi tam" - mówiła podekscytowana Małgosia. - Co to może znaczyć?

- To może znaczyć wszystko - odpowiedziała Marysia. - Dajmy jej spokój. Moim zdaniem ona musi dojść do siebie po jakichś ciężkich przeżyciach.

Gość doszedł do siebie. Codziennie wstawał pierwszy, przygotowywał śniadanie i siedząc w wyplatany fotelu czekał na rodzinę. Dzieci wychodziły do szkoły nakarmione, jakby je nakarmiła sama babcia Pieczarkowska. Przy śniadaniach

pani Krysia nigdy nie zapominała o dziadku Pieczarkowskim.

- Odtajała - szepnęła Marysia.

Od świtu do wieczora pani Krysia krzątała się po domu, wycierając kurze, zamiatając, układając, porządkując. Dzieci wracały ze szkoły i zastawiały wszystkie swoje półki uporządkowane, czyste. Niczego nie mogły znaleźć, przestawiały więc drobiazgi po swojemu, a następnego dnia znajdowały je ustawione w zupełnie inny sposób.

Dorośli prosili ją, żeby nie wstawiała tak wcześnie, żeby nie pracowała tak ciężko. Jest przecież gościem i należą jej się prawa przysługujące gościowi.

- Dla mnie to prawdziwa radość być wyręką w czymkolwiek - odpowiadała pani Krysia. - Proszę mi tego nie odbierać. Nie chcę być ciężarem, a bardzo

chciałabym pozostać jeszcze trochę w tym mieście.

Rodzina uznała, że widocznie gość jest tak pracowity, że nie potrafi spokojnie usiedzieć w miejscu. Nie należy mu więc przeszkadzać, ale żeby nie zapracował się na śmierć, wszyscy domownicy powinni pilnować swoich obowiązków.

- Macie sprzątać w swoich pokojach częściej niż zwykle - powiedziała pani Alina do dzieci.

- Są posprzątane, zanim zdążymy pomyśleć, że trzeba sprzątnąć - odpowiedział Tomek. -, Pani Krysia zgarnęła nawet śnieg z parapetu - przypomniał sobie "rękaw olbrzyma", który już sam zaczynał powoli znikać od ciepłych promieni słonecznych.

- Wiem - westchnęła mama. - Lecz mimo to starajcie się. Ja

wczoraj miałam wyreperować wasze ubrania, ale pani Krysia mnie ubiegła. Następnym razem muszę je gdzieś schować.

Pani Krysia piekła codziennie ciasto. Albo piernik, albo sernik, albo szarlotkę. Piekła również pyszne orzechowe ciasteczka i mówiła do nich "moje pieszczotki". Snujące się między domami słodkie zapachy docierały do wrażliwego nosa babci Witkowskiej. Żeby nie być gorszą, wyciągała biedaczka makutry, donice, foremki i piekła ciasta z kopy jaj. Narzekała przy tym, że niektórzy mają szczęście. Im karty wyróża pracowitą Damę Kier, a jej kłopoty urzędowe.

Pani Krysia starała się być wyręka we wszystkim. Potrafiła wyczuć, kto czego najbardziej nie lubi, i brała to na siebie.

Dla taty dużym przeżyciem były wywiadówki Małgosi i Tomka. Marysia uczyła się równo, nie wysuwając nosa poza czwórki, ale Tomek i Małgosia sprawiali

rodzicom sporo kłopotu. Zdaniem rodziny byli dziećmi rezolutnymi i nic nie stało na przeszkodzie, żeby przynosili tylko dobre stopnie. Rzecz jednak w tym, że Tomek nie rozumiał słowa podręcznikowego, a nawet jeżeli pojmował jakieś polecenie, to tak bardzo nie dowierzał sobie, że z góry uznawał - skoro jest jasne, to znaczy, że źle rozumie. Na lekcjach siedział nad pustym zeszytem albo zaglądał do zeszytów kolegów. Ratunkiem były odpowiedzi ustne, ponieważ Tomek dobrze rozumiał słowo mówione. Jeżeli nauczycielka dokładnie wyłuszczyła, o co jej chodzi, Tomek odpowiadał bezbłędnie.

Małgosia natomiast dobrze

rozumiała zarówno słowo pisane, jak i mówione, ale największym zaufaniem darzyła to, co sama miała do powiedzenia. Małgosia wdawała się w słowne potyczki, co kończyło się uwagami w rodzaju: "Małgosia pyskuje". Z biegiem czasu dzienniczek Małgosi w miejscu "korespondencja z rodzicami" zawierał powtarzające się wciąż zdanie: "Małgosia to co zwykle".

Przed marcową wywiadówką ojcu śnił się nauczyciel. Tomek wiedział, iż człowiek śniący nauczyciela może być pewien, że nie dojdzie do dobrobytu.

Tomek słuchał, jak babcia tłumaczy sen dokładnie tak, jak on to robił w myśli. Babcia i wnuczek, jedno głośno, a drugie po kryjomu, pozbawiali złudzeń zięcia i ojca.

- To dla mnie oczywiste - wzruszył ramionami tata. - I wcale się tym nie martwię. - Bawi mnie tylko, że w moim życiu zetknięcie z nauczycielem we śnie czy na jawie nie wróży niczego dobrego. No, dzieciaki, zaczynamy. Marysia to co zwykle. Czwórki i czytanie książek pod ławką. Nauczycielka powiada, że gdyby chciała pójść piechotą za

myślami Marysi, zdarłaby kilkanaście par butów.

- To, o czym myślę i czytam, jest wszędzie - odpowiedziała Marysia. - Tylko ludzie przechodzą obojętnie... Według mnie wielkie uczucie...

- Ale nie należy myśleć o tym podczas lekcji - wtrącił ojciec.

- ...jest najważniejsze na świecie - dokończyła Marysia - i może oderwać człowieka od wszystkiego - położyła rękę na sercu. Jej twarz nabrała rumieńców, włosy powiewały, chociaż nie było przeciągu, a oczy nabrały czujnego wyrazu,

jakby dziewczynka właśnie dostrzegła to, na co tak czekała, i depcząc wszystkie szkolne sprawy, parła do przodu, jak przetrzymywany w komórcie łabędź parłby do wody.

- Małgosia też to co zwykle, czyli "to co zwykle" - powiedział ojciec nie mogąc oderwać oczu od natchnionej twarzy najstarszej córki. - Co do Małgosi, to nie znam szczegółów, bo nauczycielka powiedziała, że już się w szczegóły nie wdaje. Ta nieszczęsna kobieta, nawet jeżeli mówi coś w domu do własnej rodziny, ma wrażenie, że za chwilę usłyszy głos naszej Małgosi wypowiadającej swoje ostatnie słowo.

- Nie potrafię dać sobie z tym rady - wyznała Małgosia kładąc rękę na sercu, jak to przed chwilą uczyniła jej starsza siostra. - Ja muszę mieć ostatnie słowo, bo gdybym go nie miała, umarłabym. To silniejsze ode mnie.

- Wolałbym, żeby Marysia zamiast zastanawiać się, kiedy i skąd spadnie na nią wielkie uczucie, brała udział w lekcji, ale jestem w stanie zrozumieć, że dziewczynką w jej wieku może... może zawładnąć... może zawładnąć... Do licha, jak się to nazywa?

Dziewczęce rozmarzenie - odpowiedziała mama.

- Właśnie - przytaknął ojciec. - Ale nie rozumiem, dlaczego ty musisz mieć ostatnie słowo. To świadczy o zarozumiałstwie i należy z tym skończyć.

- Kiedy... - zaczęła Małgosia.

- Nie będziesz, Małgosiu, miała ostatniego słowa.

- Ale kiedy...

- Powiedziałem i kropka.

- Chyba umrę - jęknęła Małgosia.

- Od tego się nie umiera - wtrąciła mama.

- Chyba czasami można - powiedziała Małgosia. - Ja chciałam tylko...

- Cicho bądź, Małgosiu! - podniósł głos ojciec.

- A może by tak w miejscu "korespondencja z rodzicami" napisać: "Małgosia w domu też to co zwykle"? - zaproponował dziadek. - Nauczycielka pojęłaby, że dziecko już takie jest i nie ma rady.

- Zamykamy sprawę Małgosi - ojciec zacisnął szczęki tak, że aż mu łupnęło w skroniach. - Małgosiu, nie otwieraj buzi!

- Przecież chciałam tylko ziewnąć - ziewnęła Małgosia.

Tomek siedział z boku, przyczajony. O nim zazwyczaj rozmawiano na końcu. Ojciec najpierw rozprawiał się z córkami, bo rozmowy z nimi nazywał "rozprawianiem się", a na końcu brał się za Tomka...

- On też jak zwykle - kiwał głową. - Niczego nie rozumie, bo albo nie słucha, albo gra w okręty, albo gapi się w okno. Obraża się o byle co. Nauczycielka powiada, że nasz Tomek jest jakby zagubiony, nieobecny...

- A może on nie lubi chodzić do szkoły? - wtrąciła Kasia. - Biedaczek.

- Nauczycielka zastanawiała się, czy Tomek czuje się całkiem

szczęśliwy w domu. Może ma jakieś kłopoty, może atmosfera w domu jest nie taka, jak być powinna.

Tomek uważał, że atmosfera w domu nie zawsze jest taka, jak być powinna, a to wszystko dlatego, że babcia faworyzuje siostry. Nie dalej jak dzień

temu, kiedy szedł korytarzemk,
ukryta za ubraniami Małgosia
skoczyła mu nagle na plecy i
wpiła chude kolana w boki. Tomek
rozpędził się i z całej siły
grzmotnął Małgosią o ścianę. Ze
ściany spadły rogi łosia.

Nadleciała babcia i najpierw
obejrzała rogi łosia, potem
grzbiet Małgosi, a na końcu
nakrzyczała na Tomka, że jest
niedelikatny i nie rozumie
siostrzanych uczuć. Małgosia
przecież chciała go tylko
uścisnąć, a zrobiła to w sposób
niekonwencjonalny, bo Małgosia
jest przecież niekonwencjonalna.

- Zawracanie głowy - machnęła
ręką babcia Pieczarkowska. -
Atmosfera w domu jest jak
należy. Tomek jest przez nas
wszystkich kochany, ma trzy
czułe siostry, a nie uczy się,
bo leń z niego.

- Babciu - obruszył się Tomek
- Małgosia też ma słabe stopnie,
a ty mówisz tylko do mnie -
przełknął łzy.

- Mówię do ciebie, ale ona
słyszysz, co ja do niego mówię?
Małgosiu, dziecko, ty chyba
słyszysz, co ja do niego mówię?

- Pewnie - odpowiedziała
Małgosia. - I wiem, że to mnie
również dotyczy, ale jednak on
ma o trzy trójki więcej niż ja,
choć jest w niższej klasie.

- Za to że sprawowania mam
poprawny, a ty odpowiedni -
odgryzł się Tomek.

- Prawdę mówiąc, nie rozumiem
szkoły i stopni - babcia
Pieczarkowska zirytowała się. -
Dzieci nie mają złych stopni ze
sprawowania. Odpowiedni znaczy
chyba, że ktoś się odpowiednio

zachowuje. Poprawny, że ktoś
zachowuje się poprawnie.
Wyróżniający, że się czymś
wyróżnia.

- Czytaniem książek pod ławką

- odezwał się dziadek. - Jakby nie można ich było kłaść na ławce.

Jak zawsze po wywiadówce, tak i tym razem, sprawa szkoły wymykała się rodzicom z rąk. W pewnym momencie Kasia częstowała rodzeństwo ciasteczkami i wodą mineralną i "rozprawianie się" przechodziło w ogólną wesołość. Rodzice zdawali sobie sprawę z tego, że powinni reagować inaczej, ale żadne z nich nie potrafiło tego zrobić. Dzieci państwa Sowińskich kochały rodziców, szanowały, ale w sprawach szkoły kierowały się wyłącznie własnym zdaniem.

Przy marcowych powywiadówkowych rozmowach była obecna pani Krysia. Siedziała cicho robiąc na drutach i odezwała się dopiero wtedy, gdy w kuchni słychać już było tylko gulgotanie wody mineralnej i chrupanie ciasteczek. Cichuteńko, na jedwabnych łapkach wśliznęła się Mniamnia i usiadła pod krzesłem Kasi.

- Jestem przerażona - powiedziała nagle pani Krysia odkładając robótkę. - Dzieci są rozpuszczone jak dziadowskie bicze. Jako osoba z zewnątrz patrzę na sprawę obiektywnie. Dzieci państwa zabierają głos nie pytane...

- Marysia nigdy nie zabiera - wtrąciła Małgosia. - Czy mogłabym zobaczyć mój dzienniczek? Zdaje się, że ostatnio dostałam aż dwa dobre stopnie. Tata o nich nie mówił. Może więc nasza pani zapomniała je wpisać. O dwójkach nigdy nie zapomni, ale zdarzało się...

- Zobaczysz dzienniczek w swoim czasie - odpowiedziała pani Krysia kładąc rękę na dzienniczku. - Dzieci należy

przytemperować, wziąć w karby,

przykrócić...

- Czy ma pani na myśli jakieś drastyczne środki? - zapytała mama.

- Im się zapewne wydadzą bardzo drastyczne - uśmiechnęła się pani Krysia. - Ale nie. Nie są to środki drastyczne. Dzieci powinny znać dyscyplinę.

- Ale nie ma pani na myśli dosłownie dyscypliny? - zapytała babcia. - Koziej nóżki dajmy na to? - W głosie babci było szczere zaniepokojenie. - Czy zdaniem pani źle wychowuję dzieci?

- Pani, jako babcia, może być pobłażliwa - odrzekła pani Krysia. - Rodzice nie. Czytałam na ten temat kilkanaście artykułów. Wszyscy psychologowie są zgodni, że dziadkowie dają dzieciom poczucie ciepła i bezpieczeństwa, a rodzice, jako osoby bezpośrednio odpowiedzialne za swoje potomstwo, muszą wykazać dużą stanowczość...

- O czym ta pani mówi? - rozległ się szept Kasi. - Jeszcze nikt u nas tak nie mówił.

- Pani mówi o tym, że czas się za was wziąć, bo powyrastacie na niegrzecznych ludzi - powiedział dziadek.

Rodzice siedzieli przygnębieni. Nikt ich dotąd tak nie krytykował. Zawsze wydawało im się, że ich dzieci nie uczą się zbyt dobrze z wielu powodów, a teraz poczuli się bardzo winni, jakby swoim postępowaniem doprowadzili gromadkę do szkolnych kłopotów.

- Czy nie bierze pani pod uwagę czegoś takiego jak cechy charakterologiczne poszczególnych osobników? - zapytał szeptem ojciec.

- Po pierwsze - zarządziła pani Krysia - dzieci nie mogą być obecne przy rozmowach na temat dzieci. Marysiu, Małgosiu,

Tomku i Kasiu, bardzo was proszę, żebyście poszli do swoich pokoi.

- My mamy wspólny pokój - odmruknęła Małgosia. - I tam się teraz wietrzy.

- A ja to w ogóle nie mam swojego pokoju - dodał Tomek.

Powiedział to przez przekorę, bo w gruncie rzeczy bardzo polubił nowe miejsce i zastanawiał się, czy nie pozostać w nim na zawsze.

- Dzieci! - zawołali rodzice chórem. - Marsz do siebie!

Oszołomione dzieci pozbierały się i wyszły.

- Ta baba jest straszna! - wybuchnęła Małgosia, kiedy już wszyscy czworo znaleźli się w pokoju dziewczynek, zamknęli okno i usiedli na łóżku Marysi okrywając się jednym kocem. - Jednak nie chciałabym być taka jak ona. I co by mi przyszło z pięknych włosów, pierścionków, ubrań, jeżeli miałabym taki wstrętny charakter? Wolę być brzydka, ale za to dobra.

Trochę się zaniepokoiła, bo nikt nie powiedział "wcale nie jesteś brzydka".

- Biała Gęś - szepnął Tomek do zamyślanej Marysi - co nam powiesz?

- Nic. Bo nic nie wiem. Nigdy jeszcze nie spotkałam takiej pani Krysi.

- A mówiłaś, że ona jest osobą zawiedzioną w miłości - zawołała Małgosia. - Czy dalej uważasz, że tak jest?

- Jedno drugiego nie wyklucza - odrzekła Marysia. - Ale chyba nie lubię jej.

Tomek chciał powiedzieć, że nim pani Krysia przyjechała, śnił mu się most kolejowy. Wielki, żelazny, podobny do szkieletu jakiegoś gada o małej główce, wielkim tułowi i długim ogonie. Nagimnastykował się zdrowo, nim udało mu się zakraść do pokoju babci. Zrobił to

wtedy, gdy starsze siostry były

jeszcze w szkole, a Kasia spadła z trzech schodków i rozbiła sobie kolano. Babcia i dziadek zaprowadzili do kuchni zapłakaną dzhiewczynkę, gdzie opatrywali skaleczone miejsce. Tomek stał z boku. Płacz Kasi przeszkadzał mu w myśleniu. Powiedział nawet niecierpliwym głosem "cicho bądź". "Jaki ty jesteś nieczuły" - skomentowała babcia.

Tomek był tylko zdenerwowany, bo zastanawiał się, czy zdaży wykonać skok na piętro. Zdażył. Później, żeby wynagrodzić siostrze to "cicho bądź", czytał jej przez całe popołudnie. Co chwilę jednak przerywał, żeby pomyśleć nad treścią snu. Most kolejowy widzieć we śnie znaczyło nieprzyjemne odwiedziny na jawie. Początkowo nie łączył tego z Damą Kier, ale połączył w momencie, kiedy wyrzuciła do przedpokoju materacyk Mniamni.

Nie mógł jednak nic powiedzieć siostrze, nie zdradzając tej męczącej i poniżającej go we własnych oczach słabości, jaką było potajemne wertowanie sennika. Toemk był już tak biegły w tłumaczeniu snów, że kiedy Ani przyśniły się miłe i pracowite bobry, omal nie zawołał, że to oznacza wiernych przyjaciół. Sam siebie zaliczał do tych przyjaciół i przynajmniej wiedział, że jest wiernym przyjacielem.

- Cokolwiek by tam na dole postanowiono, ja się na to nie zgadzam - Małgosia zacisnęła pięści.

* * *

Każdy wieczór w domu z drewnianym gankiem poświęcany był teraz jednej i tej samej sprawie - dzieciom. Wokół kuchennego stołu zasiadali wszyscy dorośli i słuchali, jak pani Krysia mówi.

- Po pierwsze, szkoła - mówiła

pani Krysia gestykulując. - One w ogóle nie wiedzą, co to obowiązek. Powinny odrabiać lekcje każde przy swoim biurku, a nie wszystkie razem, przy

kuchennym stole.

- To prawda - kiwnął głową ojciec. - Ale to już ustaliliśmy. Będą odrabiać lekcje przy swoich biurkach.

- Po drugie - ciągnęła pani Krysia - obserwowałam dzieci przy wieczornym myciu. Marysia zachowuje się, jak by każdego dnia zapominała, gdzie jest łazienka. Chodzi po całym domu w bieliźnie i w jednej skarpetce, a gdy się ją zapyta o cel wędrowek, odpowiada: "Tak, tak, już idę do łazienki". Dziewczynka w jej wieku powinna być bardziej zorganizowana.

Rodzina zapatrzyła się w obraz, jaki przed nią namalowano. Okrągła Marysia zaglądała to do kuchni, to do sypialni rodziców. Uśmiechnie się, coś powie, pomyśli, pogłaszcze psa albo nagle przyjdzie jej do głowy, że właściwie pies nie był dawno szczotkowany i niekompletnie ubrana, na środku przedpokoju, zaczyna szczotkować Mniamnię. Wreszcie po trzydziestu minutach trafia do łazienki.

- Małgosia natomiast w ogóle się nie myje.

- Jak to? - zawołała mama. - Małgosia to bardzo czyste dziecko. Kąpie się codziennie.

- Ona, owszem, wchodzi do wanny, ale nie używa mydła.

- Jak to? - zdziwił się ojciec. - Jeżeli już wejdzie do wanny, to jestem pewien, że używa.

- Nawet gdyby nie zawsze używała, to jak się tak codziennie dziecina wymoczy, jest przecież czyściutka. - Dziadzius stanał w obronie

wnuczki. - Ma zawsze takie
czyste paznokcie i taką
czyściutką szyję.

- Ale mydło jest po to, żeby
go używać - skwitowała sprawę
pani Krysia.

- Fakt - zgodzili się rodzice.

A ojciec zapytał, czy o Tomku
i Kasi nie lepiej porozmawiać

jutro, bo zaraz zacznie się film
w telewizji.

- Tomek natomiast, jak już
wejdzie do łazienki, to wyjść
nie może - pani Krysia nie
zwróciła uwagi na prośby pana
Sowińskiego. - On też powinien
być bardziej zorganizowany.

- On się hartuje - babcia
Pieczarkowska nie mogła
wytrzymać, gdy ktoś obcy
krytykował jej wnuka.

- A Kasia? - zapytał
dziadziuś. - Co pani powie o
Kasi?

- Kasia to bardzo przyjemna
dziewczynka - pani Krysia
uśmiechnęła się. Rodzice
również uśmiechnęli się,
zadowoleni, że gościowi podoba
się chociaż jedno ich dziecko. -
Ale nie wiem, czy państwo
wiedzą, że ona śpi w jednym
łóżku z Mniamnią.

- Ona bardzo kocha zwierzęta -
wyjaśniła mama. - Kocha je w
taki sposób, w jaki kocha się
ludzi. Powiem pani w sekrecie.
My tylko udajemy, że nie wiemy o
Mniamni w łóżku Kasi. Oczywiście
nie zdradzamy się z tym. - Mama
kilka razy kiwnęła głową
zadowolona z siebie.

- Nie rozumiem - powiedziała
pani Krysia. - Zupełnie tego nie
rozumiem.

Rozległo się ciche "pstryk".
To ojciec wymknął się do pokoju
i włączył telewizor. Pani Krysia
umilłka, aby po chwili znów
zacząć mówić:

- I zdarza się, że oglądają

filmy dla dorosłych.

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy pomyśleli to samo - pani Krysia ma rację. Zawsze ma rację, ale te racje tak nieprzyjemnie brzmią.

Po tych wieczornych rozmowach dzieci odrabiały lekcje przy swoich stolikach, w ciszy i spokoju. Dziadzius zglądał do kuchni i pytał o wnuki. Dowiadywał się, że odrabiają lekcje.

- Nie widzę - dziwił się. - Aha, one teraz uczą się na górze. Prawdę mówiąc lubiłem, gdy wszyscy troje siedzieli tu razem.

- Rozumiem pana - odpowiedziała pani Krysia. - Ale to je ogromnie rozpraszało, a poza tym zdarzyło się kiedyś, że Małgosia odrobiła lekcje w zeszyte Tomka, a Tomek w zeszyte Małgosi.

- Pomylili się dlatego, że mają takie podobne charaktery pisma - tłumaczył dziadek.

- No, ale treść. Powinni zwrócić uwagę na treść.

- To prawda - odpowiedział dziadek i pomyślał, że pani Krysia, chociaż wywróżona, mówi jak na zebraniu i nie sposób odpowiedzieć inaczej niż "to prawda".

Dziadzius zaczął unikać kuchni. Krył się w swoim pokoju. Kasia wciskała mu się na kolana i oboje tak siedzieli zapominając czasami zapalić światło.

- Dziadku, jak u nas teraz smutno - żaliła się. - Jakby nas było mniej. Jak myślisz, po co ta pani do nas przyjechała?

- Nie wiem, słoneczko - odpowiedział dziadek. - Dziadzius jest stary i też nie wszystko wie.

- A jak długo zostanie?

- Tego też nie wiem. I nie wypada pytać. Poza tym wasz dziadek nie potrafi postępować z osobami wywróżonymi - zażartował.

- A babcia potrafi?

- O, babcia wszystko potrafi.

Kasia pobiegła do kuchni, gdzie babcia i pani Krysia gotowały obiad na następny dzień. Babcia Pieczarkowska z furją kroili warzywa na małe kawałki i wrzucała do garnka. Była tak zła, że Kasia o nic nie zapytała.

- Dziadku - szepnęła włączając mu na kolana. - One obie gotują zupę na jutro, a przecież babcia

nie znosi nawet wody gotowanej poprzedniego dnia.

- To znak, moje dziecko, że babcia też nie potrafi postępować z osobami wywróżonymi, nawet jeżeli je sama wywróżyła.

* * *

Pani Krysia nie mogła doczekać się efektów nowej metody wychowawczej. Już w połowie marca popędziła do szkoły, żeby porozmawiać z nauczycielami.

- Dzieci to nie ciasta - mruzczał dziadek. - Tak szybko nie rosną, nie zmieniają się i nie robią postępów jak nie przymierzając placek drożdżowy.

Pani Krysia wróciła rozczarowana. Ani Tomek, ani Małgosia, ani Marysia nie uczyli się lepiej niż przedtem.

- Cóż za dziwne dzieci - rzekła przyglądając się siedzącym na kanapie pociechom Sowińskich. - Tyle starania i nic.

- Tak nam przykro - powiedziała pani Alina. - Ale może one nie będą się już nigdy lepiej uczyły? Może powinniśmy przestać o nich rozmawiać?

- Ja też tak myślę - pospieszył ojciec.

- Ja spróbowałabym jeszcze raz. Jeżeli państwo pozwolą.

- Nie pozwalajcie - odezwała się Małgosia, czym pogorszyła sprawę. Rodzice chcąc zatuszować jej niegrzeczne zachowanie, zapewnili gościom, że owszem, będzie im niezmiernie miło, jeżeli pani Kryśka poświęci dzieciom trochę czasu.

Pani Kryśka wydłużyła czas nauki. Zaraz po powrocie ze szkoły dzieci odbywały krótki spacer, zjadały obiad i szły odrabiać lekcje. Ania i Piotruś zaglądali przez okienko mysiego pokoiku i wołali, że na stawie puścił lód, że na łące za miastem znika śnieg...

- Nie mogę wyjść - odpowiadał Tomek. - Wy to macie dobrze.

Ania i Piotruś wracali do domu i mówili swojej babci, że ma szczęście, bo gość w domu naprzeciwnie jest straszny.

- Na czym to polega? - nie rozumiała babcia. - Wygląda tak miło.

- Ona rządzi i zawsze ma rację, a najgorsze jest to, że ona rzeczywiście zawsze ma rację. I nigdy nie powie niczego, co nie byłoby prawdziwe.

Gość rządził, ale nie nazywał tego rządziem. Mówił, że stara się być pomocny i że w takiej wielodzietnej rodzinie pewne sprawy mogą umknąć rodzicom z pola widzenia. Dlatego potrzebny jest ktoś z zewnątrz.

- Moje pole widzenia jest wystarczające - odgryzał się po cichu tata Sowiński. - Wiem, że naszym dzieciom daleko do ideałów, ale to nasza sprawa. Kiedy ona wyjedzie? Może by task dyskretnie dać jej do zrozumienia...

- Terrorystka - mruzczał ukryty za gazetą dziadek. - Oj Felicjo, Felicjo - dziadek kiwał siwą głową. - Po coś ty nam wyróżyła

tę rudą niewiastę? Gdybym wiedział, że tak się stanie, spaliłbym karty. Tak dobrze było bez niej.

- Sama przyszła - odpowiadała babcia. - A poza tym przecież to ty wypowiedziałeś to pamiętne zdanie. Kto wie, czy nie w złą godzinę? I nie zapominaj, że ta kobieta chce nam pomóc. Liczą się dobre chęci.

Mimo wydłużonego czasu nauki, dzieci uczyły się dokładnie tak samo. Tomek jakby się nawet pogorszył. Jeszcze bardziej niczego nie rozumiał, gubił długopisy i nawet trochę zezował.

- On ma jakieś kłopoty - orzekła pani Krysia. - Trzeba je z niego zdjąć. W zasadzie przeciwna jestem tego rodzaju metodom, ale ta akurat jest niewinna. Cóż szkodzi spróbować? Potrzebna mi będzie butelka z dużą szyjką.

- Czy ma pani zamiar wepchnąć mojego wnuka do butelki? - zapytał dziadek. - Niech pani spyta o zgodę jego rodziców.

Pani Krysia roześmiała się i nazwała dziadka miłym i dowcipnym starszym panem.

Posadziła Tomka na środku kuchni i zaczęła obchodzić dookoła. Rękami wykonywała takie ruchy, jakby coś zgarniała z chłopca. A co zgarnęła, to wrzuciła do butelki. Na koniec butelkę zakorkowała i poszła zakopać w ogródku.

- To pewnie ma działanie psychologiczne - skomentował dziadek. - Jak się czujesz, Tomku?

- Tak samo jak i przedtem - odpowiedział Tomek. - Babciu, czy długo jeszcze ta pani będzie się mną tak interesowała? Codziennie wieczorem każe mi pić kakao i zjadać dwa tarte jabłka. Błę - zatrzęsł się. -

Nienawidzę tego.

- To dlatego, że jesteś mizerny. Sama już nie wiem, co mam ci powiedzieć. Widzisz, dziecko, jakoś tak niezręcznie... jakoś tak nie wypada... Chyba ludzie z nadmiarem dobrych chęci są jeszcze gorsi niż ci, którzy w ogóle ich nie mają. Straszliwie gorliwy gość.

- Nie pozwolę zmuszać do jedzenia! - zawołał dziadek. - Nie wypowiadam się na temat szkoły, bo może im to wszystkim wyjdzie na dobre. Kłopoty do butelki może zdejmować ze wszystkich trzy razy dziennie, ale zmuszać do jedzenia nie pozwolę.

Zmuszanie do jedzenia nie było tym, czego najbardziej nie lubił Tomek. Jako dziecko drobne i wątłe przyzwyczał się już do różnych sztuczek i wybiegów, jakie stosowali dorośli. Były to sposoby delikatne, kulturalne, na przykład mała porcja zupy, ale tak wzmocniona kalorycznie,

że po rozwodnieniu nasyciłaby cztery osoby.

Pani Krysia naraziła się Tomkowi w zupełnie inny sposób.

Stał sobie raz przy kuchennym oknie i patrzył na ogród. Czuł już zbliżającą się wiosnę i było mu bardzo radośnie i lekko.

Nagle pani Krysia powiedziała:

- Chłopcze, pyszczek masz chudy jak mordka kozy.

Tomek poczuł na ciele ukłucia drobnych szpileczek. Zerknął w szybę i w jednej chwili znienawidził gościa. Pani Krysia bowiem ujęła w słowa to, co podejrzewał od dawna - że jest podobny do jakiegoś zwierzaka i że nie jest to podobieństwo przynoszące chlubę chłopcu. Musiał przyznać, że rzeczywiście jest podobny do

kozy.

- Ale przecież to nic złego! -
zawołała pani Krysia. - Koza to
takie sympatyczne zwierzę.

Tomek nie zwrócił uwagi na
jej ostatnie słowa. Stało się i
nie można było tego odwołać.
Powłókł się do mysiego pokoiku,
unosząc w oczach odbicie
wystraszonej koziej buzi.

W pokoju czekała na niego
Małgosia. Była dziwnie osowiała.

- Czy wiesz, co ona mi
powiedziała? Ona mi powiedziała,
że wyglądam jak osoba urodzona w
Święto Zmarłych. - Małgosia
siedziała na łóżku Tomka, ręce
zwiślały jej aż do ziemi i
ogólnie biorąc wyglądała
żałośnie.

- Nie przejmuj się - Tomek
rzucił się na łóżko z takim
impetem, że Małgosia omal nie
wylądowała na podłodze. - Ona
jest tylko tak cholernie
szczera. Szczera, pomocna,
troskliwa, zapobiegliwa i
bezpośrednia.

- Ale ja naprawdę urodziłam
się w Święto Zmarłych! -
wrzasnęła Małgosia. - I pewnie
dlatego mam takie wąskie i smutne
usta, a chciałabym, żeby były

pełne niewypowiedzianej
słodocy. Trochę tak o nich
myślałam, ale teraz już nie
potrafię - rozplakała się.

Fakt, że najsilniejsza z jego
sióstr płacze, uświadomił
Tomkowi, jak bezwzględna władzę
sprawuje pani Krysia.

- Pewnego dnia ona sobie
pojedzie i wszystko będzie, jak
było - pocieszał Małgosię. -
Babcia będzie wam wróżyła,
tłumaczyła sny... Powiedz,
dlaczego babcia wcale nie wróży?

- Bo pani Krysia powiedziała,
że karty to bzdura, sny to
bzdura. Jej się nigdy nic nie
śni. I wtedy babcia schowała

karty do szuflady, szufladę zamknęła na kluczyk. Tak bym chciała, żeby nam powróżyła. Żebyśmy mogli myśleć o tym, co było, co będzie, co dla domu, czego się nie spodziewamy, co być musi, co serce ukoi... - Małgosia wydała z siebie taki szloch, że i Tomkowi zebrało się na płacz.

Nie zauważona przez nich, w mysim pokoiku zjawiła się Kasia. Postąpiła chwileczkę, postąpiła i wyszła. Pobiegnęła na piętro, gdzie w pokoju dziewczynek dochodziła do siebie Marysia.

Pani Krysia naraziła jej się w sposób niewybaczalny. Otóż pewnego dnia Marysia odrobiła wszystkie lekcje i przyszła do kuchni. Usiadła przy swoim ulubionym stoliku i zaczęła czytać.

- O czym czytasz? - zapytała pani Krysia znad żelazka.

- O jednym mężczyźnie, który tak kochał swoją żonę, że kiedy zginęła, rzucił się na stos, na którym płonęły jej zwłoki. Tak ją kochał.

- Bzdura - pani Krysia poślinionym palcem sprawdziła, czy żelazko jest dostatecznie gorące. - Nie ma na świecie takiej miłości. W ogóle żadnej nie ma. Ci wszyscy pisarze tak przekonywająco piszą o wielkiej,

jedynej, niepowtarzalnej miłości, a każdy z nich miał po kilka żon.

- Czytam "Grażynę" Mickiewicza - Marysia z zadowoleniem poinformowała panią Krysę o tym, kto napisał utwór. Była przekonana, że kogo jak kogo, ale wieszca pani Krysia nie pouczy.

- I co z tego? - usłyszała. - Tak kochał tę swoją Wereszczakównę, tak kochał, a ona go wykiwała.

Wtedy Marysia wstała bez słowa i wyszła z kuchni. Fakt. Wereszczakówna go wykiwała. Rzeczywiście wykiwała. Marysi przyszło do głowy, że pani Krysia jest człowiekiem, który widzi tylko złe strony życia. "Bo złe strony widać od razu - myślała. - A dobrych trzeba poszukać". Tak ją przygnębiła rozmowa z panią Krysią, że nic jej się nie chciało robić.

Do pokoju dziewczynek zaglądało słońce, słychać było głosy dzieci. W ogródku obok spacerowała babcia Witkowska i sprawdzała, czy już wyschły rajstopy. Dotykała kolorowych ubranek, macała, a obok krążyli Ania i Piotruś i pokazywali na coś, co wyłaziło z ziemi.

Marysia nie mogła się otrząsnąć przez kilka dni. Rozmyślała o swojej koleżance nieszczęśliwie zakochanej w brunecie. Rozmyślała o sobie i o tym, że nikt się w niej nie zakochał i pewnie nie zakocha. Zatopiona w smętnych rozważaniach nie zauważyła Kasi, która wsunęła głowę do pokoju.

- Co robisz? - zapytała Kasia.

Nie było odpowiedzi, więc Kasia wymknęła się z powrotem na korytarz i pobiegła pod drzwi dawnego pokoju Tomka, a teraz pokoju pani Krysi.

- Ty wstrętna karciana osobo - syknęła. - Nie lubię cię.

Stała dość długo pod drzwiami

i czuła, że złość dodaje jej sił. Nim się obejrzała, podjęła stanowczą decyzję i postanowiła wprowadzić ją w życie tak szybko, jak tylko się da.

* * *

Było już mroczno, kropił drobny deszczyk. W powietrzu znów zapachniało zimą, chociaż poprzedniego dnia tak bardzo

czuło się wiosnę, że ludzie zapominali, jaki jest teraz miesiąc.

Pani Krysia, jak codziennie po południu, wybrała się do miasta na mały spacer. Lubiła tak sobie samotnie pospacerować, a potem wracać do domu, iść ścieżką i patrzeć prosto w oświetlone okna. Dom z drewnianym gankiem nazywała "domem", jakby było to miejsce, w którym postanowiła pozostać na zawsze.

Zaledwie pani Krysia wyszła, Kasia ubrała się i powiedziała, że wyjdzie z Mniamnią na malutki spacer.

- Tylko dookoła domu - zastrzegła, bojąc się, że mama albo babcia nie wypuszczą jej w deszczową pogodę. - Może wyjdę przed furtkę, ale nie dalej - tłumaczyła wciągając nieprzemakalne botki, ciepłą kurtkę z kapturem i ciepłe rękawiczki.

- No dobrze - zgodziła się babcia. - Idź, ale nie odchodź za daleko.

Kasia wyszła prowadząc na smyczy Mniamnię. Musiała się spieszyć, bo pani Krysia zniknęła właśnie za rogiem. Kasia pobiegła do furtki, wydostała się na ulicę i tam poczekała. Pani Krysia szła wolnym krokiem w kierunku głównej ulicy miasteczka. Kasia jeszcze nigdy nie wyprawiała się sama tak daleko. Troszkę się bała, ale odwagi dodawała jej obecność Mniamni. Suka szła równo, oglądając się co jakiś czas na swoją panią i przyjacielsko merdając ogonem. Ulice były

prawie puste. Drobnym złośliwym deszczem i wcześnie zapadającym zmrokiem zapędziły ludzi do domów. Kasia i Mniamnia minęły dom z białym gankiem. W kuchni paliło się światło i przez nie

zasłonięte okno widać było
babcię Witkowską cerującą.

Kasia szła szybko, starając się nie stracić z oczu pani Krysi. Zatrzymywała się, kiedy i pani Krysia się zatrzymywała, przyspieszała, kiedy wydawało jej się, że pani Krysia przyspiesza. Zastanawiała się, dokąd pani Krysia idzie i w którym momencie należy ją dogonić i powiedzieć to, co ma do powiedzenia. Pani Krysia przeszła obok pawilonu z jasno oświetlonymi wystawami. Nawet nie spojrzała na wiszące sukienki, sweterki i bluzki. Kasia natomiast zatrzymała się przed wystawą, zapamiętała ceny, żeby potem wypytać siostry, czy granatowa koszulowa bluzka kosztowała drogo jak na granatową koszulową ablużkę, kosztowała tanio czy w sam raz. Zagapiona w wystawę, nie zorientowała się, że pani Krysia skręciła. Nagle spostrzegła, że ulica jest pusta. Szli nią jacyś obcy, spieszący się ludzie, ale pani Krysi nie było.

- Mniamnia, biegiem -
rozkazała dziewczynka i
pociągnęła smycz.

Suka ruszyła kłusem.
Przebiegły obok bramy, której o zmroku nie lubiło żadne dziecko. Była ciemna, wilgotna bez względu na pogodę i przez cały rok dolatywały z niej smętne kocie głosy. Kiedy się zawołało "kici, kici", głosy milkły jak ucięte, ale nie pojawiał się żaden kot.

- My się, Mniamniu, nie boimy, prawda? - zapytała Kasia. -
Kiedy jesteśmy razem, nie boimy się niczego i nikogo, prawda?

Kasia dotarła do rogu głównej ulicy i zatrzymała się. Po

drugiej stronie, przed zamkniętą
od paru tygodni ciastkarnią

Dzidka, stała pani Krysia.
Patrzyła na wystawę, na której
złociła się sztuczna drewniana
babka, polukrowana białą farbą.

Deszcz przyspieszył. Siekl z
boku, a pani Krysia jakby go
wcale nie czuła. Stała zagapiona
w wystawę, z nosem prawie przy
szybie. Kasi przypomniało to
dzieci, które w taki właśnie
sposób patrzyły na wystawę
ciastkarni Dzidka, kiedy Dzidek
przed samymi świętami ustawiał
czekoladowe krasnoludki.

Kasia i Mniamnia przebiegły
ulicę i zatrzymały się obok pani
Krysi. W pierwszej chwili ich
nie zauważyła. Dopiero gdy
Mniamnia kichnęła głośno, pani
Krysia oderwała oczy od wystawy
i popatrzyła na stojącą obok
dziewczynkę.

- Co ty tu robisz? -
zawołała. - W deszcz, sama
jedna? Mniamnia ubłocona jak
nieboskie stworzenie! Wracamy do
domu.

Dziewczynka ani drgnęła.
Wpatrywała się w panią Krysię
ważnym spojrzeniem, a padające
z wystawy neonowe światło
kładło na jej twarzy szarawe,
nieładne cienie.

- Ja muszę coś pani powiedzieć
- odezwała się Kasia.

- Dobrze, ale w domu. - Pani
Krysia spróbowała wziąć Kasię za
rękę, ale dziewczynka nie
pozwoliła.

- Nie. Tutaj - odpowiedziała.
- Specjalnie za panią szłam.

- No to powiedz, co mi masz do
powiedzenia. - Pani Krysia
przykucnęła przed Kasią. - No,
szybciutko, bo zmokniemy.

- Chciałam zapytać, kiedy pani
sobie pojedzie? - zapytała Kasia
nie spuszczać oczu z twarzy
pani Krysi.

Uśmiech znikł z twarzy
kobiety. Poruszyła się i do Kasi
doleciał zapach perfum, którego
nie znosiła.

- Czy aż tak bardzo mnie nie lubisz? - zapytała szeptem pani Krysia. - Aż tak bardzo?

- Nie lubię - odpowiedziała Kasia. - U nas w domu nikt pani nie lubi. Chciałam spytać, kiedy pani sobie pojedzie? - powtórzyła z uporem.

Pani Krysia wyprostowała się. W twarzy dziewczynki zobaczyła coś tak bezwzględneho, że odwróciła oczy.

- Wiesz - powiedziała - nie powinnam się dziwić. Mnie nigdy nikt nie lubił.

Zerknęła na dziewczynkę. Kasia miała ten sam poważny wyraz twarzy, jak w chwili, kiedy pani Krysia zobaczyła ją stojącą przed wystawą ciastkarni.

- Więc nikt mnie nie lubi?

- Nikt - odpowiedziała Kasia.

- To jest prawda. Szłam za panią, bo nie chciałam, żeby ktoś słyszał, że ja to mówię. Chciałam być dyskretna.

Słyszałam, jak kiedyś tata mówił, że gościa należy przyjąć, nakarmić, zadbać, żeby miał wszystko, co mu jest potrzebne, ale jeżeli się za bardzo zasiedzi, należy mu dyskretnie dać do zrozumienia, że czas w drogę.

Wtedy pani Krysia roześmiała się. Najpierw parsknęła krótkim śmiechem, a potem zaczęła się śmiać głośno i długo.

Na buzi Kasi pojawił się cień uśmiechu.

- Więc pani się nie gniewa? - zapytała.

- Byłaś bardzo dyskretna - powiedziała pani Krysia i znów przykucnęła. - Ale twojemu tacie chyba nie o to chodziło. Kiedyś to zrozumiesz. Nas rzeczywiście nikt nie słyszał. Tylko Mniamnia. I naprawdę nie gniewam się. Wiesz, co teraz zrobię? Wrócimy razem do twojego domu, rozbierzemy się, osuszemy, przygotujemy kolację, a przy kolacji napomknę, że jutro wyjeżdżam. - Pogłaskała Kasię po

policzku. - Tak będzie dobrze?

- Tak - kiwnęła głową Kasia.

- I nikomu o tym nie powiemy - szepnęła pani Krysia. - To będzie nasza tajemnica. Zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała Kasia uśmiechając się.

- I jeszcze coś - pani Krysia przejechała palcem po policzku dziewczynki. - Ja się nie obrażę. No, a teraz wracajmy.

Wzięła Kasię za rękę i poprowadziła w kierunku domu. Minęły dom z białym gankiem. Babcia Witkowska dalej cerowała. Weszły na ścieżkę prowadzącą do drzwi wejściowych. Zrobiło się już całkiem ciemno. Babcia Pieczarkowska zasłaniała właśnie kuchenne okno.

- U was jest bardzo ładnie - powiedziała pani Krysia.

- Wiem - odrzekła Kasia.

Przy kolacji pani Krysia oznajmiła, że nazajutrz wyjeżdża. Dorośli zachęcali ją, żeby jeszcze troszkę pobyła. Tylko dzieci nie odezwały się słowem.

Następnego dnia, kiedy rodzice byli w pracy, pani Krysia spakowała mniejszą walizkę, schowała ją do większej i poszła na dworzec. Odprowadził ją dziadek, mówiąc, że mężczyzna, który nie odprowadzi na dworzec kobiety, zwłaszcza kobiety z walizką, jest diabła wart.

Starsze rodzeństwo było w szkole. Przy kuchennym oknie stała Kasia i patrzyła za odchodzącą. Myślała o niej teraz zupełnie inaczej niż dzień wcześniej. Chciała, żeby pani Krysia obejrzała się, Kasia mogłaby jej pomachać na pożegnanie. Kobieta jednak nie odwróciła się. Szła obok dziadka, o czymś rozmawiali. Wyszli na ulicę, skręcili w prawo, by po chwili zniknąć za domem z białym gankiem.

- Babciu - zapytała Kasia krzątającą się przy obiedzie babcię - co znaczy słowo "dyskretnie"?

- Delikatnie - odpowiedziała babcia. - Tak, żeby komuś nie było przykro, smutno.

- Aha - odpowiedziała Kasia. - A czy powiedzieć gościowi, że powinien już sobie pojechać, jest czynem niegodnym?

- Jak zabawnie mówisz, Kasieńko - babcia zostawiła skrobanie jarzyn i podeszła do wnuczki, żeby ją pocałować. - Nikt nie powiedział naszemu gościowi, że czas w drogę. Pani Krysia pojechała, bo widocznie musiała pojechać.

"Było jej smutno - pomyślała Kasia. - Było jej bardzo smutno. Muszę porozmawiać o tym z Tomkiem".

- Co ty dziś jesteś taka poważna? Powiedz babci. Smutno ci, że pani Krysia wyjechała?

- Nie wiem - odrzekła Kasia. - Sama nie wiem. Przyniosę do kuchni materacyk Mniamni.

Przyniosła materacyk i ułożyła w dawnym miejscu, między dwiema kuchennymi szafkami. Mniamnia natychmiast wlaźła na materac i zaczęła się kręcić w kółko, jakby ugniatała trawę.

- No już ugniotłaś bardzo dokładnie - Kasia pogłaskała ukochanego psa. - Jest mięciutko, możesz się położyć.

Suka zamerdała ogonem, a potem ułożyła się w taki sposób, że mogła dokładnie widzieć stół, na którym babcia Pieczarkowska kroila mięso. Co jakiś czas drobne kawałeczki leciały w stronę psa. Mniamnia w porę otwierała pysk i łapała je.

Rodzeństwo wróciło ze szkoły i każde dziecko zareagowało na wyjazd pani Krysi po swojemu.

- Nareszcie! - wrzasnęła

Małgosia wyrzucając ręce do góry, aż zadrżała lampa. - Nareszcie, nareszcie! Ona nawet nie była taka zła. Tylko do wszystkiego się mieszała.

- Babciu, chciałbym na zawsze zamieszkać w tym małym pokoiku. Bardzo go lubię, już się

przyzwyczaiłem i z jego okna widać okna pokoju Ani i Piotrka. Mogę?

- Oczywiście. Tylko trzeba tam założyć porządny haczyk i zrobić porządek z myszami. Ten pokoik rzeczywiście jest bardzo miły. Mieszkałam w nim jako młoda dziewczyna.

- To ten dom aż tak długo należy do naszej rodziny? - zdumiał się Tomek. - Myślałem, że babcia i dziadek kupili go, kiedy już mama była na świecie.

- Coś ci się pomyliło - babcia Pieczarkowska nalewała zupę ostrożnie niosąc warząchew nad obrusem. - Ten dom należy do naszej rodziny od wielu, wielu lat. Wybudował go jeszcze mój dziadek.

- Taki stary dom - zachwyciła się Małgosia.

Marysia prawie nie słyszała rozmowy. Zabrała się do jedzenia zupy. Nagle łyżka zatrzymała się między ustami a talerzem. Zupa ściekała z przechylonej łyżki, chlapiąc obrus.

- Jedz - babcia trąciła lekko wnuczkę. - Chlapiasz.

- Dziwne to wszystko - Marysia doniosła zupę do ust. - Dzień wcześniej mówiła, że pozostanie u nas jeszcze jakiś czas, a tak nagle wyjechała.

- Nagle się zjawiła i nagle wyjechała - powiedziała babcia. - Widocznie sobie o czymś przypomniała.

Wszyscy byli bardzo ciekawi, co powie dziadek. Nie wiadomo dlaczego, ale każde dziecko

chciało usłyszeć coś o
odjeżdżającej pani Krysi.
Dziadzius wrócił zziębnięty,
zacierał ręce, chuchał w nie.
Babcia postawiła przed nim
parujący talerz. Dziadek zjadł i
dopiero wtedy się rozgadał.

- Bardzo sympatyczna kobieta -
mówił. - Tak miło mi się z nią
rozmawiało. Nawet zaczynałem
żałować, że już nas opuszcza.
Powiedziała, że zapamięta nasz

dom na zawsze. Aha, powiedziała
jeszcze, że miasto też się jej
podało i nawet zastanawiała
się, czy nie zostać w nim na
zawsze. Zagadkowa kobieta -
powtarzał. - "No, ale w życiu
nie zawsze jest tak, jakby się
chciało", powiedziała mi.
Niewiele z tego wszystkiego
rozumiem, ale kiedy ją zegnałem,
była smutna.

- Kiedy była u nas, nie
mówiłeś, że jest smutna -
przypomniała babcia. - Byłeś na
nią zły.

- To prawda - przyznał
dziadek. - I teraz jest mi
głupio.

Po obiedzie dzieci rozłożyły
się z lekcjami przy kuchennym
stole. Dziadek z Kasią usiedli z
boku. Dziadzius z zadowoleniem
obserwował wnuki. Pożyczyły
sobie cyrkle, linijki, ołówki,
ekierki i sprzeczały się.
Zwłaszcza Tomek z Małgosią, a
to, że są wszystkie razem,
sprawiało dziadkowi przyjemność.

Deszcz znów się rozpadał.
Zacinał drobniutko, rysując na
szybach cieniutkie kreseczki.
Wrócili rodzice i widok dzieci
siedzących przy kuchennym stole
powiedział im, że gość wyjechał.

Nie rozmawiano więcej na temat
pani Krysi. Kasia wielkimi,
zamyślonymi oczami obserwowała
Tomka. Nie ruszyła się nawet po
miotelkę i szufelkę, kiedy

dziadzius nakruszył.

Późnym popołudniem babcia Pieczarkowska rozłożyła karty. Nim się jednak do tego zabrała, obejrzała je, zamyśliła się, westchnęła, znów na nie spojrzała. Widać było, że korci ją postawienie kabały, ale jednocześnie napawa lękiem.

- Felicjo - poprosił dziadek - bądź tak dobra i uważaj.

- Kajtusi - babcia zdecydowanymi ruchami tasowała karty. - Nie mam wpływu na to, co mówią karty. Ja tylko z nich czytam. O rety! - wyczytała. -

Dama Kier przy domu.

- Wróci? - Kasia zerwała się z kolan dziadka i pobiegła do stołu. - Wróci? - pytała. - Powiedz.

- Na to wygląda - odpowiedziała babcia. - Ten sam układ, co na początku. Dama kier, obok wydatki. Uboga dama kier, czyli wracamy do punktu wyjścia.

- Nie mam zamiaru w to wierzyć - wzruszył ramionami ojciec. - I tego, że była kosztowna, pani Krysi nie zarzucimy.

- Popieram cię - zaśmiał się dziadek. - jeszcze tylko brakuje, żeby nam tu Felunia prawdziwą królowę wywróżyła. Królowę, jej służbę, damy dworu. Felunia chyba nas nie lubi.

Wnuczki i jeden wnuczek patrzyli na rozłożone na stole karty. Dama kier nosem niemal dotykała asa kier. Za nią, jak różnobarwny ogon, ciągnęły się poodwracane trefle i kara.

- Karty dotyczą tylko ludzi, zwierząt nie? - upewniła się Kasia. - Bo gdyby zwierząt, to może przywlecze się do nas jakaś biedna kociczka albo sunia...

- Sunię już mamy - przypomniała babcia. - A poza tym karty dotyczą tylko ludzi. Z

czego się tak śmiejesz, Alinko?

Pani Alina od dłuższego czasu spoglądała na dzieci, rodziców, uśmiechała się tajemniczo, chrząkała, ale domownicy przejęci kartami nie zwrócili uwagi na jej znaki.

- Czy wy niczego nie zauważyliście? - zapytała wreszcie.

Wszyscy popatrzyli na mamę. Włosów nie rozjaśniła, nie przyciemniła, nie miała na sobie ani nowej sukienki, ani nowej bluzki. Była to ta sama mama. Nic się w niej od lat nie zmieniało.

- Mów jaśniej, Alinko - dziadek miał podminowany głos. - Dość mam tych niedomówień.

- Dobrze - roześmiała się mama. - Powiemy wam to oboje. Tata i ja. - Zwróciła się do dzieci: - Będziecie mieć nowe rodzeństwo.

W kuchni zapadła cisza. Dzieci wpatrywały się w rodziców. Nim to zdanie dotarło do nich, nim zdążyły zareagować, zareagował dziadek.

- Zmiłujcie się, ludzie - szepnął składając ręce. - Mam czworo wnucząt. Od narodzin Kasi myślałem, że to już koniec. Marysia rozpoczęła. Kasia zakończyła.

- Alinko - głos babci Pieczarkowskiej był pełen goryczy. - Nic matce nie powiedziałaś. Powinnaś była się domyślić. Jesz za trzech, miewasz zachcianki. Czy to wczoraj Jasio latał po rzodkiewki?

- Okropnie mi się chciało rzodkiewek - uśmiechnęła się mama. - To jest właśnie najgorsze. Jak mi się czegoś zechce, to trzeba po to coś lecieć w środku nocy. Nie powiecie jednak, że ze względu

na mnie trzeba prowadzić jakąś zachciankową kuchnię.

- Alinko - babcia

Pieczarkowska wróciła do tematu.

- Matce, rodzonej matce nie powiedziałaś.

- Ależ mam - tłumaczyła pani Alina. - Przecież teraz mówimy.

- Matka powinna wiedzieć wcześniej - dochodziła swoich praw babcia.

- Kajtusi! - zawołała, bo dziadek chciał coś powiedzieć. Błyskawicznie wyczuła, że będzie to coś gwałtownego. - Tylko nie próbuj wmawiać we mnie, że mamy za dużo wnuków!

- Ja nikomu niczego nie próbuję wmawiać - dziadek wymawiał wyrazy tak starannie, jakby je pisał. - Nikomu i niczego. - Wstał z fotela, a na podłogę sypnęły się okruchy. Dziadzius chodził po kuchni, a

wszyscy usuwali się z drogi. Nikt nie pamiętał go tak zdenerwowanego. - Nikomu niczego nie wmawiam, ale na stare lata chciałbym mieć ciszę. Nie chcę, żeby znów nocami niemowlę ćwiczyło sobie głos.

Dziadek wyszedł z kuchni.

Babcia złożyła karty, schowała je do szuflady. Ręce drżały jej ze wzburzenia.

- Wiedziałałam, że Kajtuś bywa gwałtowny, ale nie przypuszczałam, że potrafi być taki nieprzyjemny. Zamiast cieszyć się z nowej wnuczki, awanturuje się. Bardzo was wszystkich przepraszam, ale pójdę i powiem mu kilka słów.

I z okrzykiem: "Żeby tak traktować biedną, nie narodzoną jeszcze dziecinę!", wyszła z kuchni.

- Mamusiu - Marysia podbiegła do matki i objęła ją. - Bardzo się cieszę. W klasie ja jedna mam tyle rodzeństwa i jestem z tego dumna. Poza

tym wiesz, co babcia czasem mówi o
dzadku... że jest gwałtowny.

- Będę nosiła niebieską kurtkę tak
długo, jak długo będę się mogła w nią
wcisnąć! - zawołała Małgosia. - Jeżeli
ma się urodzić nowe dziecko, to znów
trzeba będzie zacisnąć pasa. Wprawdzie
bladym ohydnie jest w błękicie -
mówiła wyłazac z za stołu i podchodząc
do mamy. - Ale będę teraz potrójnie
starszą siostrą i trudno - dokończyła
obejmując ojca i matkę za szyję. -
Tych z naprzeciwka z zazdrości
poskręca w korkociągi! - zawołała. -
O, jak dobrze! O, jak dobrze! A tak
naprawdę to cieszę się, że Sowińskich
będzie więcej - uśmiechnęła się, a jej
wąskie usta ułożyły się w miłą
kieszonkę jak u "ogryzka" z piątej
"c".

Tymczasem w pokoju dziadka
babcia Pieczarkowska siedziała
na tapczanie.

- Nigdy się tego po tobie nie
spodziewałam - chlupała. -
Alinka, biedne dziecko, twoja
jedyna córka. Taką przykrość jej
sprawiłeś.

Dziadek doszedł już do siebie.
Patrzył na stojące na nocnym
stoliku zdjęcia wnucząt. Marysia
na rowerku, Małgosia na tym
samym rowerku, ale kilka lat
później. Tomek na rowerku, który
wygląda jak zupełnie inny
rowerek, ale jest to ten sam,
tyle że przemalowany. Kasia na
huśtawce, bo rowerek nie
wytrzymał.

- Kasia nigdy nie miała
własnego rowerka - szepnął
dziadek.

- Co ty mówisz? - zapytała
babcia.

- Nic - odszepnął dziadek. -
Jest mi bardzo przykro. Nie
wiem, jak mam ich przeprosić.
Jakże mógłbym się nie cieszyć z
nowej wnuczki! Palnie człowiek
jakieś głupstwo, a potem nie
wie, jak z tego wybrnąć.

Zresztą, Felicjo, mogłaś mnie powstrzymać.

- A jak miałam to uczynić? - zdumiała się babcia. - Poza tym próbowałam przecież.

- Ty wiesz, że bywam gwałtowny. Trzeba było coś zrobić...

- Ale co?

- Cokolwiek, żeby mnie powstrzymać. Nie byłoby całej tej rozmowy. Poza tym, jestem pewien, że znów nie dacie mi dotknąć dziecka. Będzie mi wolno stanąć nad łóżeczkiem, jak jakiemuś obcemu, starszemu panu. Będę tak patrzył na moją wnuczkę i odważę się powiedzieć "ach, jakie udane maleństwo".

- Kajtusi - babcia Pieczarkowska wstała, wyprostowała się i spojrzała na dziadka groźnie. - Tylko nie wmawiaj mi, że kiedykolwiek chciałeś zajmować się niemowlęciem.

- Ale mogłaś się domyślić, że w gruncie rzeczy chcę. To musiało być po mnie widać.

- No, to tym razem będziesz mógł nacieszyć się swoją wnuczką - obiecała babcia. - Dobrze, że

mi powiedziałaś. Lepiej jest wiedzieć, niż tylko się domyślać.

- Jest mi tak przykro - szepnął dziadek. - Poradź, Feluniu, co mam zrobić? Oni mi tego nigdy nie wybaczą. Poradź.

Babcia wzięła dziadka za rękę. Starszy pan miał lodowate, drżące dłonie.

- Zmierz Alince ciśnienie - powiedziała. - Zrób to oczywiście jako lekarz, a nie jako ojciec. Potem wszystko się samo rozwieje.

- Tak, tak - zgodził się dziadziuś grzebiąc w nocnej szafce w poszukiwaniu aparatu do mierzenia ciśnienia. - Bardzo

dobry pomysł, Feluniu -
powtarzał drepcząc za babcią.

Weszli do kuchni i dziadek
powiedział:

- Alinko, chciałbym ci
zmierzyć ciśnienie. Przychodzę
jako ojciec, nie jako lekarz...
Pomyliło mi się wszystko,
Feluniu - wyszeptał. - Tak mi
zawsze w głowie zamieszasz. Niby
dlaczego nie mam zająć się moją
córką jako ojciec? Przecież jest
zdrowa i lekarza nie potrzebuje.
Potrzebuje mnie, ojca, który
zaraz zmierzy jej ciśnienie. Już
sam nie wiem, co mówię -
zrzędził sadzając córkę na
krześle i owijając jej rękę
materiałem.

- Tato - szepnęła pani Alina i
pogłaskała ojca po policzku -
wcale się na ciebie nie
gniewamy. Rozumiemy, że możesz
mieć dość wnuków...

- O co mnie podejrzewasz,
Alinko? - wykrzyknął dziadek. -
Ja miałbym mieć dość moich
kochanych wnuków? Toż to radość
dla każdego dziadka. Ot, palnie
człowiek czasem jakieś głupstwo,
a rozmowa toczy się potem Bóg
wie jak długo.

- Każdemu zdarza się palnąć
głupstwo - pospieszyła z pomocą
Małgosia.

- Ja to ostatnio na matematyce

palnąłem takie głupstwo, że aż
dwójcę dostałem! - wyrwał się
Tomek. - Powiedziałem jedno, a
na myśli miałem coś zupełnie
innego.

Potem każdy przyznawał się do
jakiegoś głupstwa, aż dziadek
nakazał ciszę. Zmierzył mamie
ciśnienie i powiedział, że jest
w porządku. Potem sprawdził
ciśnienie sobie, babci i tacie,
a wtedy kolejno wszystkie dzieci
podwijały rękawy.

- Jesteście zdrowe jak rybki -
mówił dziadek.

- A teraz Mniamni -
zapropozowała Kasia - nigdy
biedaczka nie miała mierzzonego.

Ale suka nie życzyła sobie.
Warczała, odsłaniając zęby, więc
dziadek powiedział, że widocznie
nie ma do niego zaufania, bo nie
jest lekarzem weterynarii.

W domu z drewnianym gankiem
panował rodzinny nastrój jak w
świętka. Nikt nie miał do nikogo
pretensji, wszyscy byli wobec
siebie mili i uprzejmi.

- No, to ja bym sobie
rozłożyła karty - babcia zatarła
ręce. - Jeden raz, ot tak, żeby
zobaczyć, jak tam nasza wnusia.
Wnusia miła sercu i uboga...

Rozłożyła karty i wszyscy
zobaczyli stojącą obok asa kier
damę kier. Wydawała im się dużo
ładniejsza niż przedtem. Tylko
Tomek był trochę zawiedziony.
"Panie Boże - myślał - to nie
jest tak, że nie lubię moich
sióstr. Ja je kocham, ale
czasami mam ich dość, a brata to
chyba nigdy nie miałbym dość".
Przypomniał mu się portret
przodkini wiszący w dużym
pokoju. "Teraz pewnie urodzi się
dziewczynka wielka jak Marysia,
o niesamowitych oczach Małgosi,
wijących się włosach Kasi i
ustach samej przodkini".
Wymknął się z kuchni i zajrzał
do dużego pokoju. Prababka
patrzyła uśmiechając się, a
pradziadzius jakby jeszcze
zmalął, niemal wychylał z

portretu niedużą główkę, jakby
chciał wyskoczyć z ram.

"Nie ma się wpływu na płeć
rodzeństwa" - pomyślał Tomek i
wrócił do kuchni.

- Jakiś brunet nas odwiedzi -
powiedziała właśnie babcia.

- W jakim wieku? -
zainteresowała się Marysia.

- Starszy człowiek ze
zmartwieniami. Ale nie tak znów

bardzo stary, za to bardzo zmartwiony.

- Ubogi? - zapytał dziadek.

- Nie tak znów bardzo.

- Miły sercu?

- Raczej obojętny.

- No to niech odwiedza -

zezwoił dziadek. - Przecież nie możemy żyć jak odludki.

Ta rozmowa odbyła się we wtorek, wieczorową porą, a w środę, porą popołudniową, do drzwi domu z drewnianym gankiem zadzwonił pan Dzidek, skłonił się i zapytał:

- Dzień dobry państwu.

Ogromnie przepraszam, że nachodzę, ale czy zastałem pania Krysię?

* * *

Dziadzius opowiadał potem, że poczuł się jak bohater jakiejś książki, który postanowił uciec, wyrwać się spomiędzy kartek, ale został schwytyany i siłą wtłoczony na odpowiednią stronę. To dziadek właśnie otworzył drzwi panu Dzidkowi i usłyszawszy pytanie, zawołał:

- Felicjo! Felicjo! Chodź tu szybko!

Babcia sprzątała w szafkach kuchennych. Zostawiła półki, moką szmatkę i ruszyła do drzwi. Siedzące w kuchni wnuki pospieszyły za nią. W korytarzu spotkali się z rodzicami. Kasia jako najmniejsza smyrgnęła między nogami starszych.

Zobaczyła stojącego na wycieracze wystraszonego pana Dzidka, miejscowego cukiernika.

- Starszy brunet - mamrotał

dziadek. - Ale nie tak znów bardzo stary. Za to bardzo zmartwiony. Nie bardzo ubogi i raczej obojętny sercu.

- O czym pan Pieczarkowski mówi? - zapytał coraz bardziej zdziwiony pan Dzidek.

- A, my tak sobie czasami mówimy naszym domowym językiem - roześmiała się babcia i niedbale machnęła ręką. - Każdy dom, gdzie jest więcej niż jedna osoba, ma swój własny język, nie zawsze zrozumiały dla ludzi z zewnątrz. Na pewno i u pana w domu czasami rozmawia się tak, że nie każdy przybysz zrozumiałby.

- Nie, proszę pani - odrzekł pan Dzidek. - Bo ja mieszkam sam.

- Prosimy, prosimy - zachęcali rodzice. - Niech pan wejdzie.

Ojciec ujął oszołomionego pana Dzikka pod ramię i poprowadził w głąb mieszkania.

- Felicjo, ja już nie dam sobie wróżyć - powtarzał dziadek. - Nigdy. Wszystko się przecież sprawdza. Dotąd myślałem, że to ot, takie sobie żarty, ale teraz? jeszcze mi kiedyś śmierć wywróżysz i umrę z wrażenia. Nie namawiaj mnie więcej na żadną kabałę.

Spoglądał na babcię z obawą pomieszaną z szacunkiem.

- Chodź, Kajtusi, do pokoju - babcia pociągnęła dziadka za rękaw. - Tam się wszystkiego dowiemy. Sama jestem ciekawa.

W dużym pokoju pan Dzidek siedział już na kanapie i opowiadał.

- ...bo my, proszę państwa, poznaliśmy się przez ogłoszenie matrymonialne. Ona samotna i ja samotny. Wymieniliśmy fotografie... Że ona mi się spodobała, nic dziwnego... Taka piękna kobieta... ale że ja jej się spodobałem?

Pan Dzidek potrząsnął głową. Z kieszeni na sercu wyciągnął sporego formatu zdjęcie. Osiem

głów pochyliło się nad fotografią.

- To ona - powiedziała babcia.

- To pani Kryisia. Wyjechała trzy dni temu.

- A ja trzy dni temu przyjechałem - pokiwał głową pan Dzidek. - Przyjechałem pociągiem o dwunastej trzydzieści.

- Przecież pani Kryisia odjechała pociągiem o dwunastej piętnaście - wyjąkał dziadek. - Taki pech. Taki pech...

- Rozminęliśmy się - pan Dzidek był tak smutny, że Mniamnia podała mu łapę. Czyniła to bardzo rzadko, niechętnie, a obcym nigdy. - No cóż, pójdę już - pan Dzidek pogłaskał psa i wstał.

- Chwileczkę, ale nie wszystko rozumiem - wtrącił tata. - A skąd pan przyjechał?

- Z miejscowości, gdzie mieszka pani Kryisia - wyjaśnił pan Dzidek. - Wzięła mnie nagła chęć, żeby pojechać do Krysi i wytłumaczyć... - pan Dzidek zawiesił głos. - Żeby... no, bałem się, że się rozmyśli, a ja już byłem zakochany. Pojechałem więc z nadzieją, że... jak mnie zobaczy... - pan Dzidek urwał skromnie.

- Liczył na swój urok - szepnęła Małgosia do Marysi.

- Nie zastałem jej - podjął gość - zatrzymałem się więc u sąsiadów. Nie potrafili powiedzieć, dokąd pani Kryisia pojechała. Mili ludzie, zachęcali, żebym poczekał. Posiedziałem trochę u nich, wyłatałem dach, naprawiłem wszystkie krany, wyreperowałem schodki... No, ale delikatnie dano mi do zrozumienia, że czas w drogę... Wróciłem więc i od pani Witkowskiej dowiedziałem się, że Kryisia tu właśnie była. Pani Witkowska wstąpiła dziś do mojej ciastkarni. Powiedziała, że jak na moją ciastkarnię, to nawet ładnie pachnie, i dodała, że u państwa była ruda kobieta,

która tak wspaniale piekła, że zapachy jej ciast postawiłyby umarłego na nogi. Pokazałem zdjęcie, a pani Witkowska poznała Krysie.

- Co za pech, co za pech - powtarzała babcia. - Gdybyż tak została jeszcze dwa, trzy dni.

Rozmowę przerwał płacz Kasi. Dziewczynka rozszlochała się głośno. Babcia wzięła ją na kolana, zaczęła głaskać i pocieszać, że wszystko dobrze się skończy.

- Nie ma innego wyjścia - powiedziała mama - musi pan do niej pojechać.

- A może ona uciekła przede mną? - pan Dzidek popatrzył na twarze zebranych. Wyraźnie czekał na zaprzeczenie. - Może się rozmyśliła?

- Nie, nie rozmyśliła się! - zawołała Marysia. - jestem tego pewna. Ona wyglądała jak osoba, która myśli, że to właśnie ją oszukano. Och, proszę pana - Marysia prawie klęczała przed panem Dzidkiem. - Niech pan tam jedzie jeszcze dziś, bo znów się rozminiecie. My zaraz pobiegniemy po bilet. Przecież to tylko zwykłe nieporozumienie - Marysi zabrakło słów. Wymachiwała przed panem Dzidkiem rękami, chcąc mu dać do zrozumienia, jak trudno jest mówić wprost o wielkich uczuciach.

- Ona codziennie chodziła pod pana ciastkarnię - zawodziła Kasia. - I stała na deszczu.

Kasia płakała całą sobą. Pełna współczucia Mniamnia zawyła raz i drugi, a potem rozwyła się na dobre. Odezwały się okoliczne psy. Na tle ich głosów słychać było cienkie "auuuu" Kruczka.

- Nie ma co rozpaczać - babcia Pieczarkowska klepnęła się w kolano. - Zaraz przygotujemy panu kanapki na drogę, a dzieci niech pobiegną po bilet. I zje pan coś przed podróżą. Strasznie pan wymizerowany. Alinko, chodź,

przygotujemy coś do zjedzenia.

Dzieci ubrały się i popędziły na dworzec. Tomek nie bardzo rozumiał, o co tyle zamieszania. Sprawa raczej go rozbawiła. Śmieszyła go najstarsza siostra. Miała minę osoby, która kręci się wokół spraw stanowiących treść jej życia. Nie rozumiał, dlaczego najmłodsza siostra płacze i bez przerwy ściska go za rękę.

- Taka historia, taka historia - powtarzała Marysia oglądając bilet kolejowy. Powinniśmy kupić biedaczkowi pierwszą klasę. W lepszych warunkach chyba wygodniej jest rozmyślać o uczuciach.

- Chyba tak - zgodziła się Małgosia. - Ale kupiliśmy drugą klasę i trudno. Daj potrzymać bilet. Poza tym pan Dzidek jest tak zakochany, że pojechałby na lokomotywie.

- Och, żeby tak kiedyś ktoś do mnie jechał.

- Na lokomotywie? - zachichotała Małgosia.

- Nie, konno - rozmarzyła się Marysia. - Biegłabym na spotkanie, a wiatr poruszałby moją sukienką.

- O Boże - jęknął Tomek. - Obie wariatki.

- Co obie, co obie - siostry żartobliwie wytargały go za uszy.

Dzieci wróciły do domu w bardzo dobrych nastrojach. Tylko Kasia ciągle pociągała nosem i bez przerwy pytała, czy ta historia dobrze się skończy.

- Skończy się tak, jak się skończyć powinna - uspokoiła ją Marysia. - Pan Dzidek ożeni się z panią Krysią i będą żyli długo i szczęśliwie.

Weszli do pokoju, gdzie nakarmiony i podtrzymany na duchu gość kończył herbatę. Dziadek mówił właśnie, że pani

Krysia to piękna i ogromnie miła kobieta, ale trzeba ją krótko trzymać.

- Troszeczkę despotyczna, panie - tłumaczył. - Tak nam tu dzieciaki rozstawiała po kątach.

- Moje biedactwo - wzruszał się pan Dzidek patrząc na fotografię.

To, że powiedział "moje biedactwo" o osobie, której nikt z rodziny nie nazwałby biedactwem, zmieniło obraz pani Krysi. Była teraz nieszczęśliwą kobietą przekonaną, że oszukał ją okrutny los, pod postacią okrągłego pana Dzidka.

- Niech ją pan pozdrowi od Kasi - chlupała Kasia.

- Niech ją pan pozdrowi od nas wszystkich! - wołały dzieci.

Zaopatrzone w kanapki pan Dzidek wyruszył na dworzec. Rodzina wyległa na ganek i machała na pożegnanie.

* * *

Historia z zawiedzioną w miłości panią Krysią zakończyła się pomyślnie. W domu z drewnianym gankiem życie toczyło się normalnym trybem. Dzieci chodziły do szkoły i wracały z "tym co zwykle". W ostatni piątek marca budziki nie zadzwoniły, ale nikt nie zasnął, bo pan Sowiński sam z siebie obudził się bardzo wcześnie i o odpowiedniej porze powyłlekał z łóżek dzieci. Babcia Pieczarkowska miała mu za złe, że się wtrąca do wychowania jej wnuków, ale nic nie mogła poradzić. O godzinie siódmej trzydzieści dwie nieodrodne wnuczki i Tomek wyruszyli do szkoły. Wieczorem natomiast, tak jak zwykle, babcia rozłożyła karty. Już nawet nie po to, żeby wróżyć, ale żeby wszyscy mogli popatrzeć na Damę Kier. Mówili o niej "nasza malutka".

- Śliczne będzie to maleństwo
- wzdychała pani Witkowska. -
Aniu, Piotrusiu, pewnie też
chcielibyście mieć taką
siostrzyczkę, prawda?
- A po co? - zapytała Ania. -
Nam, babciu, jest dobrze tak jak

jest.

I zostawiwszy babcię nad
kartami pobiegli do pokoju
Tomka.

- Jakies to takie bez uczuć
rodzinnych - prychnęła babcia
Witkowska. - Ale cóż robić, cóż
robić...

Przy okazji rozmowy na temat
małej Damy Kier, Małgosia
przypomniała rodzinie o pani
Krysi.

- Wiecie co? - powiedziała. -
Pani Krysia wyjdzie za męża za
pana Dwidka. Jestem tego pewna.
Może nawet już wyszła? Ale
przecież ona nie nadaje się do
wychowywania dzieci. I co to
będzie?

- Może się nauczy? - wyraziła
nadzieję Kasia. - Na pewno się
nauczy.

- A ja myślę, że oni wcale nie
będą mieli dzieci - zachichotała
Małgosia. - Oni będą mieli
ciasta. Wszystkie śliczne,
udane, najpiękniejsze pod
słońcem. - Roześmiała się. -
Istne cudenka. Szkoda tylko, że
wyprowadzają się z naszego
miasta. Mniem - oblizała się.

Pani Krysia napisała do
rodziny
Pieczarkowsko_Sowińskiej. List
był długi, serdeczny. Napisała w
nim kilka zdań specjalnie do
Marysi. "To, o czym
rozmawialiśmy, kiedy prasowałam,
nie jest prawdą" - mówiło jedno
z tych zdań. Do Kasi napisała:
"Wcale się na ciebie nie
gniewam".

- Co za tajemnice? - złościła
się Małgosia. - O czym

rozmawialiście, kiedy ona prasowała?

- O czymś ważnym - odrzekła tajemniczo Marysia.

- za co pani Krysia nie gniewa się na ciebie? - Małgosia zaatakowała Kasię. - Gadaj, bo pękne.

- Nie powiem. - Kasia położyła rączkę na sercu, a drugą na ustach. - To taka okropna

tajemnica. Nikomu nie powiem. Nigdy. Nawet Tomkowi, chociaż najpierw chciałam tak zrobić.

Małgosia omal nie pękła. Prosiła, biadoliła, próbowała nawet przekupić najmłodszą siostrę, ale bez skutku. Marysia natomiast ulitowała się nad Małgosią i opowiedziała jej rozmowę z panią Krysią.

- Tylko tyle? - zdziwiła się Małgosia. - Każdy joloop wie, że to istnieje. Sama miałam okazję... eee, tego - zaczerwieniła się. - Ale powiem ci, że chciałabym chodzić do piątej "c".

Nadeszła prawdziwa wiosna. Pod oknem mysiego pokoiku w miejscu, gdzie pani Krysia zakopała butelkę z kłopotami, wyrosły żółte kwiatki. Małgosia pierwsza je zauważyła.

Przykucnęła przed niedużą kępką, obejrzała kwiaty i powiedziała:

- Boże słodki, one są jakies dziwne. Zezowate.

Rodzeństwo mimo woli cofnęło się, a kwiaty wyciągały cieniuchne szyjki, jakby chciały, żeby je ktoś podrapał.

- A jednak, braciszku, miałeś kłopoty - wyszeptała Marysia. - Pod twoim oknem wyrosły kłopotliwe kwiaty. Moim zdaniem one rzeczywiście zezują.

- Zezują, bo krzywo stoisz - odezwała się sceptyczna jak zawsze Ania. - Patrzę na nie i patrzę, ale nie widzę, żeby

miały zeza.

- Idźcie z nimi do okulisty -
poradził Piotruś i na wszelki
wypadek odsunął się, żeby
Małgosia miała daleko do jego
butów.

- Zazdrościcy - syknęła
Małgosia. - Te kwiaty wyraźnie
zezują. Pleciecie tak z
zazdrości, bo w waszym ogrodzie
rośnie samo pospólstwo.
Zazdrościcie nam dziwnych
kwiatków.

- One są dziwne mniej więcej
tak jak ty - odcięła się Ania. -

Brzydkie i chude.

- Chodź, Małgosiu - Marysia
wzięła siostrę za rękę. - Nawet
nie wiesz, jaka jesteś ładna.
Naprawdę. Tylko trochę
niepospolita.

- Brzydulę zawsze pociesza
się, mówiąc jej, że jest
niepospolita - westchnęła
Małgosia. - Nie lubię tej Anki.
Z tym wiecznie ostrzyżonym łbem
wygląda, jakby wylazła spod
kosiarki.

Siostry poszły w drugi koniec
ogrodu, gdzie babcia właśnie
rozhuśtywała Kasię. Rozhuśtała
ją bardzo wysoko, ale w objęcia
babci Kasia wskoczyła dopiero
wtedy, gdy huśtawka zwolniła.
Wbrew przewidywaniom Małgosi,
babcia Pieczarkowska wytrzymała
skok wnuczki. Nawet nie drgnęła
pod ciężarem Kasi. Babcia
Pieczarkowska zawsze była silna,
ale wiosną najsilniejsza.

* * *

Teraz słońce pokazywało się
wcześnie rano i nie przysłonięte
ani jedną chmurką świeciło cały
dzień. Któregoś popołudnia
babcia Pieczarkowska poczuła
taki przypływ wiosennej energii,
że zabrała się do wiosennych
porządków. Dziadek chciał jej
pomóc, ale babcia dała mu do
rozumienia, że przeszkadzałby

tylko. Schronił się więc w innej części ogrodu, usiadł na leżaku ustawionym tyłem do wszystkiego i zawołał:

- Tu jest cień! Jeżeli przeziębisz się, będzie to twoja wina!

- Kasiu, zanieś dziadkowi pled i zrób tak, dziecko drogie, żeby się nie gniewał.

Kasia zanosła dziadkowi ciepły pled, sobie mały kuchenny stołeczek. Usiadła obok i poprosiła, żeby jej opowiedział o czasach, kiedy zupełnie nagle wzywany był to tu, to tam, wszędzie, gdzie wybuchła epidemia.

Babcia Pieczarkowska zaczęła

od porządkowania ogródka.

- Zmienimy trochę kształt grządeczek, posadzimy inne kwiatuszki - mówiła do siebie wkładając ogrodowy strój, pasiastą sukienkę i słomkowy kapelusz. Wiosną babcia nigdy nie mówiła "warzywa", "kwiaty", "zupa", "mięso". Wszystko zdrabniała w sposób tak przekonywający, że kiedy stawiała przed panią Aliną talerz zupki doskonałej dla kobiet w ciąży, pani Alina, choćby była nie wiadomo jak najedzona, jadła, bo jak odmówić komuś, kto tak się trudził, że zamiast zwykłej zupy ugotował zupkę.

Spieszczane przez babcię wyrazy nabierały wiosną czarodziejskiej mocy.

Zmieniła trochę kształt grządeczek, posadziła inne kwiateczki i zabrała się do wiosennych porządków. Wynosiła do ogródka wszystko, co wynieść się dało, trzepała, myła, gniotła, czyściła.

W sąsiednim domu, przyczajona za firanką drobna postać drżała z upokorzenia. Też chciało jej

się skopać, zmienić kształt,
posadzić i w ogóle zrobić
wiosenne porządki. Pani
Witkowska nie miała jednak tych
sił, co sąsiadka. Wnuczęta, jak
na złość, poszły do szkoły,
dzieci, jak na złość, do pracy,
a ona sama jedna została w domu
z listem na pocieszenie. Babcia
Witkowska czuła się bardzo
nieszczęśliwa. Jak związany
waleczny wojownik, jak rycerz na
tarczy, jak skorpion bez jadu
przywiązany za ogon do drzewa.
Popłakała troszeczkę, osuszyła
łzy, przeżegnała się i ruszyła
do sypialni po kołdry, materace,
ciepłe rzeczy.

- Ona mnie wykończy - sapała
wlokąc materac. - A ja mam dla
niej tyle przyjaźni. Ile to
nieporozumienia na tym świecie -
stękała zarzucając materac na

płot.

Wyciągnęła trzepaczkę i waliła
nią w materac starając się
zagłuszyć trzepaczkę wmontowaną
w silne ręce Pieczarkowskiej.
Trzepanie babci Witkowskiej przy
trzepaniu babci Pieczarkowskiej
brzmiało jak trzepot skrzydeł
motyla przy trzepocie skrzydeł
mewy.

- O Boże - jęczała babcia
Witkowska. - Już nie mam sił.

- No to dziś jeszcze
przelecimy podłogi - doleciało
zza płotu.

Babcia Pieczarkowska pastowała
podłogi, a babcia Witkowska była
dopiero przy rozpuszczaniu
pasty. Wytrzepane kołdry i
materace leżały na swoich
miejscach, a serce tłukło się w
rytm dawno już umilkłej
trzepaczki.

W domu z drewnianym gankiem
przelatywano podłogi, a w domu z
białym gankiem babcia Witkowska
sapała nad podłogą w pokoju
gościnnym. Starala się

przechytryć własną słabość i nie myślała o pozostałych pokojach. Wmawiała organizmowi, że już niedługo, że tylko tę jedną podłogę trzeba zapastować. W duchu natomiast obiecywała sobie wszystkie podłogi. Dodatkowo kombinowała, jakby tu zmusić wątłe ciało do posłuszeństwa i zapastować dwa razy.

Wiosenne zawody przerwał zięć. Już przed furtką poczuł zapach pasty i usłyszał odgłos pralki, bo babcia Witkowska w przerwie między jedną butelką pasty a drugą wstawiła pranie. Oprócz tego pan Wysocki dostrzegł wiszące w ogródku męskie koszule, jego nos wyczuł zapach obiadu. Wszystkie te odgłosy i zapachy wywołały w nim gniew. Wpadł do domu z okrzykiem:

- Znowu?!

Drobna teściowa niemal rozplaszczyła się ze strachu na podłodze. Znała stosunek swojego

zięcia do tego rodzaju poczynań. Był on jednoznaczny. Nic tak nie doprowadzało go do furii, jak widok sponiewieranej pracą teściowej, zwłaszcza że w biurze naraził się kilka razy na uwagi: "Kolego Wysocki, czy wy musicie tak orać tą biedną, drobną kobietą?" Pan Wysocki był człowiekiem silnym i wypastowanie całego mieszkania nie sprawiało mu trudności. Mógł jedną ręką podnieść do góry żonę, dwoje dzieci, a teściową, schwyconą za sukienkę, mógłby podnieść do góry zębami.

Babcia Witkowska niejednokrotnie zastanawiała się, jak to jest. Przecież pan Sowiński też kiedyś wpadł do domu z okrzykiem "Znowu?!", na co usłyszał spokojne, ale mocne: "Tak, znowu". Babcia Witkowska wiele razy próbowała

nauczyć się tego władczego "znowu", ale jej brzmiało jakoś tak pytająco, nieśmiało i ledwie słyszalnie.

- Stefanku, zaraz dam ci obiadek - pozbierała się z podłogi. - Tak mi przykro, że jeszcze nie skończyłam i znowu, znowu...

Pan Wysocki sapał ze złości. Chętnie podniósłby do góry cały dom i przeniósł w jakieś inne miejsce, z dala od domu z drewnianym gankiem, bo dobrze wiedział, gdzie leży przyczyna tego, co zastał.

- Mamo - powiedział - proszę na leżak do ogródka.

- Ale obiad, Stefanku, obiad...

- Sam sobie wezmę, a swój mama zje w ogródku.

Ponieważ pani Witkowska nie ruszała się z miejsca, zięć złapał ją wpół, wyniósł do ogródka i posadził na leżaku.

Pani Witkowska zjadła obiad, napiła się herbaty, a zięć skończył pastowanie, rozwiesił pranie, potem jeszcze zmienił zasłony we wszystkich pokojach

i zabrał się do ich prania. Nie chciało mu się zmieniać zasłon, bo uważał, że są czyste, ale kiedy stawiał przed teściową obiad, zobaczył, że wpatruje się ona z napięciem w okna domu z drewnianym gankiem. Podążył za jej wzrokiem. W domu z drewnianym gankiem wieszano właśnie nowe zasłony, a na ganku stała wielka balia przygotowana do namoczenia zimowych.

- Już nigdy nie zachowam się tak jak dziś - obiecywała uroczyście babcia Witkowska. - Już nigdy. Przez te porządki człowiek gotów się wyprawić na tamten świat.

- Z całą pewnością nie będzie już mama więcej pastowała i

trzepała - oznajmił zięć. - Od dziś pasta, proszki do prania i trzepaczka będą pod kluczem. Proszek do prania, na jakąś małą przepierkę, wydzielili mamie Teresa. Obiecałem ojcu, że nie dam się mamie zamęczyć na śmierć, i słowa dotrzymam.

Babcia westchnęła. Taki dobry zięć i taki dobry mąż. Córka też dobra i wnuczęta kochane, ale swoją drogą, jak to jest? Pieczarkowskiej też próbowali schować pastę do podłogi, proszki do prania, ale ona powiedziała tylko: "Żeby ja nie musiała tego schować przed wami. Poproszę o klucz". Wyciągnęła rękę i klucz od schowka natychmiast znalazł się w jej dłoni.

- Żeby ja nie musiała tego zrobić! - zawołała cicho, ale dość groźnie babcia Witkowska. - Kruczek, dobra psina - rozczuliła się, bo pies ułożył się obok i zwinął do drzemki. - Masz tu kosteczkę. Ty jeden wiesz, jak mnie czasami nikt nie rozumie.

Babcia Witkowska poleżała jeszcze trochę, aż w końcu przysnęła.

W domu z drewnianym gankiem babcia Pieczarkowska malowała

wszystkie odrapane stołki. Zapach farby drażnił drzemiącą babcię Witkowską. Z tego wszystkiego przyśniły jej się meble. Szafka kuchenna i porysowany stołek. Kiedy się obudziła, wnuczęta były już w domu.

- Dzieci - ruchem ręki zwabiła do siebie Anię i Piotrusia - idźcie do pani Pieczarkowskiej i tak od niechcienia zapytajcie, co to znaczy, jak się człowiekowi śnią meble. Tylko nie mówcie, że ja pytałam. Powiedzcie, że to wam śniły się meble. Tobie

stołek, Piotrusiu, a tobie szafka, Aniu.

Wnuczęta pobiegły, a po chwili wróciły z wiadomością, że sen o meblach oznacza dobrobyt. Przy okazji zapytały, czy mogą iść się pobawić.

- Idźcie, idźcie - babcia poczuła, że coś się rozjaśnia w jej sercu. - Idźcie, kochani.

Babcia Witkowska uśmiechała się błogo. Sprawdziła się jej zasada - po męczarniach przychodzi ukojenie. Teraz właśnie doznawała ukojenia. Toż to największa przyjemność leżeć w cieniu na leżaku i rozmyślać o czekającym człowieka dobrobycie.

* * *

Zaledwie babcia Witkowska ochłonęła po wiosennych porządkach, nadeszła Wielkanoc i trzeba się było brać za świąteczne wypieki, a do tych spraw babcia Witkowska podchodziła bardzo poważnie.

Córka i zięć, jak co roku, tłumaczyli, że nie ma sensu tak się męczyć. Część ciast można kupić gotowych.

- Upiec jedno, może dwa - mówiła pani Teresa. - Dla zapachu, a resztę kupić. Ile mama ma zamiar piec?

- Tyle co zawsze - odpowiedziała babcia Witkowska. - Nie zmienię swoich zasad.

W sprawie ciast była niezłomna, odgrywała się za

wszystkie te chwile, kiedy okazywała słabość.

- O Boże! - westchnęła pani Teresa. - Z niczego mama nie zrezygnuje?

- Z niczego - odpowiedziała babcia przytulając do piersi swoją ukochaną książkę kucharską. - Przenigdy. To moja radość. Z tej książki korzystała moja babka, matka, ja korzystam i ty powinnaś, moja Teresko.

Pani Teresa umilkła, bo w ogóle nie potrafiła piec.

W trzy dni potem babcia Witkowska przystąpiła do pieczenia. Anię i Piotrusia wyprawiła z domu, zamknęła się w kuchni na klucz i haczyk i otworzyła książkę na stronie sto drugiej. "Babka żółtkowa" - przeczytała. - "Rozbić kopę jaj". Rozbiła. "Żółtka wrzucić do makutry". Wrzuciła. "Wsypać do nich pół funta mąki i ośm łątów drożdży". Wsypała. "Rozbić dobrze z żółtkami". Rozbiła dobrze. "Odstawić w ciepłe miejsce. Skoro ciasto podrośnie... dolać jeszcze pół funta sklarowanego i ostudzonego masła. Rozbić dobrze"... Dolała, rozbiła i wlała do wysmarowanej formy... "i upiec" - przeczytała i upiekła. Potem upiekła babkę na migdałowym mleku, babę o tajemniczej nazwie "Savarin", a na końcu "babkę przyjacielską", przeznaczoną w prezencie dla sąsiadów.

Zięć wrócił z pracy, zastał cały kuchenny stół zastawiony wspaniałymi wypiekami i teściową trzymającą się zlewozmywaka.

- O Boże! - wykrzyknął. - Czy mama tak musi?

Zbyła ten okrzyk pogardliwym grymasem.

- Odprowadź mnie do łóżka, Stefanku - poprosiła. - jakoś dziwnie słabo się czuję.

- mamu - zaczął pan Wysocki sadzając teściową na łóżku. - Nie chciałbym się wtrącać, ale tak pytam ze zwykłej ciekawości,

ile jajek poszło na te baby?

Babcia Witkowska zmarszczyła czoło, żeby policzyć.

- Coś chyba ze trzydzieści - powiedziała. - Nie, żeby task być dokładną, to chyba ze trzydzieści dwa.

- Mama jest cudotwórczynią -

pokręcił głową pan Wysocki. - Z trzydziestu jaj tyle ciasta. To chyba tylko mama potrafi.

- Tak, tak - kiwała głową babcia Witkowska. - To potrafią tylko dawne gospodynie. Teraz się zdrzemnę.

Zięć wyszedł cichutko, a babcia Witkowska natychmiast otworzyła oczy. "Poszło osiemdziesiąt pięć jaj i pójdzie jeszcze pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, bo przecież mazurki, pierniki... Pójdzie jeszcze ze trzy kilo masła, migdały, rodzynki, orzechy..."

W rodzinie Pieczarkowsko_Sowińskiej święta obchodzono dużo skromniej. Babcia zadowoliliła się jednym mazurkiem, jedną babą i jednym sernikiem. Przy okazji powspominano panią Krysię i pana Dzikka. Kartka z życzeniami od nich stała na półce, oparta o słoik z przyprawami.

Babcia przygotowała dla sąsiadki w prezencie kawał pasztetu na dziko i salaterkę nóżek w galarecie. Domyśliła się, że jak co roku, rodzina otrzyma "babę przyjacielską".

W Wielką Sobotę wszystko było już gotowe. Na stole stały aż cztery gipsowe baranki, każdy trochę obtłuczony. Kasia zbierała je, wyciągała przed świętami i nie mogąc się zdecydować, którego ustawić, stawiała wszystkie, żeby żadnemu nie było przykro.

Rodzina kręciła się po kuchni, przeszkadzając sobie wzajemnie. Dzieci nie mogły się doczekać, kiedy wyruszą ze święconym.

Nagle drzwi domu z białym gankiem otworzyły się i stanęła

w nich babcia Witkowska z tacą, na której złociła się baba.

Babcia Pieczarkowska natychmiast ustawiła na tacy

salaterkę z nóżkami i położyła pasztet. Obie panie wymieniły dary, złożyły sobie życzenia i zaraz rozstały się, bo każda chciała wyprawić wnuczeta ze święconym.

Kasia plątała się po domu ubrana w najlepszą sukienkę. Była już gotowa i niecierpliwie machała pustym jeszcze koszyczkiem wyłożonym białą serwetką.

Babcia trzy razy sprawdziła uszy i ręce Tomka, pani Alina wystawiła łokieć przez okno i kazała Marysi włożyć ciepłą spódnice, a Małgosi wejść do wanny i porządnie się wykapać.

Ależ, mamó! - zawołała oburzona Małgosia. - Już się dziś kąpałam.

- Ale się potem wyperfumowałaś jak na bal. I zmyj to niebieskie z powiek. Bładym źle jest w błękicie, zwłaszcza kiedy znjadą się w szarawym mroku kościoła - zażartowała.

- I cały dom śmierdzi - zauważył Tomek.

- Nie wyrażaj się w Wielką Sobotę - powiedziała Małgosia.

Poszła się wykapać, a potem rodzeństwo siedziało na brzeżkach krzeseł czekając, aż Małgosia ochłonie po kąpieli. Mama zabrała się do gotowania kompotu, a ojciec poszedł za dom trzeć chrzan. Dziadek zagłębiony w fotelu pytał co jakiś czas:

- Feluniu, która to nasza wspólna Wielkanoc?

- Trzydziesta dziewiąta - odpowiadała babcia. - Nie pamiętasz? Pierwsza była wtedy, gdy dostaliśmy w prezencie baranka z masła i żal nam go było zjeść. Stał i stał, aż zjełczał i trzeba go było wyrzucić.

- To chyba jednak czterdziesta nasza wspólna Wielkanoc. Baranka

z masła dostaliśmy później, a czterdzieści lat temu na Wielkanoc farbowałaś jajka i ufarbowałaś je razem z całymimi białkami.

- Trzydziesta dziewiąta - powiedziała babcia.

- Może i masz rację - zgodził się dziadek.

Wreszcie babcia uznała, że Małgosia ochłoneła po kąpieli. Pani Alina włożyła do koszyczka kawałek kiełbasy, chleb, sól, ciasto i dzieci poszły. Koszyczek niosła Kasia i była bardzo dumna. Spotkali wypucowanych Wysockich niosących uroczyście koszyczek przykryty białą serwetką.

W kościele, jak co roku, Małgosia podstawiała się pod kropidło, zastanawiając się, czy przypadkiem ksiądz pokropił ją nie mniej niż innych, a po ceremonii Kasia szeptem narzekała, że wcale nie poczuła na sobie wody święconej. Tomek poprowadził ją do kropielnicy, żeby mogła zanurzyć rękę po łokieć, i tłumaczył, że to nie o nią chodziło, a o to, co leży w koszyczku.

Po południu dzieci malowały jajka. Każde po trzy. Dziadek też pomalował trzy, a potem nie wytrzymał i jedno obrał ze skorupki. Białko było pomarańczowe. Każde dziecko obrało jedno jajko. Wszystkie białka były kolorowe, ale w ten sposób kraszaniek było za mało i trzeba było farbować nowe. Te obrane ze skorupki Kasia podrobiła ptakom, a dwa żółtka dała Mniamni. Suka zjadła je szybko i pobiegła przed dom, gdzie na trawniku ucztowały ptaki. Przepędziła je i ze smakiem dojadła resztki.

W pierwszy dzień świąt dzieci znajdowały w różnych miejscach domu jajka wypełnione cukierkami. Wszyscy składali sobie życzenia, a Kasia pocałowała brzuch mamy i

zawołała:

- W przyszłym roku będzie nas więcej! O jedną dziewczynkę.

- Tak, tak - pokiwał głową dziadek. - I pomyśleć, że czterdzieści lat temu Felunia i ja spędzaliśmy naszą pierwszą wspólną Wielkanoc. O was nawet nam się jeszcze wtedy nie śniło - uśmiechnął się do wnuków. - Nawet o Alince nam się nie śniło.

- Śniło się wam - powiedziała Marysia. - Tylko nie wiedzieliście, jak będziemy wyglądać.

- Zawsze chcieliśmy mieć dużo dzieci, prawda, Feluniu?

- Prawda - przytaknęła babcia. - No i mamy. Nie dzieci, to wnuki, ale zawsze...

* * *

Na początku maja do klasy Marysi przybył nowy chłopiec. Wyglądał jak osoba utrudzona wędrówkami i rzeczywiście był utrudzony.

Zwiedził wiele szkół w różnych miastach, gdzie mieszkał u ciotek, wujków, kuzynów. W każdej miejscowości zabawił tak długo, jak długo wytrzymała z nim szkoła i rodzina. Z ostatniej nie zdążyli go wyrzucić, bo w kwietniu odebrał wnuka dziadek. Przywiózł do miasta, w którym mieszkała rodzina Pieczarkowsko_Sowińska, umieścił w klasie Marysi, a sam objął posadę szkolnego dozorca. On i jego stary pies Zadek zostali opiekunami Marcina. Dozorca musiał zmienić imię psa na Targaj, ponieważ uznano, że szkolny pies nie może nosić tak nieprzyzwoitego imienia.

Marcina posadzono w ostatniej ławce i dano mu spokój. Wiadomo było, że i tak powtórzy klasę. Wielki chłopak siedział oparty o ścianę i patrzył w bliżej nie określony punkt nad tablicą. Nawet nie zajrzał do książki,

nawet nie wziął do ręki
długopisu.

W jednej chwili stał się
sensacją. Wszystkie dziewczyny z
siódmych klas mówiły tylko o
nim, patrzyły tylko na niego.
Chłopiec nie odzywał się do
nikogo. Nikt nie znał jego
głosu. Czasami tylko chrząknął
albo odkaszlnął w sposób bardzo
obojętny.

Ponieważ nie wykazywał
najmniejszego zainteresowania
szkołą i klasą, szybko szkoła i
klasa przestały się nim
zajmować. Przyzwyczajono się do
jego milczącej obecności. Prawie
o nim zapomniano.

Prawie, bo jedna osoba w
klasie siódmej "a" nie
zapomniała. Wprost przeciwnie,
myślała coraz bardziej
intensywnie. Zmizerniała nawet i
z trudem utrzymywała się przy
swoich czwórkach.

W ostatni piątek maja rodzina
Pieczarkowsko_Sowińska zasnęła,
ale tylko trochę, bo o tej porze
roku człowiek budzi się sam z
siebie, nie czekając na budzik.
Najpierw więc do domów
urzędowych udali się spóźnieni
rodzice, a o godzinie wpół do
dziewiątej do kuchni oświetlonej
jasnym słońcem wpadła z
wrzaskiem Marysia.

- Babciu, szybko śniadanie, bo
za bardzo się spóźnię!

W pośpiechu, z kanapką w ręku,
rozczochrana popędziła do
szkoły.

- Poczekaj na mnie! - wołał
Tomek łapiąc jedną ręką
tornister, a drugą worek z
kapciami. - Poczekaj!

Marysia i Tomek pobiegli jak
szaleni, a Małgosia szcztokując
włosy zastanawiała się, dlaczego
jej siostra tak nagle pokochała
szkołę. To, że brat jest trochę
pomyłony, Małgosia wiedziała,

ale dlaczego najstarsza siostra
pcha się w objęcia matematyki,
której po pierwsze, nie lubi, a
po drugie, z której dziś właśnie
ma być klasówka.

Babcia Pieczarkowska była

trochę smutna. W zamyśleniu
pogłaskała Kasię po głowie,
spojrzała na odświeżone nakryty
stół i powiedziała:

- Właściwie to połowę z tych
rzeczy można sprzątnąć. Taki
zwykły dziś dzień.

- Babciu kochana - Małgosia
odłożyła szczotkę i podeszła do
babci. - Moja kochana babciu,
przecież my jesteśmy. No,
rozchmurz się.

Babcia uśmiechnęła się, ale
jakoś tak melancholijnie.
Ledwie, ledwie drgnęły jej
kąciki ust.

- Babciu, powiedz, dlaczego
znów zaspaliśmy? - spytała
Małgosia.

- Źle się czuliście w nocy -
odrzekła babcia wysuwając się z
objęć wnuczki. - Siadajmy do
śniadania.

- A gdzie dziadek? - tym razem
spytała Kasia.

- Jaki dziadek? - babcia
ledwie to powiedziała, a już
zerwała się od stołu i pobiegła
do pokoju dziadka. Jak zwykle
był już ubrany i gotowy do
wymarzu w stronę kuchni, ale -
jak zwykle - czekał na
zaproszenie.

Powtórzyła się rozmowa, która
ściany i meble w pokoju dziadka
znały na pamięć.

W końcu dziadek dał się
przeprosić i zjadł porządne
śniadanie. Po śniadaniu wyszedł
przed dom, na leżak, a babcia i
dwie wnuczki zabrały się do
sprzątania dużego pokoju.

- Wiesz, babciu - Małgosia
chciała zrobić babci
przyjemność. - Zawsze w ostatni

piątek miesiąca czuję się jakoś tak odświeżenie.

- Naprawdę!? - zawołała babcia.

W jej głosie była wyraźna radość. Zaraz jednak dodała normalnym tonem:

- Być może dlatego, że jutro sobota, wolny dzień. Kiedy byłam małą dziewczynką, najbardziej

lubiłam sobotnie popołudnia, bo nazajutrz nie trzeba było iść do szkoły. Wtedy jeszcze chodziło się do szkoły w soboty. Popołudniami w domu pachniało ciastem, pastą do podłogi, lepszym obiadem, sprzątaniami...

- To tak jak u nas - uśmiechnęła się Kasia. - Pachnie sprzątaniami, lepszym obiadem, ciastem też, bo w każdy piątek babcia Witkowska piecze ciasto. O! - powęszyła. - Już chyba pachnie. Czujecie?

Małgosia i bacia pociągnęły nosami. Od strony okna, za którym zaczynał się ogród rodziny Wysocko_Witkowskiej, pachniało pieczonym ciastem.

- To sernik - rozpoznała babcia. - Może wiedeński? Pewnie będziemy poczęstowani. Od czasu, jak pan Dzidek wyjechał z miasta, nie ma porządnego cukiernika. No, ale sprzątajmy.

Jakoś smutno im się sprzątało bez Marysi i Tomka.

Tymczasem Toemk stał przy tablicy i odpowiadał z języka polskiego. Nawet Nieźle mu szło, bo nauczycielka chcąc, żeby chłopiec poprawił dwójkę z klasówki, wyjątkowo dokładnie wytłumaczyła, o co jej chodzi.

Marysia natomiast pisała klasówkę z matematyki. Spóźniła się całą godzinę lekcyjną i jeszcze kilka minut. Odrobinę lubiła się spóźniać, bo na spóźniającego się mimo woli wszyscy patrzą. Mimo woli

patrzył również i on, siedzący w ostatniej ławce.

- Jeszcze jedno takie spóźnienie, a wezwę rodziców - zrzędziła nauczycielka. - Siadaj i psiz.

Marysia usiadła na swoim miejscu w przedostatniej ławce. Przepisała z tablicy pytania, rozwiązała wszystkie zadania i dziesięć minut przed dzwonkiem, jak na każdej klasówce w ciągu ostatnich trzech tygodni, posłała do siedzącego za nią

chłopca ściągę. Jedyłą odpowiedzią był szelest dartej z wściekłością kartki.

"O Boże - pomyślała Marysia. - jak on wszystkiego nienawidzi. Ale dlaczego?"

Zrobiło jej się przykro i wstyd jednocześnie. Każda ściąga kończyła się w jednakowy sposób - drobne jak pył kawałeczki papieru lądowały na przerwie w koszu.

Marysia zmizerniała i posmutniała jeszcze bardziej. Prawie wcale nie odzywała się. Miało się wrażenie, że kiedy je, to nawet nie wie, co je, i nie wiadomo, czy w ogóle wie, że je.

Wszyscy domownicy zauważyli, że z Marysią dzieje się coś dziwnego. Jej zachowanie położono na karb przeładowanego programu szkolnego.

- Duszę z dziecka wycisną - skomentował dziadek.

Małgosia obserwowała siostrę w czasie szkolnych przerw. Marysia nie wiedziała, że przez cały czas śledzą ją oczy młodszej siostry.

Pewnego dnia Małgosia zobaczyła, że siostra stoi przed szkołą razem ze swoją przyjaciółką Izą. Było już późno, wszyscy dawno poszli do domów, a one stoją i gawędzą z dozorczą szkolnym, starym

dziadkiem, którego prawdę mówiąc Małgosia dopiero teraz w ogóle zauważyła. Rozmawiają wesoło. Dziadek pali papierosa, klepie psa, coś opowiada, a Marysia i Iza słuchają. Razem tworzą śliczną grupkę - starość, młodość i pies. Jak na plakacie. Małgosia już miała do nich podejść i posłuchać, o czym tak rozmawiają, gdy w bocznych drzwiach szkoły zjawił się Marcin.

Są takie chwile, w których wszystko staje się jasne, nagle odkryte, bez rozmyślań, dociekań. Małgosia jednym okiem rzuciła na Marcina, drugim na

siostrę i już wiedziała. Nie musiałyby nawet kart rozkładać, żeby wiedzieć, że najstarsza siostra jest mocno zainteresowana stojącym w drzwiach chłopakiem.

Zaczęła iść w stronę rozgadanej grupki, nie tracąc z oczu bocznych drzwi szkoły. Za ledwie zrobiła parę kroków, a wszystko poplątało się. Jasny obraz sytuacji znikł.

Z muru otaczającego szkołę wyskoczył czarny kot zwany Uczonym. Kot mieszkał w wyrwie w murze, sypiał na worku z kapciami, na którym wyszyty był napis "Małgorzata S. kl. Va". Worek ten podłożyła kotu Kasia, kiedy raz przyszła po Małgosię do szkoły. I zobaczyła kocisko leżące na gołych ceglach. Uczony był kotem szkolnym, żywionym wędliną z kanapek i resztkami ze szkolnej stołówki. Raz dziennie przystawał w bramie i ocierając się o metalowe pręciki furtki, mruczał głośno mrużąc ślepie. Zawsze został zauważony. Jak zaczarowane otwierały się teczki, tornistry i kot zaczynał śniadanie. Zaczynał je już przed lekcjami, a kończył po południu,

po lekcjach. Wtedy udawał się do stołówki. Uczony był miły i łagodny, ale bardzo źle zniósł pojawienie się Targaja.

Obserwował go ze swojej kryjówki i kłął po kociemu wydając syki, plując i parskając.

Od dłuższej chwili miauczał, chcąc zwrócić na siebie uwagę osób rozmawiających na środku podwórka. Pragnął, żeby któraś dziewczynka wzięła go na ręce i zniosła do stołówki, gdzie właśnie zabierano się do zmywania po obiedzie. Uczony miauczał, miauczał, ale bez rezultatu. Kiedy otworzyło się stołówkowe okno i jeden ze znajomych głosów zawołał: "Kici, kici", kot nie wytrzymał. Nie bacząc na psa, puścił się pędem w kierunku okna.

Targaj, chociaż był psem starym i ledwie powłóczącym nogami, węch miał dobry. Ożywił się gwałtownie i zapominając o zreumatyzowanym zadku, ruszył w pogoń. Szczekał przy tym zajadle jak wiejski kundel na widok kota.

Właśnie wtedy Małgosia przestała myśleć o siostrze i chłopcu, a jej pamięć odgrzebała obraz sprzed kilku lat.

Otóż Małgosia, w czasach kiedy urodziła się Kasia i trzeba było zacisnąć pasa, znalazła małego kotka. Rodzinie oznajmiła, że kot jest bezpański i ona chce go mieć. Kociak został.

Zaprzyjaźnił się z Mniamnią, stał się ufny wobec wszystkich psów i ta ufność go zgubiła. Któregoś dnia wyszedł na ulicę i już nie wrócił. Mała Małgosia usłyszała psi wrzask, a kiedy wybiegła przed furtkę, zobaczyła najpierw ogon znikającego za rogiem psa, a potem leżącego w krzakach kociaka. Dotknęła go palcem i zemdląła. Kiedy

otworzyła oczy, leżała na kanapie w dużym pokoju, a zatroskana rodzina pochylała się nad nią.

- Przyniesiemy ci nowego kotka - powiedziała mama.

Małgosia nie chciała nowego kotka. Wyzywającym głosem oświadczyła rodzinie, że jej kot poszedł do nieba i tam się kiedyś z nią spotka.

Od tamtej chwili minęło sześć lat, Małgosia zapomniała o całej sprawie, ale ilekroć widziała psa goniącego kota, powracało to, co czuła, kiedy dotknęła zagryzionego kociaka.

- Zabierz tego ohydneho kundla! - wrzasnęła usiłując zabiec psu drogę. - Zabierz, bo mu coś zrobię!

Słowa te były skierowane do Marcina.

Targaj już, już miał dopaść kota. Uczony zdążył jednak wskoczyć na parapet. Pies

kłapnął zębami, ot tak, dla formy i opadł na cztery łapy, i utykając, powolutku, jakby nic się nie stało, wracał do gospodarza.

Małgosia szalała. Podrygiwała, machała rękami i wrzeszczała:

- Zabierz go stąd! Precz ze wstrętnym, wściekłym kundlem!

- On by mu nic nie zrobił - uspokajał dziadek dozorca. - On tylko tak sobie goni koty. Jeszcze nigdy żadnego nie zagryzł. Goni je, bo pies.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wołała Małgosia. - Ten ohydny kundys gonił Uczonego!

Na próżno dozorca tłumaczył, na próżno sam pies merdał ogonem, Małgosia miotała się wymyślając psu od idiotów, kretynów i sadystów. W końcu nazwała Zadka starym zreumatyzowanym dziadem i przyłożyła mu workiem z

kapciami.

Tego nie wytrzymali ani dziadek, ani wnuk.

- No, smarkata - obruszył się dozorca. - Przebrałaś miarę. Jazda do domu, bo chwycę za ucho i poprowadzę do dyrektora. - Przegoń ją, dziadku! - wołał chłopiec. - Uderzyła naszego psa!

Wykrzyczawszy to zniknął w bocznych drzwiach szkoły, jakby zawstydzony tym, że w ogóle zabrał głos.

- Nie będziesz tu mi ubliżała - powtarzał dozorca.

- Ona nie panu ubliżała - Marysia próbowała załagodzić sytuację. - Moja siostra wołała do psa.

Iza próbowała wyjaśnić dozorczy, skąd nagle przerażenie Małgosi, ale dozorca nie słuchał.

- Zabierajcie się wszystkie - bo chwycę za ucho - powtarzał.

Marysia i Iza uspokoiły Małgosię, przeprosiły dozorcę i wyszły na ulicę. Małgosia miała zapłakane oczy, umorusaną twarz

i czkawkę.

- Wariatka - wymyślała jej Marysia. - Wariatka.

- Daj jej spokój - łagodziła Iza. - Zdenerwowała się.

Małgosia odetchnęła parę razy, odpłynął zły obraz. Wydmuchała nos i przyjrzała się siostrze.

- Ty się chyba zakochałaś nie tylko w tym chłopaku, ale i w jego dziadku, i w tym kundlu też.

- Wariatka - powiedziała Marysia i zaczerwieniła się po korzonki włosów.

Małgosia nie była daleka od prawdy. Jej siostra bowiem, nie mogąc dotrzeć do Marcina, zabiegała o względy jego dziadka i jego psa.

Incydent na podwórku szkolnym

bardzo ją przygnębił. Uznała, że
teraz jest bez szans,
zapamiętana na zawsze jako
siostra wariatki. Marysia czuła,
że jest beznadziejnie zakochana.
Za kilka słów, jeden krótki
spacer, oddałaby pół życia,
które teraz nazywała nędznym.
Jak zawsze, kiedy było jej
smutno, wyciągnęła kartkę,
długopis i napisała wiersz.

"A kiedy będziesz umierał,@
to ja umrę z tobą@ i pomyślę:
jak to pięknie umierać obok..."@

Wiersz najpierw ją zachwyił,
a potem tak bardzo zasmucił, że
rozplakała się. Wyobrażała
sobie, że naprawdę umrze. Marcin
nigdy się nie dowie, co ona
czuła. Nawet mu do głowy nie
przyjdzie, że może warto było z
nią porozmawiać. Bardziej niż
sama śmierć przerażało ją, że
będzie zapomniana, jakby jej
nigdy nie było. Płakała cicho aż
do momentu, w którym wyobraziła
sobie czarną tabliczkę "Maria
Sowińska, lat czternaście" i
dyrektora szkoły wygłaszającego
mowę na jej cześć. Potem
rozplakała się, jak nie
przymierzając Mniamnia, kiedy

jej było smutno.

Krażąca jak cień po całym domu
Małgosia wypatrywała okazji,
żeby pojednać się z siostrą.
Małgosia po każdym swoim
gwałtownym wystąpieniu przez
jakiś czas starała się być
łagodna, delikatna, ustępliwa.

Marysia nie zjawiała się w
kuchni, nie wyszła do ogrodu,
gdzie na ławce siedziały rodziny
Pieczarkowsko_Sowińska i
Wysocko_Witkowska rozmawiając
wesoło. Ponieważ Marysia nie
zjawiała się, Małgosia poszła do
niej.

Już pod drzwiami usłyszała

szloch, a kiedy weszła do środka, ujrzała starszą siostrę zwiniętą w kłębek na tapczanie.

- I czego wyjesz? - zapytała łagodnie. - Mów, przecież mogę coś doradzić. Nie chciałam ci zaszkodzić. Jeżeli chcesz, możesz się do mnie nie przyznawać. Poza tym taki stary dziadek i tak nie zapamięta. Albo jak chcesz, to jutro pójdę i powiem, że wcale nie jestem twoją siostrą. Powiem, że przyznałaś się do mnie ot tak sobie. Chcesz?

Nie było odpowiedzi.

- Nie przejmuj się - powiedziała Małgosia siadając obok Marysi. - On chyba jest stuknięty, jeżeli mu się nie podobasz.

Odpowiedzią był jeszcze głośniejszy szloch i wymamrotane zdanie:

- Jemu nikt się nie podoba. Nikt i nic. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak okropnie wszystkiego nie lubił.

- Wiemy, że lubi psa - oświadczyła Małgosia. - I wiemy to dzięki mnie. Poza tym on się musi przyzwycząić. Niedawno przyjechał. A tak naprawdę, to co ty w nim widzisz? - zadumała się. Chłopaczyna z piątej "c" szczyrzył zęby w miłym uśmiechu. - No tak - westchnęła Małgosia, ale ja nie zakochuję się na

smutno. Gdybym miała być taka smutna, wolałabym nigdy się nie zakochać.

- Małgosia, przeczytaj ten wiersz - dotarło do niej. - Moim zdaniem jest strasznie smuu... - Marysia rozplakała się chyba po raz siódmy.

Małgosia uważnie czytała wiersz. Jako podkład muzyczny służyły westchnienia i pochlipywanie. Wiersz bardzo jej się spodobał, też ją zasmucił,

ale nie aż tak bardzo. Przyszło jej do głowy, że powinien mieć optymistyczne zakończenie.

Spojrzała w lustro wiszące po drugiej stronie pokoju. Zobaczyła własną twarz, którą nazywała twarzą konkretną, pozbawioną wszystkiego, co romantyczne. Widok drobnej, czujnej twarzy podpowiedział Małgosi słowa zmieniające odrobinę wymowę wiersza. Żal jej było smutku, jaki się nad nim unosił. A niechby pozostało coś takiego, jak na przykład para kochanków pogrzebanych pod podłogą piwnicy albo w najdalszym kącie ogrodu. Żal jej było zmieniać wiersz, ale jeszcze bardziej żal jej było siostry.

- Marysiu, tu można dopisać kilka zdań i wiersz nie będzie taki smutny. Chcesz?

- Chcę - zgodziła się Marysia.
- Ty wiesz, że ja mam do ciebie zaufanie.

- Tu można dopisać tak: "A potem otworzę oczy i zobaczę, jak ty swoje otwierasz, i zapytam: to ty już tu czekasz? No, jasne, od wczoraj". Co ty na to?

Marysia pomyślała chwilkę i wstała z tapczanu.

- Podyktuj - poprosiła.

Małgosia podytkowała.

- Bardzo ładne - przyznała Marysia. - I od biedy nawiązuje do reinkarnacji.

- A co to takiego?

- Przechodzenie dusz. Człowiek

umiera, a jego dusza przechodzi na kogoś zupełnie innego. Nazwę ten wiersz "Reinkarnacja".

Marysia napisała tytuł i schowała wiersz do szuflady.

Młodsza siostra zatoneła w myślach. Fakt, że ona, osoba urodzona w Święto Zmarłych, przyczyniła się do powstania

wiersza "Reinkarnacja", dawał jej do myślenia. Czyżby mimo braku urody była jakąś osobą niezwykłą? Czowała teraz zapach palących się świeczek i zapach tui.

Małgorzatko, jak myślisz, czy on się wreszcie do mnie odezwie?

- Marysia objęła siostrę i przybliżyła twarz do jej twarzy.

- Bardzo cię Kocham - powiedziała.

- Wiem - odparła Małgosia. - On się do ciebie odezwie. Jestem pewna. Ja ciebie też Kocham.

Przytuliła się do siostry i przez chwilę siedziały w ciszy.

- Pomyśl - szepnęła Marysia - są tacy ludzie, którzy nie mają sióstr.

- No - zgodziła się Małgosia. - Albo jak je nawet mają, to się z nimi nie przyjaźnią. Siedzi gdzieś może teraz jakaś dziewczyna, płacze i nie ma takiej siostry, jaką ty masz. Mam w szkole koleżanki, ale wcale się tak z nimi nie przyjaźnię, bo mam ciebie i Kasię. Wy jesteście mi najbliższe.

- Wy mnie też - powiedziała Marysia.

- A Tomek?

- Tomek też jest nam najbliższy. Tylko czasami okropnie dziwny. Nie rozumiem go. Ostatnio mu trochę dokuczałam. Ty wiesz, że on musi odkupić piłkę jakiemuś chłopakowi z klasy? Przebił ją i teraz musi odkupić albo oddać forszę.

- Nic nie wiedziałam! - zawołała Marysia. - Boże słodki, a skąd on weźmie pieniądze?

Przecież każdy grosz, jaki dostanie... natychmiast wydaje na głupoty. Poczekaj - zajrzała do szuflady. - Mam trzysta złotych. Zbierałam na pasek do

tej nowej sukienki w kratkę.

- Ja też mam trochę forsy, ale nie ruszę wszystkich - Małgosia wsunęła rękę do czerwonej portmonetki i zaszeleściła banknotami. - Dajmy mu część, a resztę niech sam dozbiera.

- Siostry udały się na poszukiwanie brata. Zastały go w mysim pokoiku. Siedział na łóżku i obgryzał paznokcie.

- Gdzie doborowe towarzyszo? - zapytała Małgosia. - Mam na myśli tych z naprzeciwka.

- Poszli na chwilę do ogrodu, zaraz przyjdą - odrzekł. - A wy tu czego?

Siedział nastroszony jak kurczak. Ostrzyżone przez ojca włosy sterczały centymetr nad czaszką. Był spięty. Kiedy Marysia wyciągnęła rękę, cofnął się.

- My w dobrych zamiarach - powiedziała Małgosia. - My z gotówką. Trzeba było mówić, że masz kłopoty, dostałbyś wcześniej.

Położyły pieniądze i poszły. Tomek szybko je schował. Za chwilę mieli przyjść Ania i Piotrek i Tomek nie chciał, żeby zobaczyli pieniądze. Nagadał okropnie na swoje starsze siostry i teraz było mu głupio. Nagadał na nie, bo wydawały mu się jakieś obce, niezdolne go zrozumieć. A one tak się ładnie zachowały. "Chyba nigdy nie zrozumieć kobiet - zafrasował się. - Tak się ciągle zmieniają. Są raz dobre, raz złe. Zgubić się w tym można".

Tomek nawet się nie domyślał, że nagły przypływ rodzinnej czułości wywołał inny, starszy chłopiec, który nie potrafił uzewnętrznić swoich uczuć.

* * *

Czerwiec przyniósł jeszcze

piękniejszą, prawdziwie letnią

pogodę. Ulica, przy której
mieszkała rodzina
Pieczarkowsko_Sowińska, była
boczną uliczką miasteczka
kończącą się w polu. To, co
męczące zimą, wiatry polne
wpadające prosto do domu, błoto
po kostki, latem stawało się
przyjemnością albo w ogóle
przystawało istnieć. Mieszkańcy
uliczki mieli wrażenie, że bez
przenoszenia się spędzają lato
na wsi.

Wraz z czerwcem na łeb na
szyję wyciągano z dwój i trój
wszystkich tych, którzy
rokowali nadzieję na poprawę w
następnej klasie. Dawano szansę
za szansą, pytano, podciągano,
przyomykano oczy...

Dziadziuś Pieczarkowski
spoglądał na swoje wnuki okiem
lekarskim i okiem dziadkowym.
Zarówno jedno oko jak i drugie
mówiło mu, że wnuki są niemal
dręczone, doprowadzane do stanu
wyczerpania nerwowego, zwłaszcza
najstarsza wnuczka, która tak
się przejmowała każdą klasówką,
że wprost patrzeć nie można
było. Zaciskała rączki, ocierała
oczy, szarpała końce pięknych
jasnych włosów, schudła,
znędzniała, zamilkła.

- Doprowadzą dziecko do
szaleństwa - zżymał się
dziadek. - Marysienko, masz
dobre stopnie, nie przejmuj się
tak.

- Złego słowa ci nie powiemy,
nawet jeżeli trafi się jakaś
trójeczka - uzupełniała babcia.

- Masz tu, rybeńko, trochę
truskawek. Marysiu, mówimy do
ciebie - szturchała wnuczkę.

- Słucham? - atłasowy głos
dobył się z zaciśniętego gardła.
- Dziękuję, nie jestem głodna.

- Daj jej sztucznych witamin -
zalecił dziadek. - Żeby te
biedactwa przeżyły zakończenie
roku, należy je wzmocnić.

- Bez przesady - wmieszał się
ojciec. - I tak uczą się na pół

gwizdka. Nie wydaje mi się, żeby były aż tak osłabione.

Zatroskana pani Alina patrzyła kolejno na wszystkie dzieci. Nie wydawały jej się szczególnie wycieńczone czy zdenerwowane. Wiadomo było, że przejdą do następnych klas. Tomusiowi, chwała Bogu, włosy trochę odrosły i nie wygląda już tak żałośnie. Małgosia nigdy nie miała rumieńców, ale buzia jej zaokrągliła się, poweselała. Kasia kwitnie, bo przecież całe dni spędza w ogródku pod okiem babci. Tylko Marysia rzeczywiście trochę się zmieniła, ale może dlatego, że za rok kończy szkołę podstawową i może już teraz martwi się, czy z samymi czwórkami dostanie się do szkoły średniej. Dziecko, które miało przyjsć na świat za osiem tygodni, poruszyło się. Pani Alina zmieniła pozycję, przerzuciła ciężar ciała z lewej strony na prawą i dalej przyglądała się dzieciom. "To szaleństwo w dzisiejszych czasach mieć tyle dzieci - pomyślała. - Pięcioro dzieci w trzydziestym piątym roku życia". Przeżegnała się w duchu. Jakoś się wychowają. Pani Alina była jedynaczką i zawsze chciała mieć dużo rodzeństwa. Niektórzy ludzie pragną dalekich podróży, pięknego samochodu, a nie będąc w stanie tego osiągnąć, przekazują swoje pragnienia dzieciom. Ich dzieci osiągają to, o czym marzyli rodzice.

- Marysiu - powiedziała matka łagodnie i pogłaskała córkę. - Nie masz czym się tak przejmować. W przyszłym roku zadbasz o jeszcze lepsze stopnie.

- Słucham? - zapytała Marysia.
- Tak, oczywiście.

- Jak to biedactwo myśli o szkole - rozczuliła się babcia.

Babcia nie była daleka od prawdy. Marysia rzeczywiście myślała o szkole. Konkretnie o

bocznych drzwiach szkoły, gdzie

codziennie po lekcjach można było zobaczyć Marcina. Stał wypełniając sobą całą otwartą połowę drzwi. Z dużej odległości trudno było się domyślić, czy patrzy na Marysię, czy tak sobie patrzy.

Z przyzwyczajenia, niemal odruchowo, na każdej klasówce posyłała mu ściągę, wiedząc, jaki będzie jej los. Na ostatniej, bardzo trudnej, od której zależał stopień na świadectwie, Marysia nie posłała ściagi. Nie dlatego, że chciała ukarać chłopaka. Po prostu zrezygnowała. Napisała zadania, rozwiązała je i siedziała wpatrzona w ławkę. Na dziesięć minut przed dzwonkiem ktoś dotknął jej ramienia.

- Będę pisał - rozległ się zatrwożony głos.

Marysia była pewna, że się przesłyszała, chociaż słowa wypowiedziane zostały wyraźnie.

- Będę pisał - zaszeptał tuż za nią miły głos.

Marysia jedną ręką przytrzymała serce, drugą wrywała z zeszytu kartkę, trzecią pisała, a czwartą osłaniała pulpit ławki przed oczami nauczycielki. Napisała wszystkie zadania i podała chłopcu kartkę.

- Dzięki - usłyszała.

Wtedy poczuła, że świat zmienia się na lepsze. Zmieniał się z sekundy na sekundę, nie zaniedbując żadnego drobiazgu.

W czasie przerwy jeszcze raz usłyszała "dzięki" wsparte uśmiechem. Odpowiedziała "nie ma za co" i też się uśmiechnęła.

Potem ze sobą nie rozmawiali, ale po lekcjach chłopiec czekał na Marysię przy szkolnej bramie.

Następnego dnia w pokoju nauczycielskim zapanowało

poruszenie. Nauczycielka matematyki położyła na stole dwie prace klasowe. Dwie identyczne prace, w których popełniono te same drobne błędy.

- Po raz pierwszy w życiu cieszę się, że mój uczeń ścigał - powiedziała nauczycielka. - Już myślałam, że mała Sowińska trzusi się daremnie.

Inne nauczycielki przypomniały sobie, że na ich lekcjach mała Sowińska również się trzusi i jak dotąd bezowocnie.

- Może i na mojej lekcji ten wielkolud wreszcie zwróci uwagę na otaczający go świat, zamiast gapić się w jeden punkt? - zastanowiła się nauczycielka języka polskiego.

I zarządziła mały sprawdzian z gramatyki, chociaż wcześniej planowała wypracowanie. Doszła jednak do wniosku, że wypracowanie trudno byłoby ścignąć w ciągu trzydziestu minut.

W czasie sprawdzianu mała Sowińska gimnastykowała się z wydartą z zeszytu karteczką, z zapisaniem tej karteczki w sposób niedostrzegalny dla nauczyciela i z podaniem jej do tyłu, również w sposób niezauważalny. Potem młodzieniec w ostatniej ławce mozolił się nad przepisaniem treści kartki do zeszytu.

- No i popatrzcie - w pokoju nauczycielskim na stole leżały obok siebie dwie identyczne prace. - Szkoda, że i tak zostanie na drugi rok - westchnęła nauczycielka języka polskiego.

- Ale wreszcie się odezwał - powiedziała nauczycielka matematyki. - To sukces. Trzeba powiedzieć jego dziadkowi. Ucieszy się staruszek.

Nim zdążyły powiedzieć

dziadkowi o tym, że wnuk
zauważył szkołę, sam dziadek
dozorca zjawił się w pokoju
nauczycielskim. Wszedł nieśmiało
mnąc czapkę. Za nim pchał się
Zadek, drugi opiekun Marcina.

- On się dziś do mnie odezwał
- dziadek był wzruszony. -
Pierwszy raz, od kiedy mieszka

ze mną, coś powiedział, bo tak
to przez cały czas milczał. Raz
na podwórku zawołał, żeby
przepędzić jedną dziewczynkę,
która oderzyła naszego psa, a
dziś odezwał się specjalnie do
mnie.

Nauczycielki spojrzały na
siebie. Chciały wiedzieć, co
chłopiec miał do powiedzenia
swojemu dziadkowi.

- On powiedział: "Dziadku, a
czy pies był w tym roku
szczepiony?" - zacytował
dziadek. - Myślę, że teraz już
będzie dobrze.

Nauczycielki pogratulowały
staruszkowi i opowiedziały o
małej Sowińskiej. Pokazały mu
prace klasowe wnuka.

- A która to dziewczynka tak
rozgadała mojego wnuczka?

- Ta, na którą on po lekcjach
czeka przy bramie - powiedziała
nauczycielka języka polskiego. -
To właśnie jest mała Sowińska.

Dziadek podziękował i szybko
wyszedł przed szkołę, bo właśnie
kończyły się lekcje i chciał
zobaczyć niezwykłą dziewczynkę.
Jego zdaniem musiała być to
nieprzeciętna osoba, bo na
wnuczku połamało sobie zęby
kilku psychologów i jedna pani
psycholog.

Wnuk już czekał, stał oparty o
słupki bramy. Przy sąsiednim słupku
wił się we wdzięcznych dygach Uczony.
Targaj mocno wciągnął powietrze i
przymknął oczy badając, skąd napływa
zapach kota.

- Leżeć, kundlu jeden -

dozorca zgromił psa. - Leżeć przy nodze. Nie mam teraz czasu dla ciebie.

Z głównego wejścia szkoły wyszły dwie panienki. Jedna mniejsza, ze sterczącymi włosami, druga większa, z jasnymi, długimi lokami. Obydwie wolno przeszły przez podwórko i zatrzymały się przy bramie. Mniejsza zajęła się kotem, a większa przystanęła obok wnuka. Po chwili oboje

ruszyli w kierunku głównej ulicy miasteczka. Dziadek dozorca rozpoznał obydwie panienki. Z miejsca im wybaczył. Teraz mogły sobie nazywać psa, jak im się żywnie podobało. Psu nic nie będzie, a dziecko dało głos.

- Leżeć - powtarzał do psa. - Leżeć, dziadu jeden.

Z rozczuleniem obserwował chudą dziewczyninę głaszczącą kocura i drapiącą go pod bródką. Właściwie to wnuk po raz pierwszy odezwał się dzięki niej. Dziadek przyglądał się scenie i nagle postanowił uczynić coś dla dziewczynki.

Od tego dnia osobiście nosił Uczonego do szkolnej stołówki. Obok dreptał Targaj z postawionymi uszami.

- Nie bój się - uspokajał go dziadek. - To, że ci pozwoliłem zmienić imię, nie znaczy, że zamienię cię na starego kocura.

* * *

W rodzinie Pieczarkowsko_Sowińskiej zakończenie roku szkolnego świętowano umiarkowanie, jak to w domu, w którym dzieci miały przeciętne świadectwa.

Leżały na stole według starszeństwa. Najpierw Marysi - od góry do dołu czwórki.

- Bardzo dobrze - pochwalili rodzice.

- Nie bardzo dobrze, tylko

dobrze - sprostowała Małgosia.

Kiedy oglądali jej świadectwo, denerwowała się i w duchu mówiła zaczepnie: "no co, no co".

- Cztery trójki - policzyła mama. - Mogłoby ich nie być.

- I zamiast poprawnego z zachowania, mogłoby być wzorowe - uzupełnił ojciec.

- To jest niemożliwe - wyznała Małgosia kładąc rękę na sercu. - Przy takich wymaganiach jak w naszej szkole jest to nie do osiągnięcia.

- Ale inni osiągają - powiedział ojciec. - Na przykład Ania i Piotruś. Widziałem ich

świadectwa. Ani jednej trójki i z zachowania wzorowe.

- Jak ktoś urodził się wzorowy, to taki już pozostanie - odrzekła Małgosia z wściekłością. - Pozostanie wzorowy i nudny. A ja nie.

- Widzę właśnie, że nie - przyznał ojciec i szybko dodał: - Zamykamy sprawę Małgosi. - Zamyślił się spoglądając na świadectwo syna. - Cztery trójki. Mogłoby ich nie być.

Tomek nie odzywał się. On też wolałby nie mieć trójek, ale skoro są, to trudno. Przecież się ich nie wymaże. Lepiej zapomnieć. - Nie ma na was pani Krysi - westchnął tęsknie ojciec.

Kasia zapytała, czy już można podać coś do picia, i zaczęła ustawiać na stole szklaneczki.

- Dziś babcia i ja kupiłyśmy "Ptysia" i "Pepsi" - powiedziała radośnie. - Mineralna dobra jest po wywiadówce, ale nie w taki dzień jak dziś.

Dziadkowie spoglądali na wnuki z dumą. Ot i przedostały się skarby do następnych klas, a program taki trudny. To, że inne dzieci przedostały się do następnych klas z lepszymi

ocenami, nie frustrowało dziadków. Patrzyli z przyjemnością na usteczka wnucząt zanurzające się w musującym płynie, patrzyli na pulsujące od przełykania szyjki i radość wyczierała im z oczu.

- No, to teraz prezenciki - zarządziła babcia.

- Jakie prezenciki? - zapytał ojciec. - Za co? Marysi tak, ale Tomkowi? Małgosi? Za co?

- Jak to: za co? - dziadek aż wychylił się z fotela. - Tak zgrabnie przeszły dzieci z klasy do klasy, a ty pytasz, za co? Mogły przecież nie zdać. My mamy dla nich prezenciki. Nic kosztownego, bo musimy zaciskać pasa, ale jednak mamy - zakończył z dumą.

Gulgotanie "Ptysia" i "Pepsi" umilkło, bo do kuchni wkroczyła babcia z paczuszkami.

- To dla Marysi - podała wnuczce zawiniątko, starannie zapakowane i przewiązane wstążeczką.

W środku był czerwony pasek ze skórki, w sam raz do nowej sukienki, i wisiołek_jabłuszko.

- Srebrny - szepnęła Marysia przytulając wisiołek do ust.

Małgosia wysforowała się przed brata. Babcia podała jej zawiniątko, w którym były dwie szczotki do włosów i lusterko. Małgosia natychmiast odeszła na bok i zaczęła szczotkować włosy. Pięćdziesiąt pociągnięć do tyłu i pięćdziesiąt do przodu.

Tomek dostał piłkę nożną.

- Tylko daleko od okien - pouczyła go babcia.

- A ja? - upomniała się Kasia ocierając ręce o sukienkę. - Czy dlatego, że nie chodzę jeszcze do szkoły, nie dostanę prezentu? Gdybym chodziła, też przesłabym do następnej klasy.

- Ależ kochanie - babcia

wzruszyła się. - Jak moglibyśmy
w to wątpić.

Podala Kasi paczkę, w której
była lalka w niebieskich
majtkach i niebieskiej sukience.

- Moja kochana Dama Kier -
szepnęła Kasia przytulając
lalkę. - Moja córeczka.

Mniamnia widząc, że coś się dzieje,
ktoś coś dostaje, postawiła uszy i
zapiszczała.

- Jej też niech mama coś
podaruje - pan Sowiński
parsknął. - Dobrze jadła, dobrze
spała, ładnie szczekała i
warczała.

Babcia powiedziała ojcu, że
jest nieprzyjemny, a tata
odpowiedział, że po prostu nie
podobają mu się świadectwa
dwojga młodszych dzieci i gdyby
to od niego zależało, nie
dostałyby nic, nawet lizaka,
nawet jednego ciastka.

- Masz tu, Mniamnia - babcia

otworzyła lodówkę i dała psu
parówkę. - Zjedz za nasze
zdrowie.

- A jak pytałem wczoraj, czy
są parówki, to mi powiedziano,
że nie ma - oburzył się dziadek.

- A tu proszę, pies żre.

- Wcale nie prosiłeś, Kajtusi.

- Ale miałem ochotę zjeść i
może przez grzeczność i wzgląd
na dzieci nie upomniałem się.
Jestem jednak pewien, że było po
mnie widać, jak bardzo mi
się chce parówki.

- Nie kłóćmy się! - zawołała
babcia. - U nas ciągle są
kłótnie. Jutro kupię kilogram
parówek i wszystkie ci podaruję
- rozeźliła się na dziadka. -
Boże drogi, zięc się czepia,
mąż się czepia. Dobrze, że
Alinka cicho siedzi.

- Przywykłam - roześmiała się
pani Alina. - Poza tym bardzo
lubię patrzeć na was i słuchać,
jak się tak trochę sprzeczacie.

Chodźmy do ogrodu.

Poszli do ogrodu na herbatę i ciastka. Mimo wszystko jednak w rodzinie

Pieczarkowsko_Sowińskiej świętowano zakończenie roku szkolnego. Rodzice w ciągu kilku godzin przywykli do trójek na świadectwach. W miarę, jak czas mijał, byli coraz bardziej zadowoleni, a głównie dlatego, że przez dwa miesiące można będzie nie martwić się, jaki stopień które dziecko przyniesie ze szkoły. Przyszli w odwiedziny państwo Wysoccy z panią Witkowską, Anią, Piotrusiem i Kruczkiem i wszyscy razem cieszyli się.

Marysia włożyła nową sukienkę, przepasała ją nowym paskiem, a na szyi powiesiła nowy wisiorek i usiadła z boczku, z dala od zgiełku rodzinno_sąsiedzkiego. Przed jej oczami ciągnęła się droga, ginąca za domem sąsiadów. Droga kończyła się w bramie szkolnego boiska, a tam stał on. Myślała,

jak smutno musi być teraz w szkolnej przybudówce. Marcin nie zdał do następnej klasy. Jego dziadek i on sam byli na to przygotowani, ale kto wie, czy do ostatniej chwili nie czekali na jakiś cud? Dzieci poszły do domów, całe boisko i gmach szkoły są teraz ciche, smutne. "A może on myśli, że ja o nim zapomniałam?"

Marysia cichutko wysmyknęła się z ogródka na ulicę i pobiegła prosto przed siebie. Lekki wiatr poruszał jej nową sukienką, a kiedy ujrzała stojącego w bramie chłopca, sukienka zafalowała gwałtownie, bo Marysia ruszyła galopem.

Ukochany z całą pewnością pochwyliłby ją w utrudzone ramiona, ale zawstydzził się, bo

za Marysią biegły jej dwie młodsze siostry, a on miał piętnaście lat i jeszcze nigdy nie trzymał w ramionach dziewczyny.

Marysia pewnie sama z siebie rzuciłaby mu się na szyję, ale dostrzegła dziadka Marcina. Miała czternaście lat i jeszcze nigdy nie obejmowała chłopca.

Dwie młodsze siostry pobiegły trochę innym kursem. Skręciły w bok, gdzie w wyrwie w murze siedział Uczony. Był zrezygnowany, worek_materac przekrzywił się i nie miał go kto poprawić. Przed kotem stała miska mlecznej zupy z kuchni dziadka. Kot spozierał na zupę i nie rozumiał, dlaczego tak źle go traktują. Nie uczynił niczego złego, nic się przecież nie zmieniło, a przed nim w misce stoi jakieś ohydztwo. Ożywił się na widok dwóch dziewczynek. Nie niosły wprawdzie tornistrów z kanapkami, ale tak ciepło wołały "kici, kici", jakby chciały go wziąć na ręce i zanieść do szkolnej stołówki. Kot odpowiedział rozziewającym, pełnym skargi miauczeniem.

- Tfu - splunęła Kasia. - Zupa

mleczna. Ten nowy pan dozorca pewnie nie wie, że Uczony jada tylko mięso.

Wylała zawartość miseczki w krzaki i obydwie z siostrą zaczęły karmić kota parówkami, ukrytymi wcześniej w lodówce, w szufladzie na jarzyny. Małgosia i Kasia uważały bowiem, że człowiek i kot tym się między innymi różnią, że człowiek zje ziemniaki i jeszcze je pochwali, a kot musiałby umierać z głodu, żeby tknąć kartofel, zwłaszcza kot o podniebieniu Uczonego.

- I co będzie? - zafrasowała się Małgosia. - Nie zerkaj na Maryskę, bo ją peszysz.

- Ja tylko chciałam zobaczyć,
jak ten chłopak wygląda -
usprawiedliwiała się Kasia. -
Ładny, bardzo ładny. A może
powiedzieć panu dozorczy, że
Uczony nie jada zup mlecznych?

- Pan dozorca sam pewnie jada
mleczne zupy na śniadanie -
odrzekła przytomnie Małgosia. -
I jego wnuk też. Zupy mleczne są
zdrowe. Ale kot, biedaczek, nie
rozumie, skąd nagle na szkolnym
boisku pies, nie rozumie,
dlaczego tak nagle skończyło się
dobre jedzenie. Niczego
biedaczek nie rozumie -
powtarzała w zamyśleniu
głaszcząc rozmruczanego kota i
ukradkiem obserwując siostrę. -
I ja też nie rozumiem, jak można
zakochać się w takim nieuku.
Cztery trójce czterema trójkami,
ale poniżej pewnego poziomu się
nie schodzi.

* * *

A jednak pan Sowiński nie
wytrzymał i kupił swoim dzieciom
prezenty. Za ledwie zaczęły się
wakacje, przyjechał z pracy na
rowerze. Zajechał przed ganek i
zadzwoił.

- Chyba listonosz z emeryturą
- ucieszył się dziadek.

- Przecież trzy dni temu był -
babcia ocierając ręce o fartuch
poszła otworzyć. - Chciałbyś
dostawać co trzy dni emeryturę?

Babcia i dziadek byli trochę
skłócenii. Otóż przed miesiącem
babcia postawiła dziadkowi
kabałę, z której wynikało, że
czekają go kłopoty finansowe.
Dziadek jeszcze głębiej ukrył
swoje oszczędności i oznajmił,
że ma zamiar stawić czoło tym
kłopotom. Nie minęły trzy dni, a
przyszło pismo pomawiające
dziadka o bezprawne pobieranie
emerytury. Komputer doszedł do
wniosku, że pan Kajetan
Pieczarkowski nie osiągnął

jeszcze wieku emerytalnego i niezwłocznie powinien rozpocząć pracę. Dziadek obejrzał swoją pracę. Dziadek obejrzał swoją metrykę, obejrzał wszystkie świadectwa pracy, przy okazji powspominał podróże z walizeczką, zebrał do koperty wszystkie potrzebne papierki, włożył wyjściowy garnitur i pojechał do miasta wojewódzkiego na rozmowę z komputerem. Rzecz szybko się wyjaśniła, ale nim dziadkowi zaczęto wypłacać niesłusznie wstrzymaną emeryturę, minął miesiąc. Dziadek uparcie nie chciał tego nazwać kłopotami finansowymi, ale babcia, nie mniej uparta niż dziadek, powtarzała: "Wstrzymanie stałego dopływu gotówki można nazwać kłopotami finansowymi".

Dziadek Pieczarkowski miał wrażenie, że babcia odczuwa satysfakcję, i troszkę się obraził. Zawołał, że raz na zawsze nie życzy sobie żadnej kabały, nie życzy sobie rozmów o snach, i w ogóle nie życzy sobie wprowadzania do domu elementów parapsychologicznych. Babcia nie stawiała więc dziadkowi kabały otwarcie. Czyniła to zaocznie, w tajemnicy. W ten sposób i dziadek był zadowolony, i ona miała wgląd w sprawy domowników.

Nim pan Sowiński przyjechał z pracy na rowerze, babcia miała sen. Otóż śnił jej się zięć liczący talary. Liczył, liczył, a co policzył, to się pomylił.

Układał je w równe stosiki, a kiedy już ułożył, oglądał ze wszystkich stron chodząc dookoła talarów w kucki. Babcia zajrzała do sennika i już wiedziała, że sen o liczeniu talarów oznacza duże wydatki. Wiadomo więc było, że zięć wyda pieniądze, i to duże pieniądze. A ponieważ następnej nocy śniła jej się

bomba, babcia wiedziała, że pan Sowiński wyda pieniądze na jakąś niespodziankę.

Wybiegła więc przed dom tylko po to, żeby sprawdzić, jak ładnie spełniają się jej sny.

- A chciałbym dostawać emeryturę choćby i co dzień! - zawołał wyzywająco dziadek.

Jak to miał w zwyczaju, poszedł za babcią. Obydwoje ujrzeni siedzącego na rowerze, zadowolonego zięcia.

- Ot i sprawdził się mój sen - powiedziała babcia.

- Zaszalałem! - zawołał radośnie zięć. - Zamiast przynieść do domu pieniądze i najpierw policzyć, na co ile wydać, wstąpiłem do sklepu i kupiłem dzieciakom prezenty.

Starszy pan zszedł po schodkach i zaczął oglądać rower.

- Niebrzydki. Drogi?

- Drogi - powiedział ojciec. - Jak to rower. Będzie dla Tomka. Małgosi kupiłem deskorolkę, Kasi wrotki, a Marysi kiw_kiw.

Wszystkie prezenty przytroczone były do bagażnika roweru. Ojciec zdjął je i ustawił na ganku.

Babcia popchnęła stopą deskorolkę. Deskorolka zjechała na łeb na szyję. Traciła wrotki - potoczyły się niebezpiecznie. Traciła nogą kiw_kiw - zatańczyło jak nienormalne.

- Dzieci pozabijasz - wyraziła swoją dezaprobatę dla prezentów.

- Trzeba im było kupić coś bezpieczniejszego.

- Najlepiej gumowe łyżki - mruknął ojciec. - Nasze dzieci są nie usportowione. Dziś

dostałem różne wyrównania, nagrodę, premię i mogłem im coś kupić.

Dziadek wgramolił się na rower, mimo że babcia energicznie protestowała.

- Popchnij mnie - poprosił zięcia. - I proszę cię, Feluniu, nie zwracaj mi głowy swoimi snami.

Pan Sowiński pchnął rower i dziadzius ruszył. Objechał trawnik dookoła, a stojąca po drugiej stronie żywopłotu babcia Witkowska zawołała, że gdyby jej Stasio był, to też jeździłby na rowerze.

Dziadkowi bardzo dobrze szło, ale w pewnej chwili zachciało mu się okrażyć dom. Dawno nie jeździł na rowerze i jedyne, co mu maciło przyjemność, to natrętny głos żony.

- Kajtusi, Kajtusi! - wołała. - Złaż z tego roweru! Przecież śniło mi się...

Babcia nie powiedziała, co jej się śniło, bo dziadek źle wziął zakręt i przewrócił się na kwiatki rosnące pod oknem pokoju Tomka. Zamortyzowały upadek tak, że starszy pan nie poczuł uderzenia.

- Poczciwe roślinki - szepnął zbierając się ostrożnie, żeby nie pognieść kwiatków. - Ładne, ale trochę dziwne. Czy to ty, Feluniu, posadziłaś te kwiatki?

- A co ty mi głowę zwracasz! - zawołała zdenerwowana. - Czy nic ci się nie stało? Nie uwierzysz, co mi się śniło. Śniło mi się - zaczęła szybko, bo dziadek gestem ręki wyraził zniecierpliwienie. - Śniło mi się, że spadłeś z roweru.

- Z jakiego roweru?

- Z tego właśnie.

- Jak mogło ci się śnić, że spadłem z tego właśnie roweru, jeżeli Jasio kupił go godzinę temu.

- Ale ja poznaję - upierała się babcia. - Tak, to był ten właśnie rower. Spadłeś i

podniosłeś się. Tak, jak to było przed chwileczką. Jednak to się

sprawdza, mój drogi.

Wtedy dziadek zagotował się w środku, porwał rower i niemal zaniósł przed ganek.

Akurat nadeszły dzieci z matką. Kiedy zobaczyły prezenty, oniemiały. Więc jednak. Jak co roku ojciec złościł się, złościł, a potem kupił swoim dzieciom prezenty.

- Cudownie jest mieć takich niekonsekwentnych rodziców! - zawołała Marysia. - Człowiek nie wie, co go czeka.

Małgosia obejrzała rower i zdziwiła się, dlaczego to nie damka.

- Nie trzeba było kupować męskiego. No, ale trudno. Domyślam się, że innych nie było. Niech więc będzie męski. Na takim też mogę jeździć.

Tomek wpatrywał się w rower z niepewnym uśmiechem. Serce biło mu mocno. Czuł, że rower jest dla niego. Tata pewnie miał pieniądze tylko na jeden i kupił go synowi. Za wszystkie majtki w kwiatki, za ażurowe skarpetki, za bluzki zapinane na damską stronę, za szlafrok w króliczki, za wszystkie chwile, w których mógł zwątpić, że jest chłopcem.

- Tatusiu - szepnął. - Mamusiu - stęknął.

- Małgosiu, ten rower jest dla Tomka - usłyszała Małgosia.

- Jak to: dla Tomka? - nie zrozumiała. - A gdzie dla mnie?

- Tobie i Marysi kupimy jeden wspólny rower za jakiś czas. Teraz nie wystarczyło pieniędzy.

Dziadek widząc, że buzia wnuczki robi się ze złości chuda jak stara pietruszka, zawołał:

- Z mojej renty kupię ci rower!

Małgosia bez słowa oddała bratu rower. Obejrzała wrotki, deskorolkę, kiw_kiw i zasępiła się jeszcze bardziej.

- Prawie wszyscy mają rowery - powiedziała wolno. - Ci z naprzeciwka mają dwa rowery na

dwie osoby. Tylko my nie... -
umilkła, ale po chwili na jej
twarz wypłynął tajemniczy
uśmiech. Schyliła się i
poszeptała coś do Kasi.

- Dobrze - kiwnęła głową Kasia
i na jej buzi pojawił się taki
sam uśmieszek. - Za chwilę
przyjdziemy - powiedziała. - Za
jakieś piętnaście albo
dwadzieścia minut.

Kiedy pobiegły w stronę
furtki, mama powiedziała, że
Małgosia jest niekonsekwentna
jak marcowa pogoda.

- Ale lubię to u niej -
uśmiechnęła się. - No i jak,
synku, zadowolony jesteś?

Nie usłyszał pytania, ponieważ
nie był zadowolony. Był
szczęśliwy. Wsiadł na rower,
zadzwoił i wołając "do
zobaczenia", odjechał.

- A ty, Marysiu? - tata objął
najstarszą córkę.

- A czy to dobrze robi na
talię? - zainteresowała się
dziewczynka włączając na kiw_kiw.
Tata ją przytrzymał i Marysia
zaczęła poruszać stopami.
Kiw_kiw poddawało się.

- Czuję, że schudnę! - wołała
zadowolona.

Dokładnie dwadzieścia minut
później wróciły Małgosia z
Kasią. Chichotały,
poszturchiwały się. Rodzina
oczekiwała niespodzianki, bo
wcześniejsze zachowanie
dziewczynek i odgłosy z
korytarzyka świadczyły, że
dziewczynki coś szykują.
Mniamna postawiła uszy i
zaczęła węszyć. Otworzyły się
drzwi i weszły Małgosia z Kasią
niosąc wielkie pudło z dziurkami
do oddychania. Postawiły je na
stole i nie przestając się
poszturchiwać i chichotać
otworzyły. Mniamna wspięła się
na łapki i stanęła pyszczkiem w
pyszczyk z Uczonym. Uczony
wysadził głowę z pudełka, ale
kiedy zobaczył psa, schował ją
z powrotem.

- Skoro nie mogę mieć roweru, to niech chociaż mam kota - oznajmiła Małgosia. - Nie ma tak dobrze.

- Ja też nie mam roweru i nigdy nie miałam. Niech więc mam kota. Jest darmowy, bo bezpieczny. Pół kota jest moje, a pół jej.

- A co będzie, jak się pokłócicie? - zażartowała mama.

- Wtedy ja wezmę całego kota, bo młodszemu się ustępuje - odpowiedziała rezolutnie Kasia.

- Zamiast nosić mu resztecзки pod szkołę, będziemy mu je dawały tu.

Mimo dość serdecznego powitania, Uczony bał się wyjść z pudełka. Spłoszył go widok Mniamni. Zaklął, splunął, a suka zaszczekała.

- Ona cię tylko przeszuka - perswadowała Małgosia wywlekając niechętnego kocura z pudełka. - Ona ci przejrzy futerko, obwącha i zostawi w spokoju. Nawet nie wiesz, jaka ona jest pocziwa.

Uczony nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Pchał się gwałtem do pudełka, więc dziewczynki musiały go przytrzymać. W czasie przeszukiwania kot nie wytrzymał. Nerwy i pęcherz odmówiły mu posłuszeństwa i zsiusiał się na sukienki Małgosi i Kasi.

- To nic, to nic - zapewniały obydwie czując, jak na kolanach robi im się ciepło. - To czysty kotek. Zaraz się przebierzemy i upierzemy sukienki. Nam to naprawdę nie przeszkadza.

Wreszcie skończyły się oględziny nowo przybyłego i nowo przybyły natychmiast się uspokoił.

- Niebrzydki kotek - pochwalił kocura dziadek. - Pójdę po moją walizkę. Trzeba mu wyczyścić

uszy, przemyć oczy, no i odpchlić.

- Po prostu Małgosia przywlokła nam do domu czarna

zarazę - zażartował ojciec.

Dziadek poszedł po walizeczkę, a kiedy wrócił, Uczony rzucił się do niego z pełnym skargi wołaniem. Ocierał się przy tym o framugę drzwi i mruzczał tak głośno, jakby chciał się zamruczeć na śmierć.

- No dobrze, już dobrze - przemawiał dziadek. - Jaki mądry kot. Wie, że chcę mu pomóc, i tak mi na zapas dziękuje. No dobrze, już dobrze, nie drzyj się tak.

- Dziadku - zaczęła się śmiać Małgosia - on chce, żebyś otworzył walizeczkę i dał mu wędlinę z kanapki.

Ponieważ dziadek nie rozumiał, o co chodzi, wnuczki wytłumaczyły mu. Opowiedziana przez Małgosię historia była bardzo rzewna i całkowicie zmyślona. Mówiła o kocie, który zwiedził wiele szkół, ale nigdzie nie mógł zagrzać miejsca.

- No i wylądował w naszej - zakończyła. - A teraz są wakacje, stłówa zamknięta i on nie miał co jeść.

- Każdy chce mieć swój własny ką - powiedziała babcia. - Człowiek chce, a co dopiero bezrozumne stworzenie. Bardzo dobrze zrobiliście, żeście go przyniosły.

Rodzina chciała zobaczyć, jak Uczony domaga się otwierania tornistra albo teczki i wyjmowania kanapek. Babcia przygotowała każdemu kanapkę z wędliną i każdy kolejno wychodził z kuchni trzymając w garści walizeczkę dziadka. Uczony stał przy framudze, skręcał czarne ciało w zawijasy

i miauczał. Każdy przyklękał,
wyjmował z dziadkowej walizeczki
kanapkę, otwierał ją, a kot
ostrożnie, żeby nie uszkodzić
bułki lub chleba, zjadał
wędlinę. Bawiono się przez całe
popołudnie, ale najdłużej bawili
się dziadek i ojciec.

- A gdyby tak, dajmy na to, z
żółtym serkiem - mówili. - A
gdyby tak, dajmy na to, z białym
serkiem albo i dżemem?

Uczony obwąchiwał żółty ser,
obwąchał również biały, nawet na
dżem rzucił okiem, ale
poczęstować się nie chciał.
Wreszcie nażarty do ostatnich
granic zwinął się w kłębek na
wyplatany fotelu babci i
zasnął.

Uczonemu ustawiono pudełko w
korytarzu, ale posiedział w nim
tylko kilka sekund. Wolał być w
kuchni.

Wieczorem, kiedy cała rodzina
oglądała telewizję, wrócili
Marysia i Tomek. Zapalili w
kuchni światło i na spotkanie
wybiegli im Mniamnia i Uczony.

- Wiedziałem, wiedziałem, że
go przyniosą - roześmiał się
Tomek. - Ale nie pomyślały
biedaczki o myszach. Przecież on
je wytępi.

- Nie wytępi, nie wytępi -
parsknęła Małgosia. - Będiesz
pilnował, żeby mysi pokoik
zawsze był zamknięty.

- Uczony zaprzyjaźnił się z
Mniamnią. Sypiał u jej boku. Nie
interesował się myszami,
ponieważ wyznawał zasadę - żyj
sam i daj pożyć innym. Jeżeli
poczęstowano go kanapką, zjadał
wędlinę, a resztę oddawał suce.
Wyznawał bowiem również zasadę -
jedz sam i daj pojeść innym.

* * *

Tomek wiele razy myślał, że
gdyby nie pani Krysia, nigdy nie
zamieszkałby w mysim pokoiku.

Nie dowiedziałyby się, jaki to praktyczny pokój. Do myszy przyzwyczaił się. Nawet je lubił. Jeżeli któraś przebiegała mu drogę, zatrzymywał się i dawał jej pierwszeństwo. W kącie pokoju on albo Kasia sypali okruchy i rozkładali skórki sera. Z okna widział okno pokoju Ani i Piotrusia. Umówili się, że każdego wieczora będą gasili światło o tej samej

porze. Doszli do takiej perfekcji, że bez porozumienia naciskali kontakt w tym samym momencie.

Latem Tomek odkrył dodatkową zaletę mysiego pokoju. Można było przez okno wyjść do ogrodu. Pokój dalej zamykany był na łyżkę, ale latem nie stanowiło to problemu. Tomek budził się o świcie i wyskakiwał prosto do ogródka. Mógł teraz chodzić na ranne samotne spacerki.

W czasie wakacji babcia dawała wnukom więcej swobody, a jeżeli nawet nie dawała, brały ją same. Tomek lubił wędrować za miasto, na łąki. Wcześniej rano wszystko było pokryte rosą, a ziemia tak pachniała, że aż mu ślina do ust napływała, jakby miał ochotę na porządny czarny kęs. A kiedy dostał rower, poczuł się, jakby tata powiedział: "Proszę bardzo, możesz jeździć daleko. Nic ci się nie stanie". Jeździł więc z przyjaciółmi. Ich wyprawy były coraz odważniejsze. Docierali nawet do lasu położonego siedem kilometrów za miastem. Zabierali jedzenie i jechali, a babcia nie miała nic do powiedzenia.

W czasie jednej z rowerowych wędrówek Tomek, Ania i Piotruś pojechali na jarmark do sąsiedniej wsi. Wracali zadowoleni, na ramach rowerów wisiały sznurki obwarzanków, a na palcu Ani migotał pierścienek z

niebieskim oczkiem. Takie same pierścionki wiozł Tomek dla swoich sióstr.

Droga ze wsi prowadziła obok szkoły. Zatrzymali się na moment. Wszystkie okna były zamknięte i lśniły jak benzyna rozlana na asfalcie. Tylko okienko przybudówki było otwarte. Siedzieli w nim dziadek z wnuczkami i coś jedli.

- Ale mi się jeść chce - powiedziała Ania. - Burczy mi w brzuchu. Jedźmy.

Chłopcy też byli głodni. Ruszyli więc w stronę domu.

W czasie wakacji obydwie rodziny miały w zwyczaju jadać w ogródkach. Częstoowano się przez płot różnymi przysmakami, mówiono "smacznego" i po obiedzie dziękowano za towarzystwo.

Tomek, Ania i Piotrek trafili na taki moment. Mama Piotrka niosła na widelcu kawałek mięsa do spróbowania mamie Tomka, która już czekała przy żywopłocie. Pochwaliła głośno kęs i zapytała, czy sąsiedzi nie zechcieliby spróbować surówki. Sąsiedzi chcieli i nad żywopłotem przepłynęła posażna salaterka babci Pieczarkowskiej, malowana w holenderskie wiatraki.

Między jednym a drugim domem biegały Mniamna, Kruczek i Uczony. Uczony odprowadzał wrzaskiem każdy kęs, który jego nowi państwo wynosili za płot i wrzaskiem witał każdy kawałek, który zjawiał się od tamtej strony.

Właśnie kiedy babcia Pieczarkowska powiedziała: "ten kocur potrafi zjeść tyle, ile waży", Tomek pomyślał o dwóch osobach siedzących samotnie w wielkim gmaszysku szkoły. Przypominali mu drewnianą

zabawkę - dwa niedźwiadki
rąbiące drzewo. Jeżeli sznurek
pociągnęło się w prawo,
drewnianą siekierką uderzał
niedźwiadek z lewej strony, a
jeżeli pociągnęło się w lewo,
spadała siekierka drugiego
niedźwiadka. Tak samo poruszali
łyżkami czy też widelcami
dziadek i wnuk.

- Idę do domu - powiedział
Tomek do przyjaciół. - Spotkamy
się po obiedzie.

Myśl o mieszkańcach szkoły nie
dawała mu spokoju. Tak mu to
weszło w nawyk, że ilekroć
babcia wołała na posiłek, Tomek
widział ruchomy obraz w oknie
szkoły. Czuł przy tym niepokój,
jakby bezprawnie zagarnął dla

siebie coś lepszego. Myślał,
myślał i nic z tego nie wynikało
- tylko dwa obrazki obok siebie.
Jeden malutki, w okiennej ramie,
drugi wielki, żywy jak jego
własny dom.

To, czego Tomek nie potrafił
powiązać, powiązały znakomicie
jego młodsze siostry.

Zaczęła zupełnie przypadkowo
Kasia.

Jako osoba praktyczna pobiegła
pod szkołę po worek z kapciami,
który służył kiedyś Uczonemu za
materac. Worek leżał na swoim
miejscu. Kasia wytrzepała worek
o szkolny mur, zajrzała do
środku i machając nim
maszerowała w stronę domu. W
bramie stał dziadek dozoerca i
palił papierosa. Obok niego
siedział Zadek i drapał się.

- A myśmy już Uczonemu pchły
wytępilli - poinformowała Kasia
dozorcę. - Dzień dobry -
dodała. - Dziadek wytępił, bo
mój dziadek był lekarzem i
walczył z epidemiami.

- Jakiemu uczonemu? - zapytał
dozorca.

- Tak się nazywa ten kotek,

którego moja siostra i ja
zabrałyśmy do domu na wakacje,
ale on już pewnie u nas
zostanie, bo bardzo się nam
wszystkim podoba. I Małgosi, i
Marysi, i Tomkowi, i babci, i
dziadkowi, i mamie, i tacie, i
babci Witkowskiej też, bo
powiedziała, że chce takiego
samego.

- Cieszę się - odrzekł
dozorca przyjaźnie. - A ty
chodzisz do tej szkoły?

- Ja dopiero za rok pójdę -
pochwaliła się Kasia.

- Mój wnuk tu chodzi - dziadek
dozorca uśmiechnął się z dumą. -
I pewnie już ją skończy.

- Wiem - kiwnęła głową Kasia.
- Ja jestem siostrą tej grubej
dziewczynki, która zakochała się
w pana wnuczku. Najpierw bez
wzajemności, a potem z
wzajemnością. Małgosia mi

mówiła.

Dozorca spojrział na
dziewczynkę z sympatią.
Przyjemnie było pogadać z taką
małą, przyjacielską osobą, i w
dodatku siostrą tej dzielnej
dziewczynki, która rozgadała
wnuka.

- Twoje siostry to skarby - wyraził
uznanie. - Ty też pewnie jesteś
skarbem - dodał. - Powiedz to ode mnie
rodzicom.

- Dobrze! - zawołała Kasia. -
Do widzenia!

Przybiegła do domu i zaraz
opowiedziała wszystko Małgosi.
Małgosia wysłuchiwała, przygryzła
dolną wargę, przygryzła górną i
odezwała się:

- Ich trzeba zaprosić. Niech
ten staruszek powie rodzicom, że
my wszystkie trzy jesteśmy
skarbami. Nie zaszkodzi, jeśli i
dziadkowie usłyszą. Ale nie
wypada, żebyśmy tak same o sobie
dobrze mówiły. To nie byłoby to.

Z domu doleciało skwierczenie

mięsa na patelni i zapach zupy jarzynowej. I jedno, i drugie wpłynęło rozjaśniająco na umysł Małgorzatki.

- Ty - szturchnęła siostrę - przecież szkolna stołówka zamknięta.

- Zamknięta - przyznała Kasia.

- No, to gdzie oni jedzą? Mam na myśli tego nieuka i jego dziadka.

- Pewnie sami gotują.

- I pewnie jajka pod różnymi postaciami. Pamiętasz, jak babcia i dziadek pojechali do sanatorium? Mama się wtedy rozchorowała i obiady gotował tata. Co jedliśmy?

- Chyba jajka pod różnymi postaciami. Na miękko, na twardo, jajecznice, sadzone... - wyliczała Kasia.

- I zupy mleczne - odpowiedziała Małgosia. - Babciu! - ryknęła w stronę kuchni. - Jutro na obiad przychodzi do nas chłopak Maryński z dziadkiem! A swoją

drogą ta Marysia jest głupia. Nawet nie pomyśli, co jej Marcin jada.

- I co je jego dziadek.

Obydwie dziewczynki poszły do kuchni, gdzie zastały zupełnie oszołomionych dziadków.

- Czy ja się przesłyszałem? - zapytał dziadek.

- Małgosiu, dziecko drogie - zaczęła łagodnie babcia. - Albo nie. Kasiu, dziecko drogie - zwróciła się do najmłodszej wnuczki chytrze uważając, że z młodszego dziecka więcej wydobędzie. - O czym mówiła twoja siostra?

- Ona mówiła, że jutro przyjdą do nas na obiad narzeczony Marysi i jego dziadek. Im nie ma kto gotować, babciu.

Małgosia oparła się o framugę drzwi. Nic jej nie obchodziło,

co babcia i dziadek mają na ten temat do powiedzenia. Oczami wyobraźni widziała dwie osoby napychające się przy jej rodzinnym stole.

- Albo nie - zdecydowała. - Oni przyjdą dziś. Idę ich zaprosić.

- Małgosiu! - zawołała babcia z rozpaczą, ale Małgosia już wybiegła. - Kajtusi - błagała dziadka. - Zatrzymaj ją!

- Dlaczego? - zdziwił się dziadek. - Chętnie obejrzę narzeczonego naszej małoletniej wnuczki. Tak to właśnie Alinka i Jasio wychowują swoje dzieci. Przecież dziewczyna ma dopiero czternaście lat! Właśnie o wilku mowa!

Weszła Marysia i zapytała o obiad. Wyglądała tak ładnie, że babcia aż przełknęła ślinę ze wzruszenia.

- Obiad będzie za trzy kwadranse - powiedziała jednak surowym tżonem. - Teraz możesz zjeść jabłko. I proszę mi powiedzieć, o jakim to narzeczonym mówią twoje siostry.

Marysia, która już zdażyła odgryźć olbrzymi kęs jabłka,

wypluła go na dłoń, bo uniemożliwiał mówienie.

- Ja nie mama żadnego narzeczonego - powiedziała ze zdumieniem. - Narzeczonego mówiło się w czasach babci i dziadka. To po prostu Marcin, mój chłopak - odpowiedziała Marysia z prostotą. - Chodzę z nim na spacerki i do kina.

- A ile on ma lat? - badał dziadek.

- Piętnaście albo szesnaście.

- Taka mała różnica wieku i już mówi się o nim narzeczonego?

- To nie jest żaden narzeczonego! - cierpliwość Marysi wyczerpała się. - To mój chłopak!

- Jak go zwał, tak go zwał.
Chodzi o fakt - nie dawał się
dziadek.

Chwilę panowało milczenie.
Mniamna postękiwała przez sen.
Uczony próbował dobrać się do
kubła na śmieci i okropnie
hałasował w szafce pod
zlewozmywakiem.

- Marysiu - głos babci pełen
był urazy. - Dlaczego nic mi o
tym nie powiedziałaś? Babci
rodzonej nie powiedziałaś.

Marysia milczała.

- Nie wiem - odszepnęła w
końcu. - Może dlatego, że nie
byłam pewna, czy on mnie polubi.
Na początku nawet rozmawiać ze
mną nie chciał.

- Jezus Maria! - babcia
położyła rękę na ustach. - Chyba
nie narzucałaś mu się? To byłoby
okropne.

- Nie, babciu, nie! -
wmieszała się Kasia. - Ona mu
tylko ściągi słała. On na
początku nie chciał...

- Cicho, smarkata - przerwała
Marysia. - Jesteście okropni -
powiedziała. - Gdybym przyszła i
tylko napomknęła coś o jakimś
chłopaku, zaraz byście mnie za
język ciągnęli, a tego nikt nie
lubi.

I wyszła z kuchni. Słysząc
było, jak wyciera nos, coś mówi

i biegnie po schodach.

- Rzeczywiście chyba byśmy ją
ciągnęli - przyznała się babcia.
- Pójdę do niej, bo się na
śmierć zapłacze.

Dziadek wyjrzał przez okno,
włożył okulary, wyjrzał jeszcze
raz i ogłosił:

- Nigdzie nie pójdziesz,
Felicjo. Małgosia prowadzi
jakiegoś dziadygę i jakiegoś
smarkacza. Bierz się za obiad.

- Kasiu, dziecko kochane,
dolej do zupy trochę wody -
powiedziała słabym głosem

babcia.

Kasia nabrała kuberk wody i chlusnęła do garnka.

Małgosia prowadziła gości po schodkach, zapowiadając pyszną zupę jarzynową, mięso, ogórki, kompocik. Babcia i dziadek słyszeli, jak wnuczka wiedzie gości przez korytarz.

Ustawili się obok siebie.

- To jest właśnie Marcin - przedstawiła gości Małgosia. - A ten pan, to dziadek Marcina. Zadek niestety musiał zostać w domu, bo on nie lubi Uczzonego.

- Bardzo się cieszymy - zaczął godnie dziadek. - Wiele o panach słyszeliśmy i ogromnie nam miło. Pieczarkowski jestem. A to moja żona Felicja Pieczarkowska.

- Nadzwyczaj mi przyjemnie - uśmiechnęła się babcia do gościa. Ten ucałował ją w rękę. To samo uczynił wnuk, a potem pomylił się i omal nie pocałował w rękę dziadka.

- No nie, młody człowieku. Aż taki stary to ja nie jestem - dziadek wyszarpnął dłoń. - Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje.

- No, to ja nie tak dawno byłem stary - uśmiechnął się młody człowiek.

* * *

Zupa wyszła cienka, ale podano ją w posażnej wazie babci Pieczarkowskiej. Dziadek Marcina łakomie spoglądał na talerz. Wreszcie przysunął go i uchwycił

łyżkę.

- Ale zapach - westchnął przymykając oczy.

- Dziadku - mruknął wnuk.

- A cóż ty mnie, dziecko, tak poskramiasz? - zdziwił się dziadek. - Pani gospodyni przyjemnie, kiedy chwalę obiad, prawda? - zwrócił się do babci.

- Oczywiście - kiwnęła głową.

- Może jeszcze pozwoli pan

trochę zupki?

Dziadek podstawił talerz. Zjadł trzy porcje czyniąc obrazowe porównania między zupą stołówkową a domową. Za każdym razem kiedy prosił o dolewkę, wnuk szeptał: "Dziadku".

- A cóż ty mi uwagę zwracasz? - ofuknął go staruszek. - Pani gospodyni przyjemnie, kiedy gościowi smakuje. A może ty się dziadka wstydzisz?

- Dziadku - powiedział wnuk z rozpaczą.

Marysia zaczerwieniła się. Pilnie popatrywała na rodzeństwo, chcąc się dowiedzieć, jak przyjmują jej chłopca.

Z miny Kasi trudno było cokolwiek wyczytać. Jadła spoglądając na Marcxina z zaciekawieniem dziecka. Brat starał się wydłużyć swoją niedużą postać. Prostował się, wyciągał szyję. Wszystkie te zabiegi mogły świadczyć tylko o tym, że chłopak siostry podoba mu się, przynajmniej zewnątrz. Średnia siostra natomiast zachowywała się, jakby chciała gości nakarmić na zapas. Popychała w ich stronę półmisek z ziemniakami, półmisek z mięsem i salaterkę z surówką. Wyraz twarzy miała jednak podejrzany.

Babcia krzątała się między kuchnią a stołem. Marysia starała się jej pomóc, ale jednocześnie chciała siedzieć przy stole, żeby obserwować rodzeństwo. Stanowczo nie podobała jej się mina Małgosi. Wpijała oczy w gości, a

zwłaszcza w młodszego. Marysia dobrze znała swoją siostrę. Bała się, że za chwilę Małgosia z czymś wystrzeli.

- Powiedz mi, Marcin - wystrzeliła Małgosia. - Jak to jest możliwe, żeby zostać na

drugi rok?

- A powiedz, jak to jest możliwe, żeby mieć aż cztery tróje? - Zawołała piskliwym głosem Marysia. - Nie mieszaj się do nie swoich spraw.

- To pan, młody człowieku, postanowił powtórzyć klasę? - zainteresowała się dziadek Pieczarkowski. - Ciekawe. A cóż ty mnie, Felicjo, dźgasz widelcem w nogę? - zaprotestował, wyciągając spod stołu rękę babci uzbrojoną w widelec z drewnianą rączką.

- Czy człowiek stary jak ja nie może wiedzieć, dlaczego pan Marcin postanowił spędzić w tej samej klasie jeszcze jeden rok?

- Tak jakoś wyszło - mruknął Marcin czerwieniejąc.

- Ja opowiem - dziadek otarł usta. - Ja opowiem, bo on tak wszystkiego nie potrafi powiązać.

Marysia wbiła oczy w stół. Ona sama nie wiedziała jeszcze, dlaczego Marcin tak często zmieniał szkoły, i bardzo się bała, że za chwilę usłyszy historię rasowego nieuka, którego wyrzucano ze szkół. O takich mówi się spadochroniarz. Według niej określenie to było pogardliwe.

Umilkły łyżki, widelce i noże, bo dziadek Marcina wygodniej rozsiadł się na krześle, zastanawiając się, w jaki sposób wszystko opowiedzieć, żeby wypadło przekonywająco. Według niego bowiem Marcin był człowiekiem, któremu najwyraźniej nie szło w życiu.

Wnuk zrobił się czerwony i oczami błagał o milczenie.

Pięć lat temu jego mama pojechała do Francji... No i

wtedy on najpierw wylądował u jednych krewnych, potem u drugich. A jak lądował u

trzecich, to nie bardzo go
chcieli przyjąć do szkoły, bo
jego świadectwo...

Marysia pomyślała, że ten proszony
obiad staje Marcinowi kością w
gardle. Wolałby siedzieć w swojej
przybudówce i jeść suche
ziemniaki,
byleby nie słuchać płaczliwego głosu
dziadka. Staruszek bowiem tak się
wzruszył, że w jego niebieskich oczach
zabłyły łzy. Marysia poczuła, że
natychmiast trzeba coś zrobić. Coś, co
przerwie opowieść. Ona dowie się
wszystkiego od Marcina, ale on jej to
powie wtedy, kiedy sam będzie chciał.

- Ja zaraz coś pokażę! -
zerwała się od stołu, nie
wiedząc, co chce pokazać.
Machnęła niechcący ręką i
przewróciła dzbanek z kompotem.
- No, to już nam pokazałaś. -
Babcia przy pomocy dziadka
zawijała brzeg obrusa, żeby
kompot nie ciekł na podłogę.

Marysi zbierało się na płacz.
Zdjęła ze stołu pusty dzbanek,
otarła ręką nos i oczami
poszukała pomocy u dziadków.

Dziadek Pieczarkowski
spokojnie przełknął kęs mięsa,
nabił na widelec następny i
zwrócił się do wnuczki:
- Nie życzę sobie takiego
zachowania przy stole. Jakieś
wstawanie, wymachiwanie rękami.
Jeżeli skończyłaś jeść, to
bardzo proszę, wyjdź z kuchni i
daj nam dokończyć obiadu. A pan,
młody człowieku, może dotrzymać
towarzystwa mojej wnuczce.

Marcin pospiesznie wstał z
stołu, podziękował i wybiegł z
kuchni.

- Jego świadectwem można było,
za przeproszeniem, panie
nauczycielki wyprawić na tamten
świat. Ono było jak oczy
Bazyliszka - podjął dziadek
Marcina.

Opowiadał tak obrazowo, że
dzieci znieruchomiały. Prawie

widziały straszliwe świadectwo, na widok którego nauczyciele mra jak muchy. Prawie słyszały złowieszczy chichot świadectwa.

- Bazyliszkowi pokazano lusterko - rozległ się przejęty głos Kasi. - Pokazali mu i zdechł.

- Może jego mama tu wróci - bąknął Tomek.

- Rok temu napisała, że jako tako ułożyła sobie życie i nie zabierze syna, bo jeszcze nie może.

Gość wpadł w amok. Wymyślał ojcu Marcina, który już dawno opuścił rodzinę, swojej córce, wszystkim rodzicom, którzy nie dbają o dzieci.

- Ja bym im pokazała! - Małgosia zerwała się z krzesła. - Ja bym im pokazała! - zamachała rękami i przewróciła dzbanek z herbatą, którą babcia podała zamiast kompotu.

Babcia w milczeniu zdjęła mokry obrus i położyła ceratę. Przecież nie wypowiedzieli się jeszcze Tomek i Kasia. Wszystko mogło się zdarzyć.

- Tak też dobrze - pochwalił gość poklepując ceratę, żeby się ładniej ułożyła na brzegach stołu. Już spokojnie kończył opowieść: - No i jak on się dowiedział, że mama go nie zabierze, to przestał się w ogóle odzywać! Nawet do mnie, swojego dziadka. Ale zanim przestał, powiedział, że ma wszystko w... że ma wszystko gdzieś - opamiętał się, bo babcia Pieczarkowska syknęła jak gąsior. - I czasami jest tak, że człowiek obraża się na cały świat, bo pod ręką nie ma tego, kto zawinił - dokończył nie zbity z tropu.

Po chwili gość podziękował za zaproszenie, pożegnał się i przepaszając za wszystko, a głównie za zasmucenie, poszedł.

Kasia zebrała resztki ze stołu i dała Mniamni i Uczonemu, a Tomek wymknął się do swojego

pokoju. Usiadł na łóżku i czekał, aż to dziwne uczucie, które go ogarnęło, przejdzie. Mijało wolno podtykając Tomkowi pod nos różne obrazki, na których jego mama jechała w świat szukać lepszego życia. Próbowano mu pokazać obrazek bez taty, ale nic z tego nie wyszło. "Nie mieć rodziców, nie mieć sióstr. No to co mieć?"

Babcia i dziadek krążyli po domu, jakby nie wiedzieli, co ze sobą począć. Nic się właściwie nie wydarzyło, człowiek nie o takich sprawach słyszał i zapominał, ale nigdy przecież nie wiadomo, która sprawa jest właśnie tą, poruszającą najbardziej.

Dwie wnuczki kręciły się blisko dziadków. Jedna głaskała kota, a druga upychała śmieci w kubełku.

- Idźcie stąd - dziadek popatrzył na nie. - Idźcie się pobawić przed domem, bo chcę porozmawiać z babcią.

Kasia posłusznie wstała nie wypuszczając z rąk Uczzonego, ale Małgosia dalej ugniatała śmieci, zwlekając z odejściem.

- Żwawiej, Małgosiu - przypomniał dziadek.

- I tak wiem, o czym będziecie rozmawiać - wzruszyła ramionami, ale jednak poszła.

Dziadek przysunął się do babci i zaszeptał w samo ucho:

- Feluniu, czuję, że to sprawa nie dla nas. Tu trzeba rodziców. Bo widzisz, moja kochana - poskarżył się - tak naprawdę to ja nie jestem pewien, czy ona powinna już mieć chłopaka. W naszych czasach to co innego. My może byliśmy troszkę inni?

Czuję, Feluniu, że to dla mnie za duża odległość. W końcu - wyprostował się - niech Jaś i Alinka zajmą się swoim dzieckiem.

Jakoż pani Alina i pan Jan

wkrótce nadeszli. Dziadek i babcia znów odesłali na tyły domu trójkę dzieci i przekazali

sprawę rodzicom.

Babcia nalewała zupę, a dziadek kroił zięciowi mięso na talerzu, żeby ten nie tracił czasu i szybciej coś powiedział. Zięć przeciągał chcąc zebrać myśli, bo nie był pewien, co powiedzieć.

- Kiedy czytam gdzieś o czternastoletniej dziewczynie spotykającej się z chłopcem, nie widzę w tym nic złego. Sam chyba po raz pierwszy zakochałem się mając czternaście lat albo i mniej.

Pani Alina roześmiała się.

- To nie mogłam być ja - powiedziała. - Ale ci wybaczam.

- Nie zwracaj mu teraz głowy, Alinko - niecierpliwił się dziadek. - Mów, mów, Jasiu.

- Teraz też nie widzę w tym nic złego - powiedział pan Jan.

- Ale wolałbym, żeby Marysia jeszcze nie interesowała się chłopcami.

- Też bym wolała... Ale skoro już ma tego Marcina... mógłbyś, Jasiu, zainteresować go na przykład... Na przykład grą w szachy - podsumowała rozmowę babcia.

- Przecież ja nie mam zielonego pojęcia o grze w szachy - zdziwił się ojciec. - Może tata umie grać?

- Bywało, że grywałem - dziadek zamyślił się. - Bywało, że grywałem, i to nieźle. Zdaje się, że gdzieś jeszcze je mam. Feluniu, gdzie mogą być szachy?

- Pewnie na strychu, w tym wielkim koszu z dorobionymi rączkami - odpowiedziała babcia.

- Jak Tomek będzie miał dziewczynę, to ja, owszem, służę pomocą. Nauczę ją wyszywać, robić szydełkiem... Widzicie,

moi drodzy, ja zupełnie nie znam chłopców.

- Tak się dziwnie czuję - westchnęła pani Alina, kładąc rękę na brzuchu. - Dziwnie człowiekowi pomyśleć, że niedługo urodzi dziecko, podczas

gdy najstarsza córka ma już chłopaka. A gdzie są dzieci? - zapytała.

- Marysia pobieegła z Marcinem, Małgosia i Kasia pewnie podsłuchują! - zawołał ojciec w stronę otwartego okna.

Coś się za nim poruszyło i rozległ się zły głos: "Kto, cholera, posadził tu pokrzywę". Potem zapadła cisza.

- A Tomek pewnie podsłuchuje w korytarzyku! - zawołał w stronę drzwi.

Nikt mu nie odpowiedział, ale po chwili otworzyły się drzwi na ganek i zebrani w kuchni zobaczyli przez okno Tomka sprowadzającego po schodkach rower.

Tomek pojechał szukać Marysi. Chciał jej szybko powiedzieć, że rodzina zaakceptowała Marcina i że Marcin, nie wiadomo dlaczego, ma się uczyć grać w szachy.

Za Tomkiem podążały dwie siostry. Starsza głośno wyrzekała na deskorolkę, która nie jest tak szybka jak rower, a młodsza, wołając rozpaczliwie "poczekajcie na mnie", wolno klekotała wrotkami, co chwilę się przewracając.

W ten sposób Marcin i jego dziadek otrzymali całowakacyjne zaproszenie na obiady do domu z drewnianym gankiem. Zadek musiał zostawać w szkolnej przybudówce, ponieważ Małgosia i Kasia obawiały się o los Uczzonego. Pies wył na całe gardło. Przechodzący obok ludzie żartowali, nazywając głos psa głosem szkoły.

* * *

Według babci Tomek rozciął
sobie głowę do żywego. Według
samego Tomka po prostu rozciął
trochę czoło i trzeba było
założyć trzy szwy. Rana bolała,
nie mógł unieść brwi i nawet nie
mógł głośno mówić.

Snuł się po domu i po ogrodzie
i w myśli wściekał się na
babcię. Jego zdaniem była

zadowolona. Wprawdzie wnuczek
poturbował się trochę, ale w
gruncie rzeczy niegroźnie i
teraz musiał siedzieć pod jej
czujnym okiem. Siostrą Tomka
dawała pełną swobodę. Marysia
znikała na całe dni, zjawiała
się tylko w porach posiłków.
Małgosia szalała na deskorolce,
a Kasia na wrotkach padała,
wstawała, kaleczyła kolana.
Babcia smarowała je gencjaną i
mówiła, że do wesela się zagoi.

Rower Tomka natomiast schowała
do komórki. Kiedy wrócił z
rozciętym czołem, zbladła,
wyjęła z jego rąk kierownicę,
odprowadziła rower i wróciła do
Tomka.

- Rozwalił sobie głowę do
żywego - powiedziała drżącym ze
strachu głosem. - Boże słodki,
Kajtusi, zrób coś, bo się
dziecko wykrwawi.

Dziadek obejrzał głowę wnuka,
oznajmił, że od takiej rany nikt
się jeszcze nie wykrwawił, ale
że domowy opatrunek nie
wystarczy. Poprowadził wnuka do
przychodni, gdzie chirurg o
pulchnych palcach założył trzy
szywy i powiedział wesoło, że do
wesela się zagoi.

Małgosia i Kasia siedziały pod
drzwiami gabinetu lekarskiego.

- Jeżeli będzie krzyczał, ja
też zacznę krzyczeć - pojękiwała
Kasia załamując ręce.

- Spokojnie możesz już
zaczynać - odpowiedziała

Małgosia. - Oczywiście, że będzie krzyczał.

Tomek nawet nie pisnął, chociaż bolało porządnie. Wstydził się ponieważ uważał, że krzyczący człowiek bardzo śmiesznie wygląda.

Wyszedł z oczami wytrzeszczonymi ze strachu i bólu. Cała rodzinna procesja, prowadzona przez dziadka Pieczarkowskiego, udała się prosto do domu. Po drodze minęło ich kilkoro znajomych dzieci, które Małgosia poinformowała, że

jej brat rozwalił sobie łeb do żywego.

Ledwie weszli do kuchni, babcia obrzuciła wnuka szybkim spojrzeniem, jakby sprawdzała, czy głowę ma na miejscu, i oznajmiła jeszcze raz:

- Rower poszedł pod klucz.

- To przez tych z naprzeciwka - zaszeptała Małgosia. - Słyszałam, jak Piotrek namawiał Tomka, żeby się ścigali. Nasz Tomek nie powinien się z nim bawić, bo to się kiedyś źle skończy.

Ania i Piotruś kręcili się po swoim podwórku, spoglądając niepewnie w stronę domu Tomka. Wiedzieli, że się skaleczył, ale nie wiedzieli jak mocno. Kiedy jednak w drzwiach domu z drewnianym gankiem stanęła babcia Pieczarkowska i groźnie spojrzała w ich stronę, przygarbili się i jedno za drugim podreptali do swojej babci. Ania rozplakała się i wyznała, że Tomek chyba stracił oko, bo jego babcia stała przed chwilą w drzwiach wejściowych i miała straszną minę.

Babcia Witkowska odłożyła cerowanie i natychmiast pobiegła do sąsiadów. Wróciła wzburzona.

- Podobno namawialiście Tomka, żeby się ścigać - powiedziała. -

Oka nie stracił, ale jest porządnie poturbowany. Tak mówiła Pieczarkowska. Samego Tomka nie widziałam, bo leży w łóżku.

- Nie namawialiśmy go! - zawołała Ania. - To Tomek chciał się ścigać! On bez przerwy chce się ścigać!

- Pani Pieczarkowska powiada, że to wszystko przez was - powiedziała babcia Witkowska.

Niesprawiedliwie potraktowane bliźnięta unikały Tomka. Do głów im nie przyszło, że kiedy Małgosia skarżyła, Tomek bał się cokolwiek powiedzieć, bo od najłżejszego ruchu szczęką rana bardzo go bolała.

Kiedy ojciec wrócił z pracy, Tomek miał nadzieję, że uda się coś wskórać w sprawie roweru, ale nic nie wskórał, bo tata starał się zawsze tak postępować, żeby babcia nie straciła autorytetu.

- Synku, tylko na jakiś czas - tłumaczył tata. - Potem jakoś tak się wykręci, że odzyskasz rower. Nie ma o co robić tragedii.

Mama też powiedziała, że nie ma o co robić tragedii i że babcia się o niego boi.

- Niech się boi o swoje wnuczki - parsknął Tomek. - A mnie zostawi w spokoju.

Ogarnęła go taka złość na babcię, że zapragnął dokuczyć jej natychmiast, bardzo mocno.

Jedyne, co zyskał, to prawo wędrowania po miasteczku. I korzystał z tego, ile się dało. Wałęsał się smętnie pustymi, rozgrzanymi uliczkami. Było to dużo mniej przyjemne niż siedzenie we własnym ocienionym ogródku, ale dawało satysfakcję - babcia się denerwowała i co pół godziny wysyłała do furtki dziadka albo Kasię, żeby

sprawdzili, czy Tomek nie nadchodzi.

Stał właśnie przed słupem ogłoszeniowym, bezmyślnie gapiąc się na napisy, gdy usłyszał:

- Cześć, ty też, jak widzę, nie wyjechałeś na wakacje.

Obejrzał się i zobaczył Izę.

- Też nie - odmruknął.

I naraz serce zabiło mu mocno.

- Sama tak chodzisz? - zapytał.

- Marysia z Marcinem, a ja sama - roześmiała się dziewczyna. - Bardzo boli?

- Nie bardzo - uchylił się, bo wyciągnęła rękę w kierunku jego czoła.

- Chodź, zapraszam cię na lody - powiedziała.

Dreptał za Izą i czuł się coraz lepiej. Z wielkiej radości miał ochotę wskoczyć dziewczynie na plecy i założyć czułego

nelsona, jak to miała w zwyczaju robić Małgosia.

Siedział potem przy okrągłym stoliku, lizał lody i obserwował koleżankę siostry z radosnym uśmiechem.

- Fajna jesteś - powiedział. - Dziękuję za lody - dodał zsuwając się z krzeselka. - Muszę już iść. Następnym razem ja cię zaproszę.

Została jeszcze przy stoliku. Popijała herbatę, gryzła ciastko i miała taką smutną twarz, że Tomek poczuł przypływ energii. Czuł się pełen inicjatywy, a pomysł, który powstał w jego głowie, wydawał mu się wspaniale desperacki.

- Nie sprawdzi się wróżba, nie sprawdzi - podśpiewywał cwałując rażno na uliczkę, przy której stały małe, dziwne domki. Budowane były bez żadnej koncepcji. W miarę, jak przybywało mieszkańców poszczególnych domków, dobudowywano dodatkowe pokoiki,

korytarzyki, kuchenki...
Wyglądało to bardzo biednie, ale
zarazem malowniczo.

W jednym z ośmiu takich
właśnie domków mieszkał brunet,
ukochany Izy, którego Tomek
nazywał teraz w myśli Waletem
Pik.

Zatrzymał się przed pierwszym
domem i nie wiedział, co dalej
robić. Ruszył wzdłuż uliczki,
wpatrując się we wszystkie
mijane okna. Aż go oczy
rozbolały, gdyż musiał patrzeć w
kilka miejsc jednocześnie, jak
muchy, ponieważ okna
rozmessezone były na różnych
wysokościach i pod różnymi
kątami.

Doszedł do końca uliczki i
otarł pot z czoła. Rana
zaczynała boleć. Czuł, że chore
miejsce pulsuje nieprzyjemnie, a
energia i przedsiębiorczość
wyparowują jak woda. Coraz
bardziej docierało do niego, że
jest małym Tomkiem, wściekłym na

babcię za to, że zamknęła mu
rower.

Przycupnął pod wielkim drzewem i
tkwił, jak pies spragniony wody. Jakaś
kobieta wyszła na ganek i zabrała się
do łuskania groszku. Tomek oblizywał
się patrząc, jak spod jej palców sypia
się do miski chłodne, zielone
kuleczki. Przeniósł się na
przeciwległą stronę uliczki, do
szeleszczącego rowu. Widział stąd
furtki wszystkich ośmiu ogródków. Za
jego plecami ciągnęły się pola z równo
ustawionymi snopkami zboża. Chyba
zdrzemnął się trochę, bo nagle
usłyszał głos zegara. Bił pięć razy.
Pochłodniało troszkę. Tomek już był
gotów wrócić do domu. Czuł głód i
miał przeświadczenie, że się wygłupił.
Poleciał na małą uliczkę, posiedział
pod drzewem, podrzemał w rowie i teraz
właśnie wraca do domu.

Wygrzebał się z rowu i ruszył
przed siebie, szurając smętnie

nogami. Minęli go jacyś chłopcy nadchodzący od strony miasteczka. Dopiero gdy go minęli, Tomek zorientował się, że jednym z nich jest Walet Pik.

- Hej, ty! - zawołał Tomek.

Obejrzelisię wszyscy chłopcy, ale Tomek patrzył tylko na tego jednego.

- Chciałem z tobą porozmawiać

- Tomek uniósł głowę i brodą wskazał Waleta Pik.

Walet Pik odłączył od kolegów i zbliżył się do Tomka.

Tomkowi wydawał się bardzo dorosły. Dorośli wydawali mu się wszyscy uczniowie starszych klas, z wyjątkiem jego własnych sióstr.

- Czego się tak trzęsiesz? - zapytał Walet Pik.

- To... to z głodu - wyszeptał Tomek. - Od śniadania nic nie jadłem z wyjątkiem potrójnej porcji lodów i wafelka. To ty też nie wyjechałeś na wakacje? - zapytał, bo tylko to zdanie przyszło mu w tej chwili do głowy.

- Nie wyjechałem - roześmiał się Walet Pik. - O to chciałeś

mnie zapytać?

- Jedna dziewczyna kocha się w tobie - wyrzucił z siebie Tomek.

Zabrzmiało to jakoś świszcząco i desperacko.

Koledzy nawoływali, ale Walet Pik machnął ręką w ich stronę. Odeszli więc, a Tomek mówił dalej:

- Wiem o tym na pewno, ale nie mogę powiedzieć, skąd. Gdyby się wydało...

Walet Pik był coraz bardziej zainteresowany. Zbliżył się do Tomka i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie wyda się - szepnął. - Ale mów, która to.

- Moja siostra to Biała Gęś - zaczął wyłuszczać sprawę od

początku, wściekły na siebie, że wobec kogoś obcego użył domowego przyzwiska siostry.

- Już wiem! - ucieszył się Walet Pik. - Twoja siostra to taka zabawna blondynka, która wygląda jak ciastko z za dużą ilością kremu.

- Właśnie, właśnie! - przytaknął Tomek, chociaż Marysia nigdy nie kojarzyła mu się z ciastkiem.

- Ale kiedy ona mi się nie podoba - westchnął Walet Pik. - Nic jej oczywiście nie mów, że ze mną rozmawiałeś, ale... - przyjrzał się Tomkowi. - Dobry z ciebie brat, że się tak troszczysz o siostrę, ale nic z tego nie będzie.

- Kiedy tu nie o nią chodzi! - zawołał Tomek. - To Iza. Jej przyjaciółka! Iza ma ciemne włosy i jest inna... ja... ja już muszę iść.

- Słuchaj no, mały - Walet Pik przytrzymał go za podkoszulek. - Jeżeli zmyślasz...

- Nie zmyślam! Nie zmyślam! - Tomek potrząsał głową. - Nie zmyślam, ale nie chcę powiedzieć, skąd wiem, i nie chcę, żeby się to wydało!

- Nie wyda się - odpowiedział Walet Pik. - Nie wiem, dlaczego

to robisz, ale jeżeli... No, w razie czego poznam cię. Teraz zmykaj.

Toemk umknął nie oglądając się za siebie.

W domu dowiedział się od Małgosi, że babcia trzy razy odgrzewała obiad, a dziadek stał przy furtce dwie bite godziny, opalił sobie jedną połowę twarzy i bola go nogi.

Cała rodzina była zdenerwowana, a najbardziej tym, że rana na czole zaczęła krwawić. Dziadek zmienił wnukowi opatrunek, a babcia postawiła na

stole jeszcze raz odgrzany
obiad. Tomek pochłonał całą
porcję i poprosił o dokładkę.
Jego dobry apetyt uspokoił matkę
i ojca. Człowiekowi, który
zmiata w takim tempie, nic nie
jest. Chcieli tylko wiedzieć,
gdzie wałęsał się tak długo.
Czekali, aż się wytłumaczy, a on
jadł, jadł i jadł, a kiedy
skończył, wcale się nie
tłumaczył. Nie chciał nawet
powiedzieć, gdzie był.
Postanowiono go ukarać. Miał
siedzieć w swoim pokoju do końca
dnia. Ponieważ nie wyglądał na
skruszonego, babcia uznała, że
kara wymyślona przez rodziców
jest za mała.

- A cóż to za kara! -
wykrzyknęła. - Chętnie posiedzi
w pokoju, bo jest zgoniony jak
pies. Nie powinno mu się
pozwolić oglądać telewizji przez kilka
dni i zabronić łożenia po
mieście.

Tomek przesiedział w swoim
pokoju całe popołudnie i cały
wieczór. Odwiedziła go Kasia.
Przyniosła lalki, wózek i bawiła
się cichutko.

"A jeżeli on zakpi sobie z
Izy?" Ta myśl przeszła Tomka,
aż stęknął.

- Tak bardzo boli? - rozległ
się pełen współczucia głos Kasi.

- Co? A tak, trochę boli -
odrzekł dotykając opatrunku.

- Jesteś bardzo dzielny -

powiedziała Kasia z szacunkiem.

- Ja bym tak nie potrafiła.

Chciał się dowiedzieć, czego
by nie potrafiła, ale Kasia nie
umiała wytłumaczyć.

- Nie potrafiłabym i już -
zakończyła bezradnie rozkładając
ręce.

Po czterech dniach do Marysi
przybiegła Iza. Tomek sam
otworzył jej drzwi. Ledwie
rzuciła okiem w jego stronę i

pobiegła na piętro, do pokoju sióstr Tomka.

Minęło kilka minut, a dwie dziewczyny pędziły po schodach.

- Babciu! - wołała Marysia. - Postaw Izie kabałę! Tamta się nie sprawdziła.

Babcia pospiesznie rozłożyła karty. Tomek, stojący niczym odźwierny, słuchał, jak mówi:

- Walet Pik obok Damy Kier. Wielkie uczucie. A mówiłam, że nie należy tracić nadziei.

- On nagle podszedł do mnie i zapytał: To ty też nie wyjechałaś na wakacje? - głos Izy drżał z radości i emocji.

Tomek uśmiechnął się, ale zaraz babcia powiedziała coś takiego, że odechciało mu się uśmiechać.

- Jakiś Walet Kier intrygował - rzekła. - Ale to pocziwe intrygi. Wszystkie intrygi, które mają na celu szczęście innych, są pocziwe. Weźmy na przykład zanikającą już funkcję swatki. Też troszkę intrygowała, ale w jakże dobrym celu.

Tomek pomyślał, że babcia nawet niechcący potrafi powiedzieć coś takiego, co go ośmiesza we własnych oczach. Pocziwa swatka w szortach w piłeczki, błękitnym podkoszulku, potajemnie szperająca w senniku. Same ośmieszające męczyznę rzeczy. "Wcale nie zrobiłem tego dla czyjegoś szczęścia - pomyślał ze złością. - IOza jest uszczęśliwiona przy okazji, a twoje wróżby nie spełniły się".

* * *

W pewien sierpniowy dzień Tomek z Anią i Piotrusiem szli drogą prowadzącą do miasteczka. Wczesnym rankiem wybrali się na przechadzkę. Nieśli trochę grzybów uzbieranych w rowie. Były to same podgrzybki. Podzielili je równo, żeby obie

babcie były zadowolone.
Zatrzymywali się co jakiś czas,
gdy natrafili na ciekawszy
kształtem kamień albo gdy droga
przejechał samochód. W torbie,
którą nieśli na zmianę, leżały
trzy kurtki, bo rano, kiedy
wyruszyli, było chłodno.

- Nie musimy iść jeszcze do
domu. - Ania wpadła na pomysł,
żeby zrobić wyprawę do starego
dworu. Dworek był pusty,
poszarzały ze starości i
zapadnięty ze starości.

Do dworku nie prowadziła żadna
droga. Kiedyś, dawno, musiała
prowadzić, ale teraz nie
pozostał po niej nawet ślad.
Dworek stał na środku łąki,
ukryty w wierzbach, jak skarb.

Tomek zatrzymał się.

- Moim zdaniem droga biegła
tędy - wyciągnął rękę w kierunku
asfaltowej szosy prowadzącej do
sąsiedniego miasteczka. -
Musiała odchodzić w bok.

- Nie, bo szosę zrobiono
dopiero piętnaście lat temu.
Dawniej w tamtym miejscu też
była łąka. Moim zdaniem ona
biegła tędy, akurat w miejscu, w
którym teraz jesteśmy.

Pod ich nogami układała się
miętko zielona trawa, upstrzona
kępkami fioletowej koniczyzny.

- Nie potrafię wyobrazić
sobie, że miejsca, które znam,
wyglądały kiedyś inaczej -
powiedział Tomek.

Przeszli między gałązkami
wierzb, a one poślaskotały ich
odsłonięte szyje.

Z bliska dworek wyglądał dużo
skromniej niż wtedy, gdy się o
nim tylko myślało. Był to po
prostu bardzo długi dom z
nieproporcjonalnie malutkim

ganeczkiem. Stare drzwi miały
klamkę opadającą trochę w dół,
jakby naciskał ją ktoś
niewidzialny.

- Chciałabym chociaż raz
zajrzeć do środka - szepnęła
Ania.

Chłopcy nie odpowiedzieli.

- Albo żeby ktoś tam zajrzał i
powiedział mi, jak jest w
środku.

Chłopcy znów nic nie
odpowiedzieli. "Raz, dwa, trzy,
nie boję się - pomyślał Tomek. -
Albo raz, dwa, trzy, cztery,
pięć, sześć..."

- No, to trudno - zrezygnowała
Ania.

Wyczuła, że chłopcom jest
przykro. Bali się podejść do
drzwi. Być może były zamknięte,
ale oni bali się nawet
sprawdzić.

- Musimy wracać - powiedział
Tomek. - Pewnego dnia przyjdę
tu, oderwę jedną deskę z okna,
żeby zobaczyć, jak jest w
środku.

Tomek nie wiedział, czy boi
się zajrzeć do dworku dlatego,
że jest to ciągle czyjaś
własność, czy dlatego, że boi
się straszydeł i tajemniczych
zjaw, których pewnie nie ma w
żadnym starym dworku, ale o
których naczytał się tyle, iż
prawie uwierzył w ich istnienie.

Było już południe, kiedy
dotarli do domów.

Tomek w kuchni nie zastał
nikogo. Panowała cisza, a na
stole stał talerz z naleśnikami.
Krażyły nad nim osy. Tomek
domyślił się, że naleśniki są
dla niego. Zjadł wszystkie,
zastanawiając się, gdzie jest
rodzina.

Wtem z dużego pokoju doleciał
jakiś szmer. Zajrzał tam i
zobaczył ich wszystkich.

Na kanapie, rządkiem,
siedziały trzy siostry, obok
Uczony, a na podłodze leżała
Mniamna. Siostry Tomka trzymały
ręce złożone na podółkach i

wyglądały jak osoby czekające na wizytę u lekarza. Babcia rozkładała karty, a dziadek wkładał i zdejmował okulary. Ojciec chodził po pokoju niespokojnym krokiem i palił papierosa.

- Czy coś się stało? - zapytał cicho Tomek.

- Nic. Zupełnie nic - głos Małgosi był podenerwowany. - Tyle tylko, że mama pojechała do szpitala. I podczas gdy w domu dzieje się tyle różnych rzeczy, ty łazisz nie wiadomo gdzie.

- Dajże mu spokój, Małgosiu - w głosie ojca był niepokój, niecierpliwość i jakaś obcość, której Tomek nie znał. Pomyślał, że tata jest teraz myślami przy mamie. I pewnie, gdy rodziło się każde jego dziecko, miał taki właśnie głos.

Drzwi ogrodowe były szeroko otwarte, a na podłodze ścieliły się jasne plamy słońca.

"Przedtem nie wiedziałem, że tym dniem będzie właśnie osiemnasty sierpnia - pomyślał Tomek. - Ten dzień od dzisiaj coś znaczy".

Na końcu ogrodowej ścieżki stali Ania i Piotruś i dawali mu znaki. Udał, że ich nie dostrzega. Dziwne wydawało mu się to, że kiedy on zbierał grzyby, biegł do starego dworku, jego mała siostra sposobiła się do przyjscia na świat. Może już była? To przecież bardzo prawdopodobne. Mogła się urodzić kilkanaście minut temu, a za chwilkę wszyscy usłyszą dzwonek telefonu. Chciał sobie przypomnieć, jak to było, kiedy urodziła się Kasia. Miał wtedy cztery lata. Pamiętał tylko, że tata kupił mu dwa auta, które okropnie hałasowały, a babcia powtarzała: "Bądź cicho, bo twoja siostra śpi". Więcej niż on pamiętała pewnie Małgosia, jeszcze więcej Marysia, wszystko rodzice i dziadkowie.

Myśli Tomka krążyły bezładnie. To widział łąkę, to dwór, to

gmach szpitala, twarz mamy. Jego myśli przepychały się i potraçały jak kłócaące się dzieci. Z tego wszystkiego poszedł do kuchni czyścić grzyby.

- Nasi rodzice pytają, czy już coś wiadomo? - rozległ się szept zza kuchennego okna.

Ania i Piotruś stali na podmurówce i zaglądali do środka, Tomek pomógł im się wgramolić przez okno. Dał nożyki i zgodnie zabrali się do czyszczenia grzybów. Czyścili je tak dokładnie i kroili na tak równiutkie kawałki, jakby chcieli, żeby tej czynności starczyło na cały czas oczekiwania.

Do kuchni zajrzała najpierw Małgosia i powiedziała, że to wprost nieprzyzwoite zajmować się głupotami, kiedy dzieją się takie ważne sprawy.

Zaledwie wyszła, w kuchni zjawiła się Marysia. Stała troszeczkę na środku, napiła się wody i zniknęła w drzwiach. Po Marysi zajrzała Kasia i właśnie wtedy rozległ się dzwonek telefonu.

Zostawili robotę i pobiegli do dużego pokoju. Ojciec rozmawiał, a wszyscy z napięciem wpatrywali się w niego. Tata uśmiechał się i pytał, jak mama.

- Zapytaj, jak się obie czują - odpowiedziała babcia Pieczarkowska.

Babcia Witkowska stanęła w drzwiach ogrodowych. Jej chudy cień ledwie zaznaczał się na słonecznych wzorach. Od dźwięku dzwonka telefonu do jej zjawienia się nie minęło więcej niż trzy minuty. Tomek pomyślał, że albo czatowała w ogródku, albo przyfrunęła.

Ojciec odłożył słuchawkę.

- No - ponaglała teściowa. - Mów wreszcie, jak się czują.

- Czują się dobrze - odrzekł ojciec i spojrzał na Tomka. - Czują się dobrze.

A potem zaraz wykrzyknął:

- Synu, masz brata! Dużego, wielkiego, wspaniałego brata!

Schwycił Tomka w objęcia i uniósł wysoko do góry.

- Twój brat jest silny i zdrowy. Urodził się godzinę temu!

W ciągu jednego dnia tysiącu chłopcom rodzą się bracia i nie ma w tym niczego nadzwyczajnego, jeżeli patrzy się na wszystkich chłopców i ich braci razem. Jeżeli na każdego oddzielnie, to każdego dnia jednemu chłopcu rodzi się jeden brat, i to jest nadzwyczajne tyle razy, ile razy się zdarza.

"Brat - pomyślał Tomek - ktoś taki jak ja. Chłopiec".

- Hurrra! - krzyknął. - Hurrra! Brawo, mama!

- Jeżeli on ma brata, to ja mam drugiego wnuka - powiedział dziadek. - A spodziewałem się kolejnej wnuczki. Felicjo, coś ty naopowiadała? Taka wypróbowana wróżbitka, a nie potrafiła porządnie wywróżyć, co się urodzi. Jak będę chciał wiedzieć, co mnie czeka, pójdę do Cyganki. Brawo, Alinko! - wykrzyknął. - Nie zawiodła moja córeczka. Jestem gotów pójść do pracy na pół etatu, żeby mojemu wnukowi niczego nie brakowało. Mam na myśli wszystkie moje wnuki - poprawił się.

- Jakie to wszystko zagadkowe - szepnęła Marysia. - Pół godziny temu byliśmy pewni, że to dziewczynka, a teraz jesteśmy pewni, że to chłopiec.

Otworzyła szeroko oczy i roześmiała się z tego, co sama przed chwileczką powiedziała.

- Pewnie jest różowy - uśmiechała się z rozmarzeniem Kasia. - Pewnie jest słodki, kochany malutki wróberlek - usta Kasi składały się do buziaków. - On jeszcze nie wie, jak ja

wyglądam. Prawda, babciu, że to wszystko jedno, co się nam urodziło?

- Prawda - odpowiedziała babcia Pieczarkowska. - Ale to wprost niemożliwe. A może?... -

zawiesiła głos i spojrzała na zięcia.

- Czemu mama tak patrzy?

- Bo boję się powiedzieć.

- Proszę powiedzieć - zachęcał pan Jan.

- Ja na twoim miejscu sprawdziłabym, czy dziecka nie podmienili. Tylko się nie złość. To, że żyjemy w czasach samolotów, rakiet, wypraw w kosmos, nie znaczy, że takie rzeczy się nie zdarzają. Rodzi się dajmy na to chłopiec, ale ci, którym się urodził, woleliby dziewczynkę. I za niewielką sumkę podmieniają dziecko. Czy to jest całkiem niemożliwe?

- Teoretycznie jest możliwe, ale w praktyce nie.

- Mnie się to od początku nie podobało - rzekła Małgosia. - Sprawę należy zbadać.

- Przestańcie! Przestańcie chociaż na chwilę! - Ojciec przetarł twarz. - Doprowadzacie mnie do obłądu.

- Trzeba to sprawdzić.

- Koniecznie!

Do znękanego ojca przemówił widocznie obraz uprowadzanej pod kapotą dziewczynki i podkładania zamiast niej jakiegoś odmieńca, bo zapytał:

- Jak mam to zrobić, żeby się nie wygłupić?

- Wygłupisz się, tatusiu, bez względu na to, jak to zrobisz - pomyślał Tomek. - Ale jak chcesz, to sprawdzaj".

- Zwyczajnie, zadzwoń do szpitala i zapytaj o towarzystwo, w jakim twoje dziecko przyszło na świat - poradziła babcia.

- Ale tak od razu nie mów, że to nie twój synek - przypomniała Kasia. - Dopiero, jak się dowiesz.

- Powiedz, że twoje dzieci strasznie chcą to wiedzieć - uzupełniła Marysia.

Ojciec wykręcił numer szpitala.

- Przepraszam bardzo, tu mówi Jan Sowiński - powiedział do

słuchawki. - Widzi pani, moje dzieci bardzo chcą wiedzieć, w jakim towarzystwie nasz synek przyszedł na świat.

Widocznie osoba po drugiej stronie słuchawki nie rozumiała, o co ojcu chodzi, bo tata posłał wściekłe spojrzenie babci, zaczerwienił się i tłumaczył dalej:

- Źle mnie pani zrozumiała. Nie chodzi o skład personelu medycznego. Chciałbym wiedzieć, ile dzieci dziś się urodziło i jakiej są płci. Moja najmłodsza córeczka - skombinował dzielnie - chce je wszystkie narysować. Bardzo panią przepraszam... Tak, dziękuję.

Odłożył słuchawkę i wrzasnął:

- W przyszłości proszę nawet nie próbować takich sztuczek, pani Pieczarkowska! Informuję was wszystkich, że dzisiejszego dnia urodzili się sami chłopcy. Czterech!

- Jezus Maria - dobiegło od drzwi ogrodowych. - To znak, że będzie wojna. W trzydziestym dziewiątym też rodzili się sami chłopcy.

Milczący dotąd Ania i Piotruś roześmieli się serdecznie.

- Nie śmiejcie się! - tupnęła babcia Witkowska. - Jeżeli już jesteście źle wychowani, to chociaż zachuwajcie się tak, jak byście byli dobrze wychowani.

Wszedł dumny dziadek Pieczarkowski i obwieścił, że przeliczył wszystkie swoje

oszczędności i ma zamiar kupić
maleństwu wózek.

- Niech wie, że ma dziadka -
powiedział.

Babcia Pieczarkowska rozłożyła
karty i długo się w nie
wpatrywała. Sąsiadka porzuciła
swoje stanowisko przy drzwiach
ogrodowych i przycupnęła na
krześle obok stołu. Wszystkie
siostry Tomka zerkały w karty.
Nawet bliźnięta, ojciec i Tomek
nie wytrzymali.

- Sen zawiódł, bo śnił mi się

przecież zeszyt. Zwykły zeszyt,
a to oznacza spełnienie nadziei
- powiedziała babcia
Pieczarkowska. - A ja, przyznam
się, miałam nadzieję na wnuczkę.
Karty zawiodły.

Obok asa kier stała bowiem
uparta dama kier z różą.

* * *

Potem karty zawiodły jeszcze
raz. Zapowiedziały babci
Witkowskiej list od męża, a
zamiast listu zjawił się on sam.

Pani Alina była jeszcze w
szpitalu. Pisała do rodziny, że
czuje się coraz lepiej, że
Walecik Kier ładnie je, ładnie
śpi i w ogóle udany z niego
chłopczyk. Rodzina postanowiła
nazwać chłopca Michał, ale na
razie mówiono Walecik Kier.

Babcia Pieczarkowska teraz już
umilała sobie wszystkie wieczory
rozkładaniem kart. Przypatrywała
się damie kier i czuła do niej
niechęć, bo jak długo można się
tak bawić w ciuciubabkę?

Babcia Witkowska korzystała z
każdej okazji, żeby pozagładać w
przyszłość.

Karty mówiły jej o kłopotach,
pieniądzach, intrygach, o
ludziach życzliwych i wrogich, a
ona słuchała tego jak
zaczarowana.

Zasiedziała się pewnego dnia
do późna. Nie była w dobrym

humorze, a to z powodu intryg, które podobno snuła jakaś nieżyczliwa jej kobieta. Babcia Witkowska w myśli robiła przegląd wszystkich znajomych pań, chcąc przyłapać tę właściwą.

Księżyc świecił, pochłodziło, powietrze było wilgotne i trochę duszne. Gdzieś daleko zamruczała burza.

Babcia Witkowska wracała przez trawnik, obok szły wnuki. W pewnej chwili babcia rzuciła okiem na dom. Zatrzymała się i zmrużyła oczy chcąc lepiej widzieć.

- Dzieci, a co to tam siedzi na naszym ganku? Takie duże i

białe? - zapytała.

Wnuki podbiegły do żywopłotu.

Ktoś duży, w jasnym ubraniu, schodził po schodkach ganku.

- Babciu! - zawołały. - To przecież nasz dziadek! Dziadek wrócił!

I jedno za drugim zniknęły w żywopłocie, a po chwili ukazały się z drugiej strony.

- Dzieci! - wołała babcia biegnąc na oślep przez trawnik. - Nie zostawiajcie mnie! Poczekajcie! To nie może być dziadek! Skąd nagle o tej porze dziadek?

- Prosto z pociągu - odpowiedział znajomy męski głos. - Przychodzę prosto z pociągu, a tu dom pusty.

Teraz już babcia uwierzyła, że dziadek naprawdę wrócił. Ale przecież najpierw miał być list.

- Ta przekłeta poczta - zżymała się rozgarniając żywopłot. - Tu gdzieś musi być dziura. Z całą pewnością podła poczta zagubiła list.

Wreszcie wymacała małą wyrwę w płocie. Drapiąc twarz o gałązki żywopłotu, na czworakach, zaczęła się przepychać na drugą stronę.

Właściwie już cała babcia Witkowska była na swoim podwórku. Po stronie ogrodu sąsiadów został tylko kawałek siedzenia i nogi. Babcia wykonała ruch do przodu i poczuła, że coś ją trzyma za sukienkę.

- Przez te przeklęte wróżby człowiek gotów sobie podrzeć najlepszą sukienkę - poskarżyła się. - Stasiu, zamiast tak stać i patrzeć, odczep mnie.

Pan Witkowski schylił się i po omacku zdjął materiał z gwoździa.

- Zosiu, Zosiu, co ty wyrabiasz? - pomógł żonie wstać.

- Tak się do mnie spieszyłaś? Moja ty kochana.

Babcia rozplakała się. Była wzruszona, ucieszona, szczęśliwa

i miała tyle do opowiadania.

- Ach, Stasiu - westchnęła. - Co ja się naczekałam na twoje listy, a wyobraź sobie, proszki do prania mi schowali, pastę do podłogi, klucz od schowka nosi przy sobie Tereska... Ale ja ci to wszystko opowiem w domu. Dzieci, idziemy do domu. Rodzice pewnie zaraz wrócą. Ale się ucieszą, bo widzisz, myśmy się spodziewali listu, nie ciebie.

Przyjazd pana Witkowskiego nie mógł pozostać tajemnicą. Już nazajutrz rano babcia Pieczarkowska mogła zobaczyć sąsiada spacerującego po ogródku. Pozdrowił ją, wypytał o wszystkie najważniejsze sprawy, pogratulował nowego wnuka. Jak to sąsiad.

- Dziwne to wszystko - mruknęła babcia Pieczarkowska do siebie. - Nie to, żebym się nie cieszyła, że pan Witkowski wrócił. Jestem tylko zdziwiona i zaciekawiona.

Babcia Witkowska wytrzymała bez kabały tylko dwa dni.

Trzeciego już się zjawiała,
zaopatrzona w olbrzymi kawał
sernika.

- Karty to tak jak człowiek -
powiedziała na powitanie. - Raz
mówią prawdę, a raz troszkę
skłamią. Co by to było, gdyby
tak zawsze prawdę mówiły. Żadnej
niespodzianki. Albo, dajmy na
to, gdyby mi tak chorobę
przepowiedziały, to ja bym się z
samego wrażenia rozchorowała w
pani dużym pokoju. I co by to było?
Nieszczęście przecież. Staś coś
tam mówi o jakimś liście. Może
to poczta winna?

- Może i winna - odrzekła
babcia Pieczarkowska. - No to
co? Postawić kabałę?

Babcia Witkowska nie musiała
mówić. Zatarła tylko ręce i
usiadła na swoim ulubionym
krzeselku.

- No i proszę - powiedziała
zaglądając do kart. - To chyba
Staś. Król trefl stoi obok asa

kier, czyli obok domu. Zgadza
się. Przed chwileczką wyszedł na
ganek z filiżanką kawy. Nawet
stąd widzę, że mój Król Trefl
siedzi obok mojego Asa Kier.

* * *

Po tygodniu mama i dziecko
wrócili do domu. Tata pojechał
po nich taksówką, a cała rodzina
czekała przy furtce. Przy
sąsiedniej furtce stała babcia
Witkowska. Bliźnięta biegały od
babci do sąsiadów.

- Robicie tylko zamieszanie -
upomniała je Małgosia. - I nie
rozumiem, na co czekacie.
Przecież nie wam urodził się
brat. Było was dwoje, jest was
dwoje i będzie was dwoje, a
właściwie... - przyjrzała się
bliźniętom - właściwie jesteście
jednym i tym samym dzieciakiem w
dwóch osobach. O rety, jaka
nuda! Oczywiście, nie ma w tym
nic złego. A jednak wydaje mi

się to dziwne. Bliźnięta jednojajowe, z jednego żółtka. Rozum też na pół.

Piotruś głośno splunął jej na sandały, a obojętna zazwyczaj Ania poprawiła.

Do bójki nie doszło, bo przed furtkę zajechała taksówka.

- Boże, jaka nasza mama jest chuda! - jęknęła Kasia.

Matka schudła o całe wielkie niemowlę, które dźwigał ojciec. Było owinięte w wielki koc i wyglądało jak tobołek bielizny pościelowej niesionej do magła.

- Moje skarby - matka kolejno ściskała dzieci. - Moje kochane dzieciaki.

Dzieci obejmowały matkę i usiłowały zaśpiewać "sto lat", ale zawodziły każde na inną nutę i "sto lat" rozłaziło się, aż wreszcie umilkło.

- No, pospieszcie się, pospieszcie - poganiał dziadek. - Chcę zobaczyć mojego nieodrodzonego wnuka.

Babcia Witkowska oderwała się od furtki własnego ogródka i podążyła jak cień za rodziną

Pieczarkowsko_Sowińską.

Tata Sowiński wniósł synka do domu i tu natychmiast nastąpiła krótka sprzeczka - dokąd mianowicie zanieść dziecko. Miało już przygotowany swój kącik w pokoju rodziców i tam chciał je zanieść ojciec, ale babcia zaprotestowała.

- Najpierw do dużego pokoju - poleciła. - Wszystkie moje wnuki były najpierw wnoszone do dużego pokoju. Alinka też i ja, jako niemowlę, też. Poza tym duży pokój zawsze był najbardziej słoneczny.

Zaniesiono więc noworodka do dużego pokoju. Kraciasty tobołek nie dawał znaku życia. Mama uniosła rożek kocyka i oczom zebranych ukazała się pomarszczona, dorbna twarzyczka.

- Boże, jaki przepiękny -
zakwiliła pani Witkowska. - Jak
królewicz.

Tomkowi brat nie wydał się
piękny, nawet troszkę brzydki,
ale ze wspomnień o Kasi
wiedział, jak bardzo zmieniają
się takie malutkie dzieci.

- No, Alinko - odezwał się
dziadek. - Dzieciaczek
marzenie. Jak laleczka.

Babcia Pieczarkowska
pochyliła się nad wnukiem i
długo mu się przyglądała, jakby
czekała, że otworzy oczy i
spojrzy na nią. Wreszcie zaczęła
rowijać kocyk, pieluszki,
następne pieluszki i ceratowe
majtki. Po chwili na środku
stołu leżał Walecik Kier tylko w
samym kaftaniku.

- Mamo - pani Alina zawijała
dziecko. - Przecież mu zimno.

- No i on się wstydzi przy
obcych - wtrąciła Małgosia
przysłaniając brata pieluchą.

- Mój nowy brat - zachwyciła
się Kasia. - Mam teraz dwóch
braci, dwie siostry, dwa
zwierzaki, dwoje rodziców i
dwoje dziadków.

Mniamna wśliznęła się
nieśmiało do pokoju. Merdała
ogonem i zerkała w stronę stołu.

- Pozwólcie jej się przywitać
- poprosiła Kasia.

- Suka ostrożnie, drżąc ze
wzruszenia, polizała niemowlę w
gołą piętę.

- Już niedługo i ty będziesz
miała dzieci - powiedziała do
niej Kasia.

- Co? - zawołał dziadek. - Czy to
znaczy, że ten cholerny pies znów
będzie miał sześć szczeniaków?

- Nie klnij przy dziecku,
dziadku - upomniała go Małgosia.

- Jak co roku, Mniamna będzie
miała jesienią małe pieski, a
ile, tego nawet ona sama nie
wie.

Dziadek miał ochotę kłać jak szewc.

- Kiedy się ma tyle wnucząt, to człowiek nawet zakłać nie może swobodnie - poskarżył się. - Bo a nuż któreś usłyszysz. Ale jak tu nie kłać, jeżeli to ja później chodzę po mieście i rozdaję szczenięta Mniamni. A właściwie to dlaczego Witkowski nie chodzi razem ze mną? Szczenięta Mniamni są zawsze dziwnie podobne do Kruczka. Całe czarne i też mają takie głupie oczka.

- On dopiero co wrócił - tłumaczyła męża pani Witkowska. - Ale jak trzeba, to będzie chodził.

Do Walecika Kier dotarły widocznie głosy, bo otworzył oczy, zmarszczył się i zaczął płakać. Głos miał zrazu cichy, skrzekliwy i niepodobny do ludzkiego. W miarę jak nabierał oddechu, krzyczał coraz głośniej.

Pani Alina wyprosiła wszystkich z pokoju. Musiała zostać sama, żeby nakarmić dziecko.

- Chodźcie - babcia Witkowska zgarnęła wnuki. - Jeszcze przyjdziecie zobaczyć Walecika Kier, ale teraz trzeba już iść. Nie wypada siedzieć tyle czasu pierwszego dnia.

I odeszła prowadząc tylko

dwoje, i to już dobrze odchowanych wnucząt.

* * *

Brat był już w domu od trzech dni, a Małgosia ciągle namyślała się. Udawała, że szuka okazji, która pozwoli jej sięgnąć w głąb biurka i wydobyć portmonetkę z oszczędnościami. Obydwie siostry ciągle kręciły się w pobliżu, jakby chciały przeszkodzić w przeliczeniu wcale pokażnej sumki.

Wreszcie po południu, kiedy mama kazała im wywieźć do ogródka wózek z dzieckiem, Małgosia została sama.

Ułożyła równo najpierw banknoty, potem w równe stosiki większe monety, a mniejsze oddzielnie. Miała dość pieniędzy, żeby kupić bratu prezent. Najdrobniejsze pieniążki wsypała do portmonetki jako zaczątek przyszłych oszczędności.

Nie zwracając na nikogo uwagi i przez nikogo nie zauważona poszła do furtki, a potem na ulicę i ruszyła w kierunku sklepu z zabawkami. Miała zamiar kupić najmłodszemu bratu jakąś bardzo kosztowną zabawkę. Oczywiście mogła wyjść przed dom i zawołać: "Idę mu kupić zabawkę za wszystkie moje pieniądze!", ale wolała zachować się skromniej. Przed lodziarnią musiała troszkę ze sobą powalczyć. Jak na złość niemal pół miasta zajadało się lodami.

- Ale ja nie - powiedziała twardo Małgosia.

Tymczasem Tomek, Piotrek i Ania zrobili wielkie łuki i poszli zapytać mamę, czy pozwoli je zawiesić nad łóżkiem Walecika Kier.

- Kiedyś broń wieszalo się nad łóżkiem, proszę pani - argumentowała Ania.

- A jak spadnie i zrobi dziecku krzywdę? - zastanawiała się pani Alina.

- Już ja je tak przymocuję, że

nie spadną - ofiarował się dziadek. - Felicjo, gdzie jest ten mocny sznurek, te długie gwoździe i gdzie jest ten młotek?

- W schowku pod schodami, w drewnianej skrzyneczce - odpowiedziała babcia.

Siedziała w wyplatany fotelu, twarzą do okna i niebieskie

sweterki obrabiała różową włóczką, żeby były dobre dla chłopca. Co chwilę spoglądała przez okno, żeby sprawdzić, jak Kasia opiekuje się bratem, i udzielała rad.

- Nie kołysz tak mocno, bo go wysypiesz. Nie dotykaj dziecka tą samą ręką, którą przed chwilą dotykałaś psa. Nie dotykaj dziecka tą samą ręką, którą przed chwilą głaskałaś kota.

- Kiedy, babciu, ja przed chwilą jedną ręką dotykałam psa, a drugą kota - odrzekła Kasia.

- To idź i umyj ręce, a ja wyjdę przypilnować wózka.

Usiadła na schodkach ganku, jedną ręką pogłaskała psa, druga kota, a oczy wpiła w dziecko. Wydawało jej się piękne. Tak pięknego chłopca dotąd nie widziała. Jeszcze tylko Tomek był taki. Piotruś, owszem, niczego sobie chłopczyk, ale gdzie mu tam do nieodrodných wnuków dziadka Pieczarkowskiego.

Wróciła Kasia i stękaniem, westchnieniami, pomrukami dawała babci do zrozumienia, że teraz jej kolej posiedzieć przy wózku.

- Mnie się też chce go popilnować - powiedziała babcia.

- Przecież możesz siedzieć obok mnie. A gdzie reszta rodzeństwa?

- Marysia poszła z Marcinem po warzywa, Małgosia nie wiem gdzie, a Tomek...

- Tylko popatrzcie! - rozległ się głos Tomka tuż za plecami babci i wnuczki. - O rety!

Popatrzyły za jego wyciągniętym palcem.

Dziadek ukazał się w oknie kuchennym, zza niego wystawała głowa pani Aliny. Wszyscy

patrzyli w stronę ulicy.

Za płotem płynęło coś różowego i wielkiego. Posuwało się wzdłuż żywopłotu.

- Na Boga, co to może być? -

zastanowiła się babcia.

- To uszy! - rozpoznała Kasia.
- To wielkie zajęcze albo królicze uszy.

Furtka otworzyła się i na ścieżkę weszła Małgosia. Trzymała w objęciach olbrzymiego, pluszowego królika. Mniamnia zawarczała.

- Leżeć - skarcił ją dziadek.
- Małgorzatka niesie prezent braciszкови.

Małgosia wraz z zającem dotarli do wózka. Małgosia, skromnie spuszczaając oczy, postawiła zająca na trawie w taki sposób, że jego uszyska kładły się miękko na kocyku, którym przykryte było dziecko.

- Przepiękny, prawda? - podniosła pełne radości oczy. - Najdroższy w całym miasteczku. Pani ze sklepu powiedziała, że i w dużym mieście byłby najdroższy. Zabrakło mi trzysta złotych. Muszę donieść.

- Dziecko - powiedziała pani Alina. - Przecież ten potwór kosztował majątek.

- Zawsze mówiliście, że ja lubię jakieś okropieństwa. Opowieści o zarazie, epidemii. Więc teraz kupiłam słodkiego, różowego zajączka.

- Ja dołożę do zająca wszystkie moje oszczędności - zaofiarował się Tomek. - Mam trzysta złotych. Akurat tyle, ile jesteś winna.

Przydreptała babcia Witkowska i oglądając zabawkę szeptała, że jakby się tak postarać, to można go przerobić na zimowy kombinezon dla maleństwa, i że ona się tego podejmuje.

- Takie ciepłe futerko - mruczała macając miękki ogonek.

Mały chłopczyk obudził się i zaczął płakać. Natychmiast skupił na sobie całą uwagę.

Mama zabrała go do domu. Nad

łóźeczkiem wisiały trzy łuki i obrazek Kasi przedstawiający czterech nowo narodzonych chłopców. Kasia narysowała ich w taki sposób, żeby nikt nie miał wątpliwości, że jej brat narodził się w towarzystwie męskim "Tyle łuków, ile sióstr - pomyślała z rozbawieniem matka. - Oj, ten Tomuś".

W ogródku zjawili się Marysia z Marcinem. Dźwigali siatkę pełną owoców i warzyw i natychmiast usłyszeli, że podczas gdy inni spędzają czas w domu, w pobliżu brata, obsypują go kosztownymi prezentami, oni zamiast świecić przykładem, łąza lichy wie gdzie.

- Przecież byliśmy w sklepie. Poza tym są wakacje - bronili się.

Wakacje są dla wszystkich - rzędziła Małgosia. - I wszyscy chcieliby liźnąć trochę lodów.

Umilkła marszcząc brwi i niespokojnie spoglądając w stronę domu. Walecik Kier krzyczał teraz na całe gardło. Milkł tylko po to, żeby się zanieść jeszcze większym płaczem.

W ciągu kilku minut cały dom stanął na głowie.

Dziadek potrząsał grzechotką wołając: "A kuku". Babcia nerwowo grzebała w szufladzie szukając ziółek, pani Alina kołysała dziecko, Małgosia machała różowym zajacem usiłując połaskotać dziecko jego uszami, Marysia szukała termometru, Kasia piszczała gumową zabawką, a Tomek pilnował żelazka, żeby uprasować pieluszkę, którą mama chciała położyć dziecku na brzuchu. Mniamna wyła, wtórował jej Kruczek, a Uczony, który dostrzegł dziadka z lekarską walizką, miauczał i plątał się pod nogami.

- Jest termometr! - zawołała Marysia. Machnęła ręką, żeby strzepnąć rtęć, i stłukła go.

- O rety! - zawołała.

- Zamiast wołać "o rety",
szukaj drugiego. Gdzieś tu musi
być - rozzłościła się babcia. -
Już wiem. Tomek, skocz do mojego
pokoju. Termometr jest w górnej
szufladzie, po prawej stronie, w
pudełeczku z nićmi.

Tomek podał mamie ciepłą już
pieluchę i pobiegł po schodach.

"Górna szuflada, pudełeczko z
nićmi, po prawej stronie" -
powtarzał, żeby nie zapomnieć.

Wysunął szufladę, ale
termometru nie było. Zaczął więc
szukać w innych częściach
szuflady. Były tu bardzo ciekawe
rzeczy. Album z fotografiami,
pudełko, a w nim koperty z
napisami: "Pierwsze włoski
Marysi", "Pierwsze włoski
Małgosi" i tak dalej. Było też
pudełeczko z pierwszymi
smoczkami, pierwszymi ząbkami;
szmatki, które w szpitalach
zakłada się noworodkom na
rączkę. Na trzech szmatkach
przeczytał napis: "Alina
Sowińska. Córka", a na dwóch:
"Alina Sowińska. Syn". I
wypisana tuszem data narodzin. I
jeszcze w szufladzie babci Tomek
znalazł sennik.

Przypomniał sobie, że tuż
przed narodzinami Michałka śniła
mu się siostra. Nie była podobna
do żadnej z jego sióstr. Nie
przypominała babci ani mamy,
nikogo z rodziny. A jednak
wiedział, jak to we śnie bywa,
że mała, leżąca w pieluchach
dziewczynka jest jego siostrą.
Czwartą.

Kiedy się obudził, był pewien,
że ta dziewczynka jest właśnie
Damą Kier. Nie miał dotąd okazji
sprawdzić, co znaczy sen o
siostrze, bo babcia grzebiąc w
szufladzie w poszukiwaniu
rumianku, mydełek, gazy wetknęła
sennik w jakieś inne miejsce.

I teraz znów miał go w dłoni.
"Pomyliłaś się - pomyślał z
satysfakcją. - Pomyliłaś się, ty
przemądra księgo. Zapowiedziałaś

siostrę, a urodził się brat. I

już nigdy do ciebie nie zajrzę".

Sennik jakby spał, śniąc o tym wszystkim, co w nim było. Stara płócienna okładka kryła te dziwne tajemnice, których Tomek nie rozumiał, ale które go tak nęciły. "Kto ciebie wymyślił? Czy naprawdę jest tak, jak powiada babcia, że żyjemy podwójnym życiem - we śnie i na jawie?"

Kiedy rozmawiał z sennikiem, jego postanowienie niezagładania do środka słabło. Jak zawsze najpierw obietnica - zagładam do ciebie po raz ostatni, a potem szybkie i nerwowe wertowanie kartek, bo przecież w każdej chwili do pokoju może ktoś wejść. Zajrzał więc pod "siostra".

- Śnić o siostrze: radość w rodzinie - wymamrotał. - Michałek niewątpliwie jest olbrzymią radością.

Bezmyślnie przerzucał sennik i nagle natrafił na małą, pożółkłą karteczkę. "Dziewczynka ma na imię Felicja. Znaleźliśmy ją na progu domu w ostatni piątek miesiąca. Był to dla nas szczęśliwy dzień". Następne zdanie zaczynało się od nowej linijki. Właściwie nie było to zdanie, lecz data: "Tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty rok...". W tym miejscu kończył się tekst.

Zamknął sennik pozostawiając karteczkę na miejscu i zasunął szufladę. "Dziewczynka ma na imię Felicja". Co za dziewczynka? Ile ona miałaby teraz lat? Osiemdziesiąt sześć odjąć dwadzieścia cztery to jest sześćdziesiąt dwa. Boże, przecież właśnie babcia ma sześćdziesiąt dwa lata!

Chciał jeszcze raz spojrzeć na kartkę. Potem jeszcze raz. Zapomniał o termometrze. Wysuwał szufladę i zasunął, jakby chciał

za każdym razem wyczytać więcej.

Do jego uszu doleciały jakieś hałasy. Zamknął sennik. Był rozgorączkowany, podniecony. Właśnie przed chwilą wyjaśniła

mu się tajemnica wszystkich piątek babci Felicji.

Musi teraz zejść na dół i powiedzieć, że termometru nie znalazł, bo go tam nie ma. Jest za to coś innego, ciekawszego.

- Już nie trzeba! - zawołała z dołu babcia. - Michałka bolał brzusek. A w ogóle to przypomniałam sobie, że termometr jest w zupełnie innym miejscu. W pokoju dziadka.

- Przynieść? - zapytał Tomek.

- Michałek zasnął - odpowiedziała babcia.

Tomek wolno schodził ze schodów. Zatrzymał się na dole. Widział duży pokój.

Z portretu nad kredensem spoglądała wielka, jak wiatrak na polu za miastem, przodkini. Jego? Babci? Mąż breloczek też zerkał.

"Dziewczynka ma na imię Felicja - pomyślał do nich Tomek. - Pojawiła się w ostatni piątek miesiąca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku."

- Tomeczku, przynieś mi z kuchni butelkę z piciem - poprosiła szeptem mama.

Poszedł do kuchni.

Na półkach stały posażne moździerz babci, na białych kapturkach, przykrywających słoiki z przyprawami, płynęły granatowe żaglowce. Pod oknem stał wyplatany fotel.

Czuł, że tajemnica rozedrze go na strzępki.

Schwycił butelkę z rumiankiem i pobiegł do dużego pokoju.

- Chciałem powiedzieć... - zaczął.

- Za chwilę powiesz, synku -

mama położyła palec na ustach. -
Zaniosę go do łóżeczka i znajdę
dla ciebie czas.

"W tym domu nie ma nawet
okazji, żeby wyjawić tajemnicę -
pomyślał ze złością. - przez
cały czas coś się dzieje".

Do końca dnia kręcił się po
domu szukając towarzystwa kogoś

z rodziny. Tajemnica ciągle go
rozsadzała, ale świadomość, że
jednak nad nią panuje, dawała
przyjemność. Przyglądał się
sobie w lustrze i nawet
zapomniał, że jest trochę
podobny do kozy.

- Ty, co tak wlepiasz w
siebie oczy? - zapytała wreszcie
Małgosia. - Pewnie bardzo się
sobie podobasz, co?

- Tak - odpowiedział Tomek. -
Bardzo się sobie podobam. A co,
nie wolno?

- Wielkie rzeczy - prychnęła i
wzruszyła chudymi ramionami. -
Ja też, jak zechcę, to się sobie
spodobam. O, proszę - odepchnęła
go od lustra.

- Wiem, że jak zechcesz, to
się sobie spodobasz - powiedział
Tomek poważnie.

Zmarszczyła brwi i spojrzała
na brata spod oka.

- Co ty jesteś dzisiaj taki
ważny! - zapytała. - Jakieś
tajemnice? Mów, szybko mów.

- Nie chce mi się - powiedział.

Małgosia próbowała postraszyć
go tym, że pęknie. Próbowała go
przekupić, proponowała, że mu
pościeli łóżko, pozmywa za
niego, a w końcu zrezygnowała.

No to sobie miej tę swoją
tajemnicę. Nie jestem ciekawa.
Pytałam tak sobie.

Wieczorem Tomek Nie mógł długo
zasnąć. Leżał z otwartymi oczami
i słuchał, jak chroboczą myszy i
jak na górze, w pokoju rodziców,
płacze Michałek.

Myślami dotarł do babci, ale

nie tej, która pomagała mamie przy Waleciku Kier. Myślał o dziewczynce imieniem Felicja.

"Nazywasz się Felicja, zjawiałaś się w tym domu w ostatni piątek miesiąca w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku. To był szczęśliwy dzień. I dlatego te uroczyste piątki, kiedy starasz się zatrzymać nas w domu, są dla ciebie ważnymi dniami".

Wydało mu się zabawne, że

zawsze miał ochotę dokuczyć babci, a teraz, kiedy nadarzyła się okazja, nie chciał tego uczynić. Myślenie o tym, że jest w stanie zatrzymać dla siebie tajemnicę babci Felicji, dawało mu poczucie siły.

Jednakże zaczęły ogarniać go wątpliwości. Przecież już nieraz czuł się władczy, mocny, a potem, z minuty na minutę, stawał się zwykłym Tomkiem. Czy wytrzyma? Cała sprawa zbyt go intrygowała. Mogło się zdarzyć tak, że wszystko wypaple. Nikt go nawet nie będzie musiał ciągnąć za język. Wystarczy, że pokłóci się z babcią. "Wykrzyczę to wtedy na cały dom".

Myślał kolejno o domownikach, z którymi mógłby porozmawiać. Nikt nie wydawał mu się odpowiedni. "A może właśnie babcia" - przyszło mu do głowy i już, mimo późnej nocy, chciał pobiec do jej pokoju.

- Ale jak ja to powiem? Gdyby można było dać jakiś znak, że wiem - westchnął i usiadł na łóżku.

Nagle zaczął bardzo się spieszyć. Po omacku szukał kartki i ołówka. Przez okno padało światło księżyca. Tomek położył kartkę na parapecie i w jej rogu napisał: "Babciu, tym Waletem Kier, który intrygował, byłem ja". Po krótkim namyśle dodał: "ja będę się starał dochować twojej tajemnicy".

Oderwał zapisany rożek i schował go pod poduszkę, a sam wlaź do łóżka. Wyobrażał sobie dwie kartki, dawną i nową, leżące obok siebie między stronicami sennika. A potem zasnął.

* * *

Babcia Pieczarkowska szła wzdłuż żywopłotu. Był koniec sierpnia. Na długich nitkach babiego lata podróżowały małe pajęczki. Opodal siedział dziadek i czytał książkę. Spokój, cisza, dobiegające zza domu głosy Kasi i Małgosi. Nagle przystanęła. Coś zaszeleściło w krzakach. Spojrzała zaintrygowana w tę stronę i

zobaczyła, że krzaki rozchylają się i zjawia się w nich tort z wielką różą na środku. Tort tkwi nieruchomo, jakby czekał, aż go wezmą. Babcia Pieczarkowska wzięła więc tort.

Krzaki rozchyliły się jeszcze bardziej i ukazała się cienka nóżka obuta w atlasowy pantofel z napisem "arrivederci Roma" przyozdobiony różowym pomponem. Jednocześnie w krzakach coś stękało, jakby prosiło o pomoc. Babcia Pieczarkowska postawiła więc tort na ławeczce i rozgarnęła krzaki.

Ujrzała swoją sąsiadkę, panią Witkowską, usiłującą przeleźć przez dziurę w płocie.

- Ugrzęzłam - jęknęła. - Znowu ugrzęzłam. Nie mogę się ruszyć.

W domu z białym gankiem wyszedł pan Wysocki. Przyjrzał się krzakom, zbliżył do nich i wykrzyknął:

- Znowu?! Znowu za daleko było mamie do furtki?

Babcia Witkowska znieruchomiała, a po chwili powiedziała głosem pełnym lamentu:

- Od tego krzyku ugrzęzłam jeszcze bardziej.

Babcia Pieczarkowska, nie

namyślając się długo, wymacała
kołek, który tak uwięził
sasiadkę, i wyrwała go jednym
szarpnięciem.

Gość jęknął z ulgą.

- Już myślałam, że tak
posiedzę z godzinę - poskarżyła
się. - Od jakiegoś czasu wolę
chodzić tędy. Ta furtka jakaś
taka oficjalna. Przyniosłam
torcik własnego wypieku. To na
cześć wnuka - szepnęła.

- Ja tę dziurę zabiję deskami
- powiedział pan Wysocki. - Nie
dość, że dzieci przez nią
przełażą, nie dość, że Kruczek
tędy chadza, to jeszcze mama...

Babcia Pieczarkowska uniosła
brwi. Gdyby miała ochotę
przeleźć przez dziurę w płocie,
przełaziłaby tam i z powrotem,

ile dusza zapragnie.

- A dlaczego pani Witkowska
nie może tędy chodzić? -
zapytała.

- Bo znowuk... - zaczął pan
Wysocki, ale w tym momencie
babcia Witkowska poczuła taki
przyływ energii, siły, jakby ją
zaczerpnęła garścią od stojącej
obok sasiadki.

- Tak, znowu! - zawołała
władczo. - Znowu... znowu i
znowu!!!

Obecność sasiadki i to, że się
za nią ujęto, wyzwoliły całą
energię drzemiącą w babci
Witkowskiej.

- I nie życzę sobie chowania
przede mną proszków! - krzyknęła
dyszkantem. - Żebym ja nie
musiała przed wami chować! I nie
życzę sobie chowania pasty do
podłogi! Poproszę o klucz od
schowka!

- Nie mam - wybąkał pan
Wysocki. - Teresa go nosi przy
sobie.

- No to musi mi go oddać!

- Jak mama sobie życzy. Teraz
przynieść czy później?

- Może być później - zezwoliła babcia Witkowska.

Wyprostowała się, obciągnęła sukienkę i przestała zwracać na zięcia uwagę.

- Ten torcik to z okazji narodzin wnuka - powtórzyła ujmując w obie dłonie tacę z ciastem. - Proszę powąchać - róża z powideł ukręconych z płatków róży.

Babcia Pieczarkowska powąchała tort. Pachniał różami.

- Proszę do dużego pokoju - powiedziała i powiodła gościa w stronę domu.

Obie panie zasiadły przy stole i ukroiły sobie po olbrzymim kawałku tortu.

- Wspaniały - babcia Pieczarkowska kręciła głową. - Jeszcze takiego nie jadłam. Ależ to trzeba mieć talent. Pani ma dar do wykonywania rzeczy delikatnych. Cudowne ciasta,

piękne, artystyczne cery...

- Naprawdę? - szepnęła sąsiadka. - A może by tak kabałę?

Pani Pieczarkowska rozłożyła karty.

- Zięć blisko domu. Rozmawia z jakimś starszym człowiekiem.

- Pewnie ze Stasiem - odpowiedziała babcia Witkowska.

- I pewnie skarży na mnie.

- Jakaś jasnowłosa kobieta jest obecna przy rozmowie...

- Pewnie Tereska.

- Wnuki będą zdrowe.

- Wyglądają jak malowanie.

- I ogólnie dobrze.

Gość westchnął z ulgą.

- A może teraz sobie pani postawi? Tak to lubię - babcia Witkowska złożyła ręce.

Sąsiadka wzruszyła się. Oto prawdziwa wierność. Nikt już nie wierzył w jej kabały. Tylko pani Witkowska.

- Mnie ciągle wychodzi to samo - babcia Pieczarkowska

rozkładała karty zrezygnowanymi ruchami. - O, już jest, zaraza jedna. Jakby chciała mi coś powiedzieć. Ale co?

- Bo widzi pani - zaczęła babcia Witkowska - moja mama kartą damy kier oznaczała każdą kobietę, bez względu na wiek. Dama trefl znaczyła - szczęście ci sprzyja. Dama pik natomiast - strzeż się choroby, obmowy, czegoś złego. Dama pik z dziesiątką trefl i asem trefl - ostatnią podróż, czyli śmierć. A dama kier to karta każdej kobiety, bez względu na wiek. Nie tylko panienki.

Mówiąc to przesuwiała tacę z tortem i różą bliżej gospodyni.

- Karta każdej kobiety - powtarzała.

Babcia Pieczarkowska spojrzała na tort, na różę i znieruchomiała.

- Czyżby więc...

- Tak, tak, Feluniu, to jestem ja - wyszeptała babcia Witkowska. - Twoja oddana ci bez granic przyjaciółka. Zosia

Witkowska.